

MICHEL ZEVACO

Buriedan



MICHEL ZEVACO

Buridan



Wydawnictwo
PRZYGODA
SZCZECIN 1991

Michel Zevaco
Cykl Buridan

Buridan
Eliksir miłości
Krwawa królowa
Tajemnica wieży

Francja. Okres panowania Ludwika X i Małgorzaty Burgundzkiej. Wszyscy wokół wiedzą, że kaprysy miłosne królowej niosą jej kochankom śmierć od sztyletu lub trucizny. Podobny los czeka również Buridana, głównego bohatera tego cyklu powieściowego, który wierny ukochanej dziewczynie nie ulega zachciankom „krwawej królowej” - jak powszechnie mówi się o Małgorzacie. Uwikłany w dworskie intrygi podejmuje walkę w obronie swojej miłości i życia.

Tekst oparto na edycji Wydawnictwa Księgarni J. Przeworskiego,
Warszawa 1932

Tytuł oryginału
Buridan

Przekład z francuskiego
Jan Mściwój

Opracowanie graficzne serii
Andrzej Tomczak

Ilustracje na okładce
Maciej Woltman

Redaktor
Janusz Sudół

Redaktor techniczny
Lidia Wójcik

Korekta
Zespół

© Copyright by „Przygoda”, Szczecin 1991

ISBN 83-7037-128-0

Wydawnictwo „Przygoda” Spółka z o.o., Szczecin 1991.

Wydanie I, nakład 30.000 egz.

Objętość ark. wyd. 11, ark. druk. 6,75.

Skład i druk: Szczecińskie Zakłady Graficzne, Al. Wojska Polskiego 128.

Zam. nr 1794/11.10/90/1

I

RÓŻANA ZAGRODA

W pobliżu Tempie, w cieniu olbrzymiego więziennego gmachu, gdzie nie każdy miał odwagę zaglądać, znajdował się ogródek pełen przeróżnych kwiatów. Zakątek ten nazywał się Różana Zagroda. Gdy przychodził sezon na róże, to precudne odmiany tego królewskiego kwiatu tworzyły tam niemal bajkowy świat. W środku ogrodu stał mały domek z ostrym daszkiem i miniaturowymi wieżyczkami. Łukowe okna nęciły wzrok swymi kolorowymi szybami. A całe to miejsce tchnęło spokojem i szczęściem.

W sali, przystrojonej pięknie tkanymi materiałami, dywanami i rzeźbionymi meblami, siedziała zakochana para. Ona subtelna, wiotka, pełna wdzięku, on zaś smukły, dumny i wytworny.

W głębi pokoju siedziała kobieta w podeszłym wieku z przymilnym uśmiechem na bladej twarzy, ale o nieżyczliwym spojrzeniu.

— Żegnaj, Myrtillo, do jutra — szepnął młodzieniec.

— Do jutra! — powtórzyła dziewczyna. — Czy mogę być jednak pewna, że w ogóle ujrzę cię jeszcze, jeśli narażony jesteś na takie niebezpieczeństwa! Jeśli mnie kochasz, Janie, wyrzeknij się tego szalonego zamiaru!

Zarzuciła ramiona na szyję ukochanego. Złote włosy rozsypały się na jej plecach. Jasne, niebieskie oczy napełniły się łzami. Wyszeptwała błagalnie:

— Pomyśl tylko o tym, że mój ojciec będzie tu dziś wieczorem. Już dzisiaj wyznam mu naszą miłość.

— Twój ojciec, Myrtillo? — powtórzył młodzieniec z drżeniem.

— Tak, Janie, tak mój drogi narzeczony. Dzisiaj wieczorem mój ojciec dowie się o wszystkim!

— Czy on będzie chciał o mnie słyszeć? Któż to wie? Kim on jest? Ach, Myrtillo, od sześciu miesięcy, od czasu kiedy po raz pierwszy ukazałaś mi się w tym cudownym ogródku, od owego wieczoru, kiedy obdarzyłaś mnie po raz pierwszy swym słodkim spojrzeniem, ile już razy próbowałem odgadnąć, kim jest twój ojciec. Zawsze nadaremnie. Zawsze!

Stara kobieta podeszła i spojrzała na nich uważnie.

— Pan Klaudiusz Lescot — rzekła — wiecznie podróżuje po dalekiej Flandrii, handlując dywanami. Dziś wieczorem jednak na pewno powróci do nas, tak mnie przynajmniej zawiadomił...

— Powiem mu wtedy wszystko! — powtórzyła Myrtillo. — Mój ojciec bardzo mnie kocha. Jestem pewna, że gdy dowie się, iż pragnę zostać twoją żoną, z radością połączy nasze ręce!

— Do jutra więc! — powiedział wesoło młodzieniec. — Jeśli czcigodny Klaudiusz Lescot zechce mnie przyjąć, będę się uważał za człowieka, który żywcem trafił do raju.

— Najdroższy! W przededniu tak ważnej chwili w naszym życiu przysięgnij mi, że tam nie pójdziesz... Gillonno, moja pocziwa Gillonno, pomóż mi go przekonać!

Stara kobieta zbliżyła się do młodzieńca i położyła rękę na jego ramieniu.

— A więc jesteś zdecydowany na rozmowę z wielmożnym panem Enguerrandem de Marignym?

— Jutro rano. Ponieważ udało ci się poznać moją tajemnicę i wypaplałaś wszystko swej pani, musisz naprawić ten błąd i wyznać jej całą prawdę. Wyznać, że nie narażam się na żadne niebezpieczeństwo;

— Na żadne niebezpieczeństwo! — mruknęła Gillonna. — Głupi! Trzeba być opętanym przez diabła, żeby występować przeciw panu Enguerrandowi de Marigny'emu! Posłuchaj, Janie! Pierwszy minister jest potężniejszy od samego króla! Kto

zawadzi o taką skałę, będzie zmiażdżony! Człowiek ten wie wszystko i widzi wszystko. Wrogowie jego padają jeden po drugim od sztyletu lub trucizny. A jest przecież jeszcze topór i stryczek. Jego orli wzrok wyczyta w twym sercu każdy zamiar. Jego twarda ręka wywlecze cię z ukrycia i rzuci na pastwę kata.

— Mówiąc to Gilionna uczyniła na czole znak krzyża.

— Czy słyszysz? — zapytała Myrtilla.

Czoło młodzieńca zachmurzyło się. Potrząsnął jednak głową:

— Niechby Enguerrand de Marigny był jeszcze potężniejszy, niechby towarzyszyły mu hordy rogatych szatanów, nic nie przeszkodzi mi udać się na spotkanie wyznaczone przez moich dwóch dzielnych przyjaciół — Filipa i Gautiera d'Aulnayów. A nawet, gdybym nie dał słowa tym dwóm uczciwym szlachcicom, to i tak moja nienawiść do Marigny'ego każe mi stanąć przed nim oko w oko. Nadszedł czas ostatecznej rozprawy!

— Słuchajcie! — zawołała Gilionna.

Rozległo się bicie dzwonów. Myrtilla znowu zarzuciła ukochanemu ręce na szyję.

— Janie — zaczęła błagać drżącym głosem — ulituj się nade mną, nie idź.

Dzwony biły coraz głośniej. Całe miasto rozbrzmiewało teraz ich głosem.

— Król wyjeżdża z Luwru! — zawołał Buridan. — Już czas na mnie! Żegnaj, Myrtillo!

Wspaniały orszak królewski wynurzył się z bramy Luwru i wolno posuwał ulicami zapełnionymi tłumami paryżan. Szczególnie jeden z powozów przykuwał uwagę gawiedzi. Jechały w nim trzy uśmiechnięte i podniecone damy. Były to królowa i jej dwie siostry: Joanna, żona hrabiego de Poitiers i Blanche, żona hrabiego de La Marche'a.

Wszystkie trzy były piękne! Niezwykle piękne. „Mogły z powodzeniem tworzyć grupę trzech bogiń z góry Idy. Ileż namiętności było w ich uśmiechach. Zwłaszcza w uśmiechu królowej. Z kibicią jakby wyrzeźbioną z marmuru, z ciężkimi splotami blond włosów wyglądała jak Afrodyta wychodząca z morskiej piany. Oczy jej rzucały spod długich rzęs płomienne spojrzenia. Pierś falowała namiętnie, jak w chwili miłosego uniesienia.

Na niej to, na Małgorzacie Burgundzkiej, spoczął oszalały namiętnością wzrok Filipa d'Aulnaya, podczas gdy Gautier i Buridan wpatrywali się w ministra Enguerranda de Marigny'ego.

Na rogu ulicy św. Dionizego pochód zatrzymał się. Królowa pochyliła się, aby pozdrowić tłum skinieniem ręki. Wtedy wzrok jej przyciągnął młodzieniec stojący przy Filipie d'Aulnayu. Młodzieńcem tym był Jan Buridan, narzeczony Myrtilli Lescot. Małgorzata drgnęła i zbladła, zupełnie tak, jak zbladł przed chwilą na jej widok Filip. Westchnęła głęboko namiętną miłością. Orszak ruszył dalej.

— Małgorzato! — wyjąkał Filip d'Aulnay i złożył ręce w modlitewnym geście.

— Buridan! — szepnęła królowa Francji.

W tej samej chwili Buridan porwał Filipa d'Aulnaya i jego brata za ręce i krzyknął:

— Na Montfaucon!

Istotnie, orszak królewski zmierzał na Montfaucon. Prowadził go prefekt, jadący na ogromnym koniu, okrytym błękitnym, szytym złotem czaprakiem.

— Miejsce dla króla! Miejsce dla królowej! Miejsce dla potężnego hrabiego de Valois! Miejsce dla jaśnie wielmożnego pana de Marigny'ego — wołał prefekt gromkim głosem.

Otoczony konnym rycerstwem, w glorii powiewających proporców, mając przy boku orszak biskupów, których bogate szaty jarzyły się od drogich kamieni, a konie

okryte były czaprakami suto haftowanymi złotem, w tłumie kapitanów, powiewających kitami szyszaków i eskorcie możnowładców ukazał się król. Elegancki, śmiały, pięknie zbudowany Ludwik X śmiał się do tłumu, sypał żartami i zachęcał konia do kunsztownych lansad. Kłaniał się też kobietom, pozdrawiał mężczyzn okrzykami.

Paryż, który dopiero co przeżył krwawą zmołę panowania Filipa Pięknego, Paryż, który już od szeregu lat nie śmiał swobodnie odetchnąć, był teraz zachwycony. Klaskał przekonany, że przyszedł kres jego nędzy. Dla ludu bowiem zmiana panującego jest zawsze nadzieją na lepszą przyszłość, nadzieją, która niestety rozwiewa się bardzo szybko.

— Dobry król! Jak się śmieje do swego kochanego miasta -r mówiono.

— Zabijaka! To prawdziwy zabijaka!

— Niech będzie i zabijaka! — zawołał król, podchwytyjąc w lot okrzyk ludu! — Jestem zabijaką ku przestrodze moim wrogom, którzy są również waszymi wrogami!

— Wiwat! Niech żyje Ludwik Zabijaka! — tłum ryczał z radości, zachwycony łaskawością króla i przepychem jego orszaku. A jednak...

W orszaku tym, zaraz za królewską świtą, postępował jakiś nieszczęśnik. Był bosy, miał głowę spuszczoną na piersi, błędne spojrzenie i gromnicę w ręku. Szedł między dwoma zakonnikami i dwoma pachołkami kata.

Pierwszy urzędowy wyjazd króla nie był wycieczką dla przyjemności. Zmierzał on owego ranka do olbrzymiego gmachu, którego budowa pociągnęła za sobą wielkie koszty. Minister Enguerrand de Marigny zaczął go wznosić jeszcze za króla Filipa Pięknego.

Nikt z tłumu nie interesował się skazańcem, który tam właśnie miał być powieszony jako pierwszy. Jak miał na imię? Jaką popełnił zbrodnię? Nikt tego nie wiedział. Nikogo to nie interesowało. Nikogo, prócz rosłego mężczyzny o lodowatej twarzy, który we wspinałym stroju jechał przy boku Ludwika X. Owym mężczyzną był Karol, hrabia de Valois, stryj królewski.

Skazaniec chwilami odwracał głowę, podnosząc na hrabiego zrozpaczony, ale i gniewny wzrok. Wtedy to hrabia, potężny pan, bladł i drżąc przyśpieszał pochód. Jaki mógł być związek pomiędzy nim a skazańcem, którego miano powiesić na Montfaucon? Dlaczego wzrok tego biedaka budził dreszcz w człowieku, który w orszaku zajmował miejsce po prawicy króla?

Gdy kawalkada minęła róg ulicy św. Dionizego, tłum rozproszył się. Jedni pognali do fontanny, z której tego dnia miało lać się wino, drudzy otoczyli żonglerów i ulicznych śpiewaków, którzy na rogach ulic śpiewali okolicznościowe pieśni. Jeszcze inni, a tych było najwięcej, skierowali się w stronę Bramy Malarzy, aby zająć miejsce dookoła szubienicy na Montfaucon.

Na wszystkich, ulicach, przez które przejeżdżał Ludwik X, panowała ta sama radość, wznoszono takie same okrzyki, którymi witano wszystkie znakomite osoby, biorące udział w cudownym pochodzie.

Czy jednak radość była powszechna? Nie! Rozlegały się również pomruki oraz ciche klątwy, pełne lęku i grozy skierowane do hrabiego de Valois i do posepnego pana Enguerranda de Marigny'ego, pierwszego ministra królewskiego.

Valois i Marigny rzucali na siebie nieprzyjazne spojrzenia. Nienawiść, jaką do siebie żywili, była całkiem jawna. Odsunięty przez Marigny'ego na drugi plan, pożerany wściekłością i zawiścią, Karol de Valois, który za czasów Filipa Pięknego posiadał władzę nieograniczoną, pragnął teraz zemsty. O zemście myślał od chwili, gdy jego synowiec został królem.

Tłum na widok obu mężczyzn zawrzał tajonym gniewem. Zaraz jednak, jakby na jakiś magiczny znak, chmura grozy i nienawiści rozwiła się i podniosły się szalone

okrzyki, witające tę, dla której, jak się zdawało, śpiewały dzwony, grzmiały fanfary, świeciło słońce, powiewały proporczyki. Z piersi setek tysięcy paryżan wyrwał się pełen miłości okrzyk:

— Królowa! Małgorzata Burgundzka!

II

MONTFAUCON

Orszak dotarł do Montfaucon. Król zajął miejsce w szerokim, złożonym fotelu pod baldachimem. U stóp wzniesienia ustawiła się straż. Księżniczki pozostały w swym powozie, nieco przed trybuną. Cała dolina załśniła od złota, stali, drogich haftów, klejnotów. A nad całą tą wspaniałością górowała szubienica, rzucając złowrogi cień.

Była to budowla, na której jednocześnie mogło zawisnąć stu skazańców. Enguerrand de Marigny uśmiechał się do tego obrazu, do swego wymarzonego snu, który się wcielił w budowlę z płyt kamiennych i żelaza.

Karol de Valois śledził zawistnym okiem ruchy pierwszego ministra, pochylonego w ukłonie przed królem. Dusił go wściekłość na widok nowego triumfu rywala.

— *Sire* — mówił Enguerrand de Marigny. — Oto co uczyniłem dla sławy i bezpieczeństwa twego znakomitego ojca. Nie chcę, aby budowla ta kosztowała państwo bodaj jeden grosz. Wszystko to — dodał z szerokim gestem — będzie opłacone z mej skromnej kiesy. To, co chciałem ofiarować ojcu, oddaję synowi, szczęśliwy, jeśli mój król będzie zadowolony z mego dzieła!

— Jesteś dobrym sługą, a ta szubienica jest naprawdę wspaniała — zawołał Ludwik X.

Przez tłum panów przebiegł pomruk zachwytu. Marigny uklonił się i zmiażdżył spojrzeniem hrabiego de Valois, który zgrzytnął zębami i otarł czoło z potu.

Nagle jakiś mężczyzna, któremu udało się przedostać aż na trybunę, podkradł się do hrabiego de Valois i dotknął jego ramienia. Rozchylił poły płaszcza i pokazał jakiś przedmiot, małą szkatułkę. Szepnął hrabiemu na ucho kilka słów.

Valois pochwycił szkatułkę i wyprostował się dumnie. Wzrok jego błysnął straszliwą radością. Wbił spojrzenie w Marigny'ego i powiedział z nienawiścią:

— Nareszcie! Pokonam cię! Mam cię w ręku!

Prefekt Paryża, widząc, że król zaczyna się nudzić i kręcić w fotelu, dał znak katowi, by rozpoczął swoje dzieło. Capeluche, kat Paryża, podszedł do oskarżonego. W owej decydującej chwili skazaniec podniósł po raz ostatni spojrzenie na Valois, a ten, blady i drżący, cofnął się w głąb trybuny.

— Chcę mówić! — krzyczał na cały głos.

Valois zachwiał się. A gdy wszyscy zamilkli, aby usłyszeć, co ma do powiedzenia skazaniec, rozległ się potrójny dźwięk rogu.

Wszyscy: król, królowa, księżniczki, możni panowie, strażnicy, kat, wszyscy zwrócili się w stronę, skąd rozległ się ten dźwięk. Ujrzeni grupę około dwudziestu jeźdźców, na których czele jechali trzej młodzieńcy z dumnymi minami.

— Na Madonnę! — zawołał Ludwik X, podnosząc się z fotela i blednąc z wściekłości. — Kto ośmiela się wyzywać nas graniem rogu!

— Ja — odezwał się donośny głos.

— A ktoś ty? Czego chcesz?

— Żądam sprawiedliwości! Żądam wymierzenia sprawiedliwości Enguerrandowi de Marigny'emu!

Na te słowa pomruk nienawiści podniósł się z tłumu.

— Tak, *sire!* Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

— *Sire* — szepnął Valois na ucho bratankowi — wysłuchaj głosu ludu.

Hrabia cofnął się. Tymczasem blady ze wściekłości Marigny przyglądał się zuchwałemu młodzieńcowi, tak jakby miał przed sobą widmo z tamtego świata, a nie człowieka.

— Zobaczymy, jak daleko posuną swe zuchwalstwo — rzekł Ludwik X. — Twoje imię! — dodał ostro.

— Jan Buridan! A teraz mów, Gautierze d'Aulnay! Mów, Filipie d'Aulnay!

— Ja, Gautier d'Aulnay — zaczął rycerz, znajdujący się po prawicy Buridana — w obliczu Boga i w obliczu króla oskarżam Enguerranda de Marigny'ego o zamordowanie mego ojca i mojej matki i oświadczam, że jeśli sprawiedliwości nie stanie się zadość, wymierzę ją sam!

— Potwierdzam! — zawołał Buridan.

— Ja, Filip d'Aulnay — przemówił rycerz, znajdujący się po lewicy Buridana — w obliczu Boga i w obliczu króla oskarżam Enguerranda de Marigny'ego o chęć zamordowania nas, mego brata i mnie, o ograbienie nas podstępem i zdradą i oświadczam, że jeśli sprawiedliwości nie stanie się zadość, wymierzę ją sam!

— Potwierdzam! — zawołał Buridan. Teraz on z kolei zabrał głos: — Ja, Jan Buridan, w obliczu ludu Paryża oskarżam Enguerranda de Marigny'ego o uciskanie ludu, o dorobienie się majątku na nędzy publicznej, o przelewanie niewinnej krwi, o osierocenie w czasie pokoju większej liczby dzieci niż w okresie wojny. Oświadczam, że zasługuje na to, aby pierwszy zawisnął na tej budowli śmierci, którą wystawił na postrach Paryża. W imię sprawiedliwości wyzywam Enguerranda de Marigny'ego na uczciwy bój za tydzień na Preaux-Clercs. Na znak wyzwania rzuca mu moją rękawicę!

Buridan podniósł się w strzemionach i gwałtownym ruchem cisnął rękawicę, która padła na estradę królewską. Na placu Montfaucon wybuchła burza okrzyków, pogróżek i klątw.

— *Sire! Sire!* — ryknął Marigny. — Czy pozwolisz lżyć sługę twego ojca i twego sługę?!

— Nie, do wszystkich diabłów! Straż! Kapitanie straży!

Łucznicy pośpieszyli na wezwanie. Nagle okrzyk przerażenia wydarł się ze wszystkich piersi. Spłoszone wrzaskami i szczękiem broni, oszalałe ze strachu konie, w które był zaprzężony powóz księżniczek i królowej, ruszyły raptownie przed siebie, przewracając i tratując wszystkich, którzy starali się je zatrzymać.

W tumanach kurzu królewski powóz pędził po zboczu wzgórza z zawrotną szybkością. Przerazony król zawołał, wznosząc ku niebu ramiona:

— Najświętsza Panno, jeżeli ocalisz królową, ślubuję ci już w pierwszym roku mego panowania powiesić na tej szubienicy stu heretyków!

Mistrz Capeluche, kat miasta Paryża, który w tym zamieszaniu usiłował przedrzeć się do powozu, aby powstrzymać rozhukane konie, widząc, że mu się to nie uda, wrócił do podnóża szubienicy, gdzie zostawił skazańca. Z piersi jego nagle wydarł się straszliwy okrzyk. Skazańca już tam nie było! Skazaniec zbiegł!

Powóz tymczasem gnał wściekłym pędem. Małgorzata, Joanna i Blanche, królowa i księżniczki, trzy siostry, objęły się ramionami, jakby chcąc umrzeć razem. Rozglądały się rozpaczliwie wokół siebie, zdjęte lękiem przed śmiercią...

— Wóz pędzi w stronę fosy! — krzyknęła Joanna dziwnie spokojnym głosem.

— Jesteśmy zgubione! — dodała Blanche.

— Śmierć! — zawołała Małgorzata. — Żal umierać, gdy życie jest takie piękne.

Nagle drgnęły, ogarnięte niespodziewaną nadzieją. Patrzyły jak zaczarowane na obraz, który ukazał się ich oczom. Zapomniały o niebezpieczeństwie...

Wyprzedzając tłum jeźdźców, który rzucił się w pogoń za rozszalałymi końmi, jeden z rycerzy dopadł powozu i galopował w tej chwili obok prawego wierzchowca.

Wszystko trwało jedną sekundę... Młodzieniec pochylił się, pochwycił pędzącego konia za grzywę i przeskoczył zręcznie na jego grzbiet. W ślad za tym błysnęła stal, a potem rozległo się pełne bólu rżenie. Koń z lewej strony, pchnięty sztyletem w pierś, padł na kolana i pociągnął za sobą trzy pozostałe. Księżniczki ocalone tym sposobem, już spokojne i opanowane siedziały w powozie, spoglądając z uśmiechem na rycerza...

Jan Buridan zeskoczył na ziemię i wyprostowany, z ręką na rękojeści szpady, jak podczas parady, zaszalutował im. Ze wszystkich stron nadbiegli dworzanie. Rozległy się okrzyki radości. Buridan tymczasem zniknął.

Gdy królowa i dwie księżniczki zostały same, zaczęły szeptać ze sobą. Mówiły widocznie jakieś tajemnicze rzeczy, bo gdy podniosły głowy, były bardziej drżące i blade niż przed chwilą w obliczu śmierci...

Teraz pierwszy dopadł powozu jeździec ze smagłą twarzą i z szyderczym spojrzeniem. Królowa obejrzała się za siebie i widząc, że zdąży zamienić z nim kilka słów, spojrzała raz jeszcze pytająco na siostry. „Tak” — odpowiedziały księżniczki spojrzeniem.

— Stragildo! — zawołała królowa Małgorzata.

Jeździec zbliżył się do wozu. A królowa głosem cichym, przerywanym, jakby zdyszonym, zapytała:

— Czy znasz dwóch szlachciców, którzy rzucili oskarżenie Marigny’emu?

— Tak, wasza królewska mość! To Filip i Gautier d’Aulnayowie!

— Stragildo, czy znasz młodzieńca, który wyzwał Marigny’ego?

— I który ocalił życie waszej królewskiej mości? Tak, znam go. To Jan Buridan!

— Stragildo — szepnęła królowa — chcę widzieć się z tymi trzema kawalerami.

Wyszukaj ich, odnajdź, przyprowadź do mnie!

— Kiedy?

— Dziś wieczór!

Tymczasem powóz otoczyli jeźdźcy, którzy wiwatowali na cześć księżniczek i królowej.

— Ocalone! Ocalone!

— Niech żyją księżniczki! Niech żyje królowa!

Stragildo pochylił się nad królową. Uśmiech jego stał się bardziej szatański i szyderczy. Wyszeptał jeden tylko wyraz:

— Gdzie?

Małgorzata Burgundzka, pozdrawiając ręką nadbiegający tłum dworzan, uśmiechając się do nich słodko, rzuciła odpowiedź:

— W wieży Nesle!

III

OJCIEC MYRTILLI

Różana Zagroda tonęła w wieczornej mgle. Dookoła było cicho i pusto. Ciemne mury Tempie w mroku nocy zdawały się być jeszcze groźniejsze.

Oparta o parapet okna Myrtilla z bijącym sercem spoglądała na drogę, którą miał przybyć jej ojciec. Czasem jednak mimo woli oczy jej podnosiły się na ciemną fortecę, wtedy ciałem jej wstrząsał dreszcz.

— Gillonno — wyszeptła — ojciec musi poszukać jakiegoś innego mieszkania, widok tej budowli budzi w mym sercu trwogę.

— Dziecko jesteś — rzekła Gilionna. — Nie musisz się niczego obawiać. Wiesz przecież, że twój ukochany Buridan uniknął wszelkiego niebezpieczeństwa, ba, ocalił nawet życie królowej... Na pewno czeka go za ten czyn jakaś wspaniała nagroda od króla!

— To prawda — odpowiedziała Myrtilla zamyślona. — Ocalił życie królowej! Gillonno! Czy rzeczywiście królowa jest tak piękna, jak ludzie powiadają?

— Jest tak piękna, że nie tylko wszyscy panowie dworscy, lecz nawet inni mężczyźni potracili dla niej głowy. Ale królowa jest jeszcze bardziej mądra niż piękna. A zresztą, któż ośmielił się uczynić wyznanie miłosne małżonce króla?

— Ta forteca budzi we mnie lęk — powtórzyła Myrtilla, zamykając okno.

— Istotnie, jesteś zupełnie blada. Twoje piękne oczy są pełne łez. Ejże, czegoż ty się boisz, moje dziecko? Czyż nie jestem przy tobie, aby cię ochraniać przed wszelkim niebezpieczeństwem? Wkrótce przyjedzie też pan Klaudiusz Lescot.

— Tak — szepnęła nerwowo dziewczyna. — Poproszę go koniecznie, żeby zabrał mnie stąd zaraz, jutro... Nigdy ten ponury gmach nie sprawiał na mnie tak dziwnego wrażenia. Ale — dodała, potrząsając głową — powiedz mi, Gillonno, czy myślisz, że mój ojciec zechce przystać na to, aby Buridan został moim mężem?

— Niewątpliwie! — rzekła stara. — Gdzie znajdzie drugiego doskonalszego, uprzejmiejszego i dzielniejszego kawalera? Ale sama się przekonasz, bo oto i pan Klaudiusz Lescot...

— Nareszcie! — zawołała Myrtilla.

Podbiegła do ojca i rzuciła mu się w ramiona. Ten przygarnął ją do piersi, złożył długi pocałunek na jej czole i szepnął drżącym ze wzruszenia głosem:

— Niechże ci się przyjrzę! Zawsze piękna... Jeszcze piękniejsza! Drogie dziecko! Już ponad miesiąc ciebie nie widziałem. Często o tobie myślałem... Ach! Czy ty także pamiętasz o swoim ojcu?

— Mój drogi ojcze! Jakże miałabym nie pamiętać o tobie, któremu zawdzięczam wszystkie radości mego życia?! O tobie, który jesteś dla mnie wszystkim, bo nigdy nie znałam matki...

Chmura smutku przesunęła się po czole Klaudiusza Lescota, opanował się jednak i zaczął rozkładać na stole przywiezione z drogi podarki: piękne jedwabne szarfy i oprawne w złoto klejnoty, które Myrtilla podziwiała z dziecinną radością.

Pan Klaudiusz Lescot, wypytyjąc o wszystko Gillonnę, zdjął beret i piękny płaszcz, jakie nosili wówczas bogaci mieszczanie. Spoglądał przy tym z uśmiechem na rozradowaną dziewczynę.

Był mężczyzną czterdziestoczteroletnim. Rysy twarzy miał ostre i mocne, głos surowy, przyzwyczajony, jak się zdawało, do rozkazywania.. Twarz jego w chwili gniewu musiała być straszna. Teraz jednak złagodziło ją tkliwe spojrzenie czarnych, głęboko osadzonych oczu.

Pół godziny w pokoju trwała ożywiona rozmowa, padały pytania i odpowiedzi. Potem, gdy Gilonna zastawiała stół do kolacji, pan Lescot usiadł w wielkim fotelu; posadził sobie córkę na kolanach i zaczął się jej badawczo przyglądać.

Myrtilła drżała, rumieniała się i bladła. Czekala ją trudna rozmowa.

— Ojczy — zaczęła mówić w nadziei, że uda jej się odłożyć tę rozmowę do jutra — czy zostaniesz tym razem chociaż przez kilka dni w domu?!

Nie, moje dziecko, przeciwnie, nie będę mógł spędzić z tobą nawet jednego dnia, jak to było podczas ostatniej mej bytności. Muszę już jutro rano udać się w drogę. Spędzę tu jedynie noc, aby bodaj przez kilka godzin pooddychać tym samym, co ty, powietrzem... gdy uśniesz, będę patrzył na ciebie śpiącą i odejdę z tym obrazem, który osłodzi mój nędzny i pełen trosk żywot.

— Kochany ojczy! Dlaczego nie poniechasz handlu? Po co tyle trosk, kiedy mógłbyś być tak szczęśliwy? Czy nie jesteś dostatecznie bogaty?

— Interes mój jest zagrożony — rzekł pan Lescot posępnym głosem, a oczy jego błysnęły ogniem. — Jeśli wycofam się teraz, będzie to porażka, ruina, przyznanie się do bezsilności, a tego nie chcę! Przekleństwo tym, którzy pchnęli mnie nad brzeg przepaści!

Klaudiusz Lescot zamilkł i zaczął wygrażać pięścią. Natychmiast jednak, jakby chcąc opędzić się od straszliwych myśli, zwrócił wzrok na córkę drżącą ze strachu. Uśmiechnął się.

— Jestem szalony — dodał — szalony. Budzę w tobie lęk! Zapomnij o tym, co ci powiedziałem, moja droga Myrtillo. Wszystko się wkrótce ułoży. Mam nadzieję, że będę mógł pozostać już na zawsze przy tobie. Pragnę ze wszystkich mych sił, abyś była szczęśliwa! Wybiorę ci męża spośród najbogatszych, najlepszych, najszlachetniejszych... Rumienisz się? Jesteś już w tym wieku, że możesz myśleć o małżeństwie. Wiesz co, znam pewnego młodzieńca...

Myrtilłą bardzo zbladła. Przytuliła głowę do piersi ojca, zarzuciła mu ramiona na szyję i nie zwlekała już z wyznaniem:

— Ojczy, mój dobry i szlachetny ojczy, wysłuchaj mnie! Powinam prosić cię o przebaczenie, za to, że byłam ci nieposłuszna...

Pan Lescot zerwał się gwałtownie, pociągnął Myrtilłę do dużej woskowej pochodni, która płonęła w srebrnym świeczniku. Przyjrzał się córce badawczo, a potem półgłosem zapytał groźnie:

— Ktoś tu bywał?

— Taki — szepnęła Myrtilła.

— Ktoś rozmawiał z tobą!? Widywałaś się z kimś!? Kto skorzystał z mej nieobecności, aby z tobą rozmawiać!? Ktoś, kogo kochasz!?

— Tak — powtórzyła Myrtilła.

Pan Lescot pochylił głowę i z niewysłowioną goryczą rzekł:

— To musiało przyjść! Jeszcze jeden z moich snów rozwił się. Nie mogę mieć o to do ciebie żalu. Chciałem sam wybrać męża godnego ciebie. Lecz Bogu nie podobało się, abym narzucał twemu sercu wybrańca. Wołałbym umrzeć, niż widzieć cię cierpiącą z powodu mej pomyłki. Odrzuć od siebie moje marzenia. Cofnę słowo, które już dałem.

Myrtilła wybuchnęła płaczem, zrozumiała bowiem że ojciec ponosi dla niej ofiarę.

— Mój ojczy, mój drogi ojczy! — powiedziała! — Niech Bóg, Najświętsza Panienska i aniołowie niebiescy pobłogosławią cię za ten dowód miłości, jaki mi w tej chwili składasz! Bo jeżeli nie mogłabym należeć do tego, którego me serce wybrało, umarłabym...

— Tak, widzę to, czuję... Kochasz tego nieznanego mi człowieka! Dobrze więc! — dodał z głębokim westchnieniem. — Niech tak będzie, jeśli tylko jest on godny ciebie!

— O, tak, mój ojciec! On kocha ciebie, choć cię nie zna! Pokochasz go również, gdy tylko go zobaczysz. Jest taki dobry, czuły i wesoły jak dziecko... Czy jest szlachcicem, nie mogłabym ci tego powiedzieć, wiem tylko, że nosi dumnie szpadę, a myśli jego są godne najdostojniejszego szlachcica! Już wiele razy chciał ciebie poznać!

Pan Lescot widząc córkę szczęśliwą uśmiechnął się znowu. Zrezygnował ze swych osobistych planów i myślał już teraz jedynie o radości swego uwielbianego dziecka. Był zresztą pewien, że Myrtilla, która była dumna i subtelna, nie mogła wybrać człowieka niegodnego siebie. Z każdego jej słowa widział wyraźnie, że uczucie jej było niewinne i że nieznajomy uszanował jego córkę... Toteż w głębi serca zaczynał kochać owego nieznajomego.

Myrtilla, nie posiadając się z radości, zaczęła okrywać twarz ojca pocałunkami. Nie krępując się już, opowiadała o ukochanym, opisywała każde jego słowo, mówiła o tym, gdzie i jak spotkali się po raz pierwszy i kiedy go pokochała.

— Bardzo dobrze — rzekł wreszcie pan Lescot z promiennym uśmiechem. — Widzę, że jest to na pewno szlachcic. Tak przynajmniej wynika z twych opowiadań. Wszystko mi opisałaś. Nie powiedziałaś mi jedynie imienia twego narzeczonego.

Myrtilla wybuchnęła śmiechem i zaczęła klaskać w ręce.

— Nazywa się Jan Buridan — rzekła.

— Coś powiedziała? — ryknął pan Lescot, blednąc nagle.

— Ojciec — wyjąkała przerażona Myrtilla — powiedziałam, że mój naręczony nazywa się Jan Buridan.

— Nieszczęsna! — zawołał Klaudiusz Lescot, odtrącając gwałtownie córkę od siebie.

Myrtilla nieprzytomna ze strachu padła na fotel, a jej ojciec z twarzą wykrzywioną straszliwą nienawiścią, z pięściami wzniesionymi do nieba, głosem ochrypłym i przerywanym krzyknął:

— Jan Buridan! Kochasz Jana Buridana!

Z jego pobladłych ust wyrwał się szyderczy śmiech.

— Ojciec! Ojciec! — szlochała przerażona Myrtilla. — Co ci się stało? Ulituj się, opamiętaj się! Och! Zabijasz mnie!

Zbliżył się do niej; chwycił ją za ręce i pochylając się nad nią wrzasnął wściekle:

— Aaaa... więc kochasz Jana Buridana! Nieszczęsna! Czy wiesz, kim jest ów Jan Buridan!? Gzy wiesz, kim jest człowiek, którego kochasz!? Nie, nie wiesz tego! Ale ja wiem. Wiem i powiem ci to.

Nagle głuchym echem rozległy się trzy gwałtowne uderzenia w furtkę. Widocznie był to umówiony znak, pan Lescot drgnął bowiem i sam poderwał się, by otworzyć furtkę.

Myrtilla dygotała z przerażenia i rozpaczy.

— Mój drogi Janie — wyszeptala i padła na ziemię zemdlona.

Lescot jednym susem przesadził ogródek. Otworzywszy furtkę, ujrzał mężczyznę na koniu. Jeździec trzymał j za uzdę drugiego wierzchowca.

— Ty tutaj, Tristanie! — krzyknął Lescot z niepokojem. — Co się stało?

Mężczyzna pochylił się do ucha bogatego handlarza, coś mu powiedział i na końcu dodał:

— Przywiodłem panu konia.

— Dobrze — odpowiedział Lescot. — Zaczekaj na mnie!

Wpadłszy do domku nie zwrócił najmniejszej uwagi na zemdloną córkę, lecz porwał za rękę starą ochmistrzynię, krzątającą się dookoła Myrtilli.

— Gillonno — rzekł zimnym i groźnym głosem — posłuchaj mnie. Powierzyłem ci moją córkę. Przez twoje niedbalstwo dotyka mnie nieszczęście groźniejsze od

wszystkich nieszczęść. Córka moja kocha człowieka, którego albo ja zabiję, albo on zabije mnie. Gillonno, zasługujesz na śmierć...

— Słodki Jezu! Mój dobry panie...

— Zamilcz i słuchaj. Jeśli wypełnisz dobrze moje rozkazy, przebaczę ci.

— Czy mam rzucić się w ogień? Czy mam...?

— Milcz! Trzeba jedynie wszystko przygotować do drogi. Chcę jeszcze dzisiejszej nocy zabrać stąd córkę. Wrócę za dwie godziny. Tymczasem zamknij zasuwę, załóż łańcuch i zabarykaduj drzwi. Jeśli ten Buridan przyjdzie, nie otwieraj mu. Nie otwieraj nikomu. To wszystko, czego żądam od ciebie. Dwie godziny czujności, a będzie ci przebaczone... W przeciwnym razie — śmierć! Niech za dwie godziny wszystko będzie gotowe do odjazdu Myrtilli!

Nie czekając na odpowiedź starej, pewny jej posłuszeństwa, pan Klaudiusz Lescot pośpieszył do furtki, skoczył na konia, którego mu przywiódł nocny gość, i ruszył pędem do śródmieścia.

Wkrótce zsiadł z wierzchowca przed pałacem wyglądającym raczej na fortecę, rzucił hasło wartownikom, minął podwórze, wszedł na schody i przebiegł szybko szereg wspaniałych sal. Zatrzymał się wreszcie przed wysokimi drzwiami, przy których stał służący. Na jego widok służący otworzył drzwi i zaanonsował donośnym głosem:

— Pierwszy minister, pan Enguerrand de Marigny!

IV

TAJEMNICZE SCHADZKI

Tuż obok Luwru znajdowała się ulica Fromentel, zwana inaczej Froidmantel. Był to właściwie wąski zaułek, w którym dwóch jeźdźców z trudem mogło się wyminąć. Ówczesne ulice nie były właściwie ulicami, a raczej wąskimi przejściami. Paryż również nie był jeszcze owym pięknym miastem, jakim stał się za czasów Franciszka I, a później za Henryka IV.

W okresie panowania króla Ludwika Zabijaki Paryż był olbrzymim zbiorowiskiem krętych, wyboistych zaułków. Porozrzucane bezładnie domki stały wzdłuż i poprzecznie do ulic, frontem i tylną fasadą, jeden wysuwał się bardziej, drugi był w zagłębieniu. Przy domach wznosiły się kościoły i wielkopańskie pałace, tuż obok szubienice albo nędzne chałupki, tłoczące się jedna przy drugiej stromymi dachami i łączące się nad ulicą, tworząc jakieś dziwaczne korytarze. Tu i ówdzie sterczały dumnie wieżyczki z drewnianymi upiększeniami, śmiały się do słońca małe okienka z szybami oprawionymi w ołów. Wszystko to tworzyło fantastyczny obraz, nie podlegający żadnemu prawu, w owych czasach bowiem miasto zdawało się korzystać z zupełnej samodzielności. I rzeczywiście, lud Paryża potrafił przemawiać do króla tak, jak w obecnych czasach nikt nie śmiałby się zwrócić nawet do zwykłego sierżanta. Z drugiej zaś strony człowiekowi groził strychezek za takie przewinienia, które dziś wywołałoby uśmiech nawet na ustach sierżanta.

Wracając zaś do uliczki Froidmantel — była ona ciemna od zwisających nad nią dachów. Słońce zaledwie miało odwagę zajrzeć tam, gdzie po wyboistym bruku płynęły strumieniem nieczystości, leżały stosy śmieci, które zmywał jedyny czyściciel publiczny owych czasów — ulewny deszcz.

Mniej więcej w połowie długości ulicy stał wysoki i solidnie zbudowany dom, otoczony wysokim murem, na którego szczycie znajdowała się gruba, żelazna krata wysokości przynajmniej dziesięciu stóp.

Z owego budynku, a czasem z podwórza otoczonego murem, dobiegały nieraz przeraźliwe ryki, zwłaszcza w lecie, w burzliwe dni, kiedy powietrze było przesycone elektrycznością. Dziwne dźwięki tworzyły straszny koncert, budzący lęk w sercach okolicznych mieszkańców. Budynek ten był mieszkaniem dla lwów jej królewskiej mości. Królłożył na ich utrzymanie i lubił odwiedzać menażerię w towarzystwie królowej, którą z chorobliwą przyjemnością przyglądała się dzikim zwierzętom.

Na lewo od budynku lwów wznosił się stary pałac, co najmniej z czasów Ludwika świętego. Pałac wyglądał na bardzo zapuszczony, fosy miał wypełnione ziemią zamiast wodą, mury zniszczone przez czas, a okna, jak pamięć sąsiadów sięgała, zawsze były zamknięte. Dzisiaj w jego murach gościli bohaterowie spod Montfaucon: Jan Buridan oraz Filip i Gautier d'Aulnayowie, którzy zelżyli i wyzwali Enguerranda de Marigny'ego.

W pokoju, którego okna wychodziły na budynek lwów, stał stół, a na nim kilka butelek wina i trzy srebrne pucharki. Przy stole siedzieli nasi znajomi i wiedli niewesołą dysputę.

— Musimy poważnie zastanowić się nad naszą sytuacją — dowodził Buridan. — Marigny nie puści płazem tej zniewagi. Jeżeli nas dopadnie, zakończymy żywot na szubienicy, zostaniemy rozdarci przez konie, spaleni na stosie albo wydani na tortury. Wszystkie te możliwości są jeszcze niczym wobec stu innych sposobów uśmiercania poczciwych ludzi, jakimi rozporządza Marigny.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Filip.

— To, że Marigny skazał nas już w myślach na śmierć, tak jak my skazaliśmy jego, i że w tej chwili musimy myśleć o obronie... Zaatakowaliśmy pierwsi, odparcie ataku będzie trudne. Zaatakowaliśmy z odsłoniętą twarzą, w biały dzień — kontratak przyjdzie podstępnie w nocy... Wciągnie on nas w walkę, w której trzeba będzie zapomnieć, co to jest litość.

— Mój Janie, to obojętne, na co odważy się Marigny! Powiedzieliśmy mu wszystko, co nam leżało na sercu. Uczciwie uprzedziliśmy go o naszym zamiarze dochodzenia sprawiedliwości. Zaproponowaliśmy mu walkę. Ja od dziś mam spokojne sumienie. Wy, zwłaszcza wy, musicie być szczęśliwi, a ty szczególnie, Janie, Zazdroszczę ci powodzenia, uratowałeś ją przecieźr, mówiłeś z nią, widziałeś ją z bliska...

— Kogo? — zapytał Buridan.

— Królową! — odpowiedział głucho Filip, a jego twarz pokryła się bledością.

— Ostatecznie — rzekł Gautier, nalewając wina do pucharka — królowa winna nam swą protekcję, uratowaliśmy ją przecieźr! Mówię my, ponieważ Buridan — to my, a my — to Buridan. Niepodobna, żeby królowa Małgorzata nie wiedziała o tym szczególe.

— A więc ta nieszczęsna namiętność ciągle dręczy twoje serce? — Jan wziął za rękę Filipa.

— Ciągle! Tak się w nim rozrosła, że może uczynić ze mnie najędzniejszego z ludzi! — odpowiedział Filip, tłumiąc łkanie.

— Pij! — rzekł Gautier pojednawczym tonem. — Gdy jestem zakochany, piję aż do upadłego, a po przebudzeniu — nic... Uleczony! Widzisz, jakie to proste.

Filip odsunął podawany mu przez brata pucharek, po chwili chwycił go jednak ze wściekłością, opróżnił duszkiem, napełnił i wychylił znowu aż do dna, jakby pragnąc istotnie utopić w winie swą rozpacz.

— Miałaś rację, Janie — ciągnął dalej Filip, ściskając przyjaciela rozpaczliwie za rękę — namiętność moja jest nieszczęsna, stanie się zapewne powodem mojej śmierci. Są chwile, kiedy na myśl, że kocham królową Francji, chcę rozbić głowę o mur albo przeszyć sztyłem swe serce. Za jeden jej uśmiech dałbym się zabić! Gdyby kazała mi przebaczyć mordercy mego ojca i mojej matki, zacząłbym kochać Marigny'ego! Czy wiesz, że dziś rano, chcąc mieć jakąś po niej pamiątkę, przedarłem się przez kordon straży, stojącej przy połamanym powozie i ukradłem zapomnianą przez nią na poduszkach szarfę? Mam ją teraz na piersi, pali mi serce! Zachwycający obraz królowej idzie za mną wszędzie, śpię i marzę o niej. Powoli umieram, ponieważ wiem, że mogę jedynie marzyć!

Filip ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

— Och, do krośset! — ryknął Gautier. — Jeszcze moment, a rozplączę się sam jak bóbr! Cóż u diabła!? Może chcesz, żebym przyprowadził ci tę twoją Małgorzatę? Już! Lecę do Luwru, porwę ją i sprowadzę tutaj! Zresztą nie widzę, co jest tak strasznego w zakochaniu się! Ja również jestem zakochany!

— Od ilu minut! — zapytał Jan.

— Daję słowo, od kilku godzin, od samego rana!

— A w kim jesteś zakochany, szanowny panie Gautierze?

— W księżniczkach, w Blanche i Joannie.

— W dwóch naraz?

— No tak. Dlaczegoż nie miałbym się w nich kochać jeśli obie dziewczyny są ładne? Przecież mój brat kocha się w królowej — to trochę więcej. Toteż dla równowagi kocham się w dwóch księżniczkach.

Nagle z sąsiedniego podwórka echo przyniosło ryk lwów. Rozległ się męski głos:

— Cicho, Brutusie! Sza, Neronie! Albo zawrzesz znajomość z widłami!

— Cóż to takiego? — zapytał Jan.

— To baraszkuje Iwy królowej — odpowiedział Gautier — a ich dozorca, czcigodny Stragildo, przemawia im do rozsądku. Milszy mi jest ryk tych czworonożnych drapiezców niż głos tego dwunożnego bydłęcia.

— Janie — ciągnął dalej Filip — słyszałeś ryk lwa. Otóż moje nieszczęśliwe serce ryczy tak samo w mej piersi. Zazdroszczę tym dzikim zwierzętom. Uważam, że są szczęśliwsze ode mnie. Królowa bowiem bywa u nich, pieści je spojrzeniem, przemawia do nich łagodnie! A ja ukryty wtedy we framudze tego okna — płaczę, że jestem tylko człowiekiem...

— Człowiekiem! — powiedział Buridan. — Tak, pamiętaj o tym, aby być człowiekiem, Filipie! Wiem, co to jest miłość. Ja również czułbym się nieszczęśliwy, gdyby dziewczyna, którą kocham, nie mogła być moja. Lecz zdaje mi się również, że nawet ta okoliczność nie pozwoliłaby mi zapomnieć o niebezpieczeństwie, na jakie są narażeni moi przyjaciele,

— Masz słuszność — zawołał gorączkowo Filip. — Zapomniałem, że od dzisiejszego rana losy nasze połączyły się, że nie należę już do siebie. Wybacz mi, przyjacielu. Wypowiedzieliśmy walkę, toteż najpierw trzeba zwyciężyć, a potem myśleć o śmierci.

— Kocham cię takiego, jakim teraz jesteś! Powiem ci też, co obmyśliłem. Jest rzeczą pewną, że Marigny nie stawi się na Pre-aux-Clercs, niemniej jest również pewne, że wyśle tam pokaźną liczbę zbirów i łuczników, aby nas aresztować. Wie dobrze, że stawimy się! A więc przygotujcie się, ja osobiście nie mam zamiaru ani chęci zgnieć w lochach Chatelet albo Tempie. Przygotujemy obronę, o której będzie głośno w całym Paryżu, przysięgam...

— A niech cię gęś kopnie! — krzyknął Gautier z zachwytem.

— Dziś wieczorem spotkam się z kilkoma chłopakami. Ruszemy na Pre-aux-Clercs w gronie ludzi zdolnych obudzić dreszcz strachu nawet w królu siedzącym w swoim Luwrze!

— Aaa! wrzasnął Gautier, waląc pięścią w stół. — Coś mi się widzi, że będzie gorąco! Coś mi się widzi, że natrzemy panom strażnikom uszu! Niech mnie diabli porwą, jeśli się zadowolę zamordowaniem mniej niż dwudziestu, jeśli nie zdobędę dwudziestu par uszu, aby później zmusić pozostałych przy życiu nędzników do ich pożarcia!

— Żegnajcie więc! — rzekł Jan podnosząc się z miejsca. — Jeżeli zadziwiłszy Paryż naszym wyzwaniem, zadziwimy go jeszcze bardziej na Pre-aux-Clercs. Lecz od tej chwili żadnej lekkomyślności, żadnego myślenia o królowej, Filipie! Żadnych zerkań na księżniczki, mój Gautierze! Gdy będziecie wychodzić z domu, bądźcie uzbrojeni po zęby. Pijąc w szynku, każcie gospodarzowi napocząć wino, będzie to bezpieczniejsze. Jeśli ktoś zaczepi was na ulicy, doładźcie szpady, a potem dopiero zaczynajcie rozmowę. Trucizna bowiem i sztylet to ulubiona broń imć pana Enguerranda de Marigny'ęgo. Gdyby człowiek ten mógł zabijać myślą, dawno już nie żylibyśmy.

Jan wyszedł na ulicę, Gautier pośpieszył ku drzwiom, aby założyć łańcuch i zarygłować zasuwę.

Nagle rozległo się pukanie.

— Kto tam? — warknął Gautier.

— Ktoś, kto pragnie mówić z panami Filipem i Gautierem d'Aunlayami w bardzo ważnej sprawie.

— Idź do diabła! — burknął Gautier.

— Otwórz! — rzekł zimno Filip.

Gautier dobył sztyletu, po czym otworzył drzwi. W progu stanął mężczyzna z maską na twarzy, w kapturze na głowie. Skłonił się głęboko, z ironicznym nieco szacunkiem.

— Skąd pan wie, że tu jesteśmy? — zapytał Filip, usiłując rozpoznać mężczyznę.

— Czy nie wszystko jedno? Najważniejsze jest to, że panów znalazłem!

— Niech pan wejdzie.

— To zbędne. Mam tylko kilka słów do powiedzenia.

— Mów więc, słuchamy cię, nawet gdybyś był szatanem, chcącym wciągnąć nas do piekła — warknął Gautier.

Mężczyzna w masce zadrżał.

— Mów, mój przyjacielu — rzekł Filip.

Nieznajomy pochylił się w ich stronę i szepnął:

— Grozi panom straszliwe niebezpieczeństwo, groźny wróg czyha na was. Czy chcecie uniknąć niebezpieczeństwa? Czy chcecie pokonać wroga?

— Domyślam się, o czym i o kim chcesz mówić. Lecz w którym imieniu pan przychodzi?

— W imieniu pewnej potężnej osobistości, która dziś rano widziała panów na Montfaucon i która także nienawidzi śmiertelnie waszego wroga. Jeśli chcecie pomścić waszego ojca i waszą matkę, udajcie się dziś o dziesiątej wieczorem na wybrzeże Sekwany i pójdźcie za osobą, która wam rzuci hasło: „Marigny!” Wtedy odpowiecie jej hasłem: „Montfaucon!”.

— A na którym brzegu Sekwany mamy się spotkać?

— U podnóża wieży Nesle!

Z tymi słowami nieznajomy skłonił się jeszcze niżej niż za pierwszym razem i zniknął w czeluściach ciemnej klatki schodowej starego pałacu d'Aunlayów, pozostawiając dwóch braci osłupiałych ze zdumienia.

Buridan po pożegnaniu z przyjaciółmi udał się w kierunku hal. Nie uszedł jednak dziesięciu kroków, gdy jakaś kobieta, ukryta w zagłębieniu muru, zbliżyła się do niego, dotknęła jego ramienia i szepnęła:

— Jak się masz, Janie Buridan?

Buridan obejrzał się pośpiesznie i położył rękę na rękojeści sztyletu. Potem widząc, że ulica jest zupełnie pusta i spokojna, przeniósł wzrok na mówiącą. Twarz miała ukrytą pod kapturem i osłoniętą maską.

— Hola — odpowiedział Buridan — czy jesteś czarownicą, że znasz moje imię?

— Może! — odparła kobieta.

— I czegoż chcesz ode mnie? Jeśli przychodzisz zaprosić mnie na sabat czarownic, poprosiłbym o odłożenie tej przyjemności na później, teraz bowiem bardzo mi się śpieszy...

— Panie — rzekła kobieta — czy chcesz zatriumfować nad Marignym? Czy chcesz, aby twój wróg był oddany na twoją łaskę i niełaskę?

— Zatriumfować nad Marignym!? Pewnie, że chcę tego!

— Buridan, jesteś biedny i nie masz zapewnionej przyszłości. Czy chcesz za jednym zamachem zdobyć majątek i zaszczyty?

— Nie miałbym nic przeciw temu. Słowa twoje są złotem, pocziwa kobieto.

— Otóż pewna bardzo potężna osobistość czeka na ciebie dziś wieczorem o wpół do jedenastej. Staw się na umówionym miejscu, a spotkasz tam kogoś, kto cię powita hasłem: „Marigny”; odpowiesz mu: „Montfaucon!” Staw się u podnóża wieży Nesle.

Nieznamoma złożyła mu ukłon i żwawo oddaliła się, znikając w nocnej mgłę jak widmo.

Minęła bramy Luwru, a wartownicy spoglądali na nią z szacunkiem połączonym ze strachem. Przeszła przez kilka podwórz i tajemnymi schodami dotarła do korytarza, w głębi którego znajdował się duży gabinet. W gabinecie czekała na nią drżąca kobieta.

— Czy już załatwione, Mabel? — spytała.

— Tak, wasza królewska mość! — odpowiedziała Mabel.

Królowa Małgorzata Burgundzka skinieniem ręki pożegnała swą powiernicę, potem majestatycznym krokiem opuściła gabinet

Gdy królowa wyszła z pokoju, Mabel odrzuciła z głowy kaptur, zdjęła maskę, spod której ukazała się blada, zimna twarz. Żyły w niej tytko płomienne oczy. Warknęła do siebie:

— Idź, niemądra królowo! Zawierz mi! Pozwól wciągnąć się w sieci, które zastawiam na ciebie. Gdy przyjdzie czas, wystarczy powiedzieć słowo, wystarczy uczynić jeden ruch, a twoja piękna główka spadnie ci z karku pod uderzeniem topora! Musisz jednak przedtem cierpieć tak, jak ja cierpiałam przez ciebie. O, gdybyś mogła wkrótce zostać matką, jak ja nią byłam...

Zaszlochała. Długo stała w tym samym miejscu nieruchoma i zadumana. Potem powoli przyłożyła ręce do pokrytego zmarszczkami czoła. Płacząc cicho szepnęła.

— Ten Buridan ma na imię Jan. Mój malutki również nazywał się Janek...

V

ENGUERRAND DE MARIGNY

Ojciec Myrtili wszedł na wielką salę. Szedł krokiem człowieka, który jest przyzwyczajony, by wszyscy chylili przed nim głowy. Przed wejściem do Luwru zdjął jedynie płaszcz, w który się ubrał, udając się do Różanej Zagrody. Tristan, jego służący, podał mu ciężką szpadę z mocną rękojeścią w kształcie krzyża. Marigny przypasał broń.

Pierwszy minister zmierzał w stronę grupy dworzan zgromadzonych w głębi komnaty. W gronie dworaków znajdował się również król Ludwik X. Stali tam też uśmiechający się z triumfem hrabia Karol de Valois, konetabl Gautier de Chatilion, Geoffroy de Malestroit, kapitan straży Hugo de Trencavel. Byli i inni panowie, wszyscy pochyleni nad stołem, na którym stała mała szkatułka... Wszyscy kiwali głowami z widocznym przejęciem.

— *Sire* — rzekł Enguerrand de Marigny — jestem na rozkazy waszej królewskiej mości!

— Na Boga! Już ponad godzinę czekam na pana...

— Wasza królewska mość raczy mi wybaczyć. Byłem daleko od mego pałacu. Zawiadomiony przez służącego, że masz do mnie, *sire*, jakiś, pilny interes, pośpieszyłem na wezwanie.

Marigny czekał z ręką wspartą na rękojeści szpady, rzucając badawcze spojrzenie na obecnych. Wszyscy odwrócili głowy prócz Geoffroya de Malestroita, który wpatrywał się w niego, dając mu porozumiewawcze znaki. Widząc to, Marigny zbladł, zmarszczył brwi i przybrał groźną postawę.

Król Ludwik, przezwany przez paryżan Zabijaką, spacerował po pokoju, żując w ustach przekleństwa. Po drodze natrafił na stół zastawiony drogim szkłem. Gwałtownym ruchem przewrócił mebel, tłukąc naczynia. Stanąwszy przy oknie uderzył z taką siłą w szyby, że wyleciały z trzaskiem. Ręka króla zaczęła broczyć krwią, a sam władca zaklął i sychnął wyzwiskami, których nie powstydziliby się rybacy znad Sekwany.

— Do stu tysięcy diabłów! — ryknął. — Po prostu chcą mnie podle ukatrupić! Chcą, żebym zgnił jak ścierwo, gdzieś na rogu placu Greve.

Przyszła nowa fala wyzwisk, a za nimi seria kopnięć nogą oraz ciosów pięścią w fotele i inne meble. W kilka minut później gabinet królewski wyglądał jak po najściu barbarzyńców. Krzesła były poprzewracane, porcelana wytłuczona, portrety poszarpane.

Spokojny i poważny Marigny czekał, aż minie wybuch królewskiego gniewu.

Wreszcie Ludwik X przystąpił do ministra, skrzyżował ręce na piersiach i warknął:

— Czy wiesz, co się dzieje?

— *Sire* — rzekł Marigny — Paryż jest rozradowany, w państwie panuje spokój. Poza tym nie wiem nici

— Nie wiesz? Ty, który musisz wiedzieć o wszystkim. Nie wiesz o tym, że chcą mnie zamordować!? Już od godziny szukam cię, aby ci to powiedzieć! Chodź! Patrz! — dodał, pociągając Marigny'ego do stołu, nad którym stali pochyleni wszyscy świadkowie tej sceny.

Marigny ujrzał szkatułkę, a w szkatułce coś niby trumienkę, w której spoczywała figurka woskowa płaszczu królewskim. Długa szpilka była wbita w okolice serca.

Pierwszy minister wziął w rękę figurkę i zaczął jej się uważnie przyglądać.

— Czy wie pan, co to jest? — wykrzyknął Ludwik X.

— Tak, *sire*, są to nieczne czary, zwrócone przeciw osobie waszej królewskiej mości.

Hrabia de Valois zbliżył się do króla i szepnął mu coś na ucho:

— Niewątpliwie — dodał Marigny — są to niedopuszczalne praktyki. Trzeba być chyba wrogiem waszej i królewskiej mości, żeby nie poznać w tej figurce zamysłu, godzącego w twoje życie, *sire*... — Rzucił na hrabiego de Valois spojrzenie pełne śmiertelnej niechęci i dodał: — Czy jaśnie wielmożny hrabia, stryj waszej królewskiej mości, ma pod tym względem jakieś zastrzeżenia?

Valois spojrział na Marigny'ego i odpowiedział również z niechęcią w głosie;

— Nie wątpię w pańską życzliwość dla jego królewskiej mości, lecz ja właśnie w zastępstwie pana powiadomiłem króla o zamachu na jego życie, uknutym przez niecznych czarowników i czarownice.

Marigny zgrzytnął zębami ze złości. Już-już przygotowywał się do jakiejś piorunującej odpowiedzi, gdy Ludwik X położył mu rękę na ramieniu, spoglądając na niego badawczym i nieufnym wzrokiem.

Marigny zrozumiał, że jest to podejrzenie i jeśli nie uda mu się zwalczyć tej nieufności, będzie się to równało absolutnej ruinie wszystkich jego ambitnych planów, upadkowi jego władzy... Była to pewna śmierć, tortury, straszne tortury, na które skazywano wszystkich królobójców...

— Marigny — rzekł do niego król z powagą, która wzbudziła lęk w sercach wszystkich świadków tej sceny, jakkolwiek król mówił tym razem spokojnie — Marigny, czy zechcesz przysiąc mi, że nic nie wiedziałeś o przygotowywanym zamachu na moje życie?

Marigny uklonił się bardzo nisko. Potem się wyprostował i głosem donośnym jak dzwon powiedział:

— Panowie szlachta, możnowładcy, książęta, i komesowie. Jest taki człowiek, który nie raz i nie dwa, lecz po sto razy wystawiał na sztych swe życie i fortunę, chcąc służyć sławnemu królowi Filipowi, ojcu naszego znakomitego króla. Człowiek ten w bitwach z wrogiem Francji przelewał swą krew, nie poczytując sobie tego za żadną specjalną zasługę! Człowiek ten w chwilach, kiedy skarb państwa był pusty, nie zawahał się sprzedać wszystkich swych klejnotów, aby otrzymane za nie złoto oddać królowi i nie rachował, ile tego tam było! Człowiek ten dnie i noce pracował w pocie czoła dla swego pana, aby pan i władca mógł spać spokojnie. Człowiek ten uwolnił swego pana i króla od templariuszy! Człowiek ten zmusił zbuntowany Paryż do proszenia swego pana o przebaczenie! Gdyby jego królewska mość, król Filip Piękny, mógł opuścić swą mogiłę, dokąd złożyliśmy go przed miesiącem, gdyby, powiadam, król nieboszczyk dowiedział się, co się dzieje w jego Luwrze, spojrzalby wam wszystkim prosto w twarz i krzyknąłby głośno to, co ja teraz krzyknę: Kto ośmiela się podejrzewać sługę państwa? Kto ośmiela się żądać od Marigny'ego przysięgi na wierność dla jego króla? Niech ten, który tak myśli, zechce przemówić! Niech zrzuci maskę! I na miłość boską, ten, który to uczyni, pożegna się z życiem!

To mówiąc, Enguerrand de Marigny dobył sztyletu i spiorunował hrabiego de Valois gniewnym spojrzeniem. Hrabia mimo woli cofnął się przed jego wzrokiem, błady z wściekłości. Dreszcz przeleciał po zgromadzonych.

— Na Boga! — zawołał Geoffroy de Malestroit. — Jeśli podejrzenie padło na tego, który jest sercem Francji, pozostaje nam wszystkim złamać szpady i przywdziać habit!

— To prawda! Prawda! — krzyknęli inni. — *Sire!* Enguerrand de Marigny jest filarem państwa!

Lecz gwałtowne przemówienie ministra wywarło już odpowiednie wrażenie na królu i zabiło w jego sercu wszelki cień podejrzenia.

— Marigny — powiedział król — prawdę rzekłeś, jesteś ponad wszelkie podejrzenia... Oto moja ręka!

Enguerrand de Marigny przyklęknął przed królem, ujął dłoń królewską i ucałował.

Hrabia de Valois uśmiechnął się, a uśmiech ten zdawał się mówić: „Jeszcze nie koniec!”.

— *Sire* — zaczął de Marigny, podnosząc się z klęczek — przeszukam dzisiaj wszystkie podejrzone domy, w których mogłyby kryć się czarownice lub też czarownicy. Jutro wszyscy winni zbrodni staną przed sądem.

— To niepotrzebne! — rzekł Valois .

Słowa te były wymówione bardzo spokojnym głosem.

A jednak przejęły one Marigny'ęga drżeniem. Jakiś zabobonny strach wstrząsnął jego sercem.

— Niepotrzebne? A dlaczego? — zapytał.

— Dlatego — odpowiedział hrabia — że z chwilą gdy postanowiłem zapobiec tej zbrodni, pan, pierwszy minister, może być pewny, że wiem również, kto jest tą czarownicą. Będzie znakomitą sposobnością urządzenie inauguracji Montfaucon... budowli, którą zawdzięczamy twemu, *sire*, ministrowi.

— Czarownica!?! A więc to kobieta?

— Młoda kobieta! — odrzekł Valois, spoglądając na niego krwią nabiegłymi oczami i z triumfem na twarzy. — Tak, młoda dziewczyna, która mieszka w pobliżu Tempie — miejsca zamieszkania przeklętego rodu czarowników, których tylu już kazałeś swego czasu spalić, mości Enguerrandzie de Marigny. Młoda dziewczyna, mieszkająca w małym domku zwanym Różaną Zagrodą. Młoda dziewczyna o imieniu Myrtilla!

Enguerrand de Marigny zachwiał się na nogach. Podniósł ręce do skroni. Głuchy jęk wyrwał mu się z ust. Zwrócił na rywala błędne spojrzenie. Oczy jego śmiertelnie smutne zdały się błagać wroga o litość. Poczuł, że przegrywa.

Valois skrzyżował na piersiach ręce i delektował się swoją przewagą. Zmaganie trwało zaledwie sekundę.

Marigny opanował się wreszcie. Z piorunującą szybkością powziął decyzję. Aresztowanie czarownicy powierzą na pewno jemu. Będzie zmuszony sam dokonać pojmania własnej córki. Dobrze więc, pójdzie ją aresztować i... ucieknie wraz z nią!

Najwyższym wysiłkiem woli kazał swemu sercu milczeć, nerwom uspokoić się, mięśniom nie drżeć, a twarzy nie wyrażać żadnych dręczących go niepokojów.

— No i co o tym wszystkim myślisz, mój Marigny? — zapytał król.

— *Sire* — rzekł ojciec Myrtilli spokojnym i zimnym głosem — myślę, że zbrodnia jest straszna, potworna, że wymaga ona szybkiej i surowej kary. Kiedy szatan podnosi głowę, piorun niebieski powinien spaść na niego. W przeciągu godziny czarownica będzie aresztowana!

— A kto ją aresztuje? — pytał dalej Ludwik X. — Trzeba bowiem dużej odwagi, aby wejść do mieszkania czarownicy.

— Ja to uczynię, *sire* — odpowiedział Marigny.

Król rzucił spojrzenie na Valois, jakby chciał mu powiedzieć: „Widzisz, że nasze podejrzenia są bezpodstawne!”

— *Sire!* — oświadczył Valois. — To ja odkryłem czary i odnalazłem miejsce zamieszkania czarownicy. Mnie więc przysługuje prawo pierwszeństwa. Jeśli mi odmówisz tego prawa; nawet torturami nie zmusisz mnie do powiedzenia, gdzie się kryje drugi zaczarowany przedmiot, przygotowany przez czarownicę, ku zgubie naszego króla.

— Masz słuszość! — wykrzyknął król, przerażony słowami stryja. — Masz zupełną rację! Idź więc, hrabio, i spełnij swą powinność.

Marigny czuł, że odchodzi od przytomności. Łamał ręce w bezsilnym gniewie, zastanawiając się, czy nie będzie prościej przyskoczyć do gardła hrabiemu i udusić go. To znów mówił sobie w duchu, że może jeszcze zdąży dotrzeć do Różanej Zagrody przed hrabią.

W tej samej chwili de Valois dodał:

— Za dwie godziny, sire, będę z powrotem i zdam sprawę ze wszystkiego. Tymczasem jednak żądam, aby wszystkie drzwi Luwru były zamknięte, aby nikt nie mógł opuścić pałacu, nawet ty, sire! To może zniszczyć siłę czaru!

— Panowie — rzekł Ludwik X — jesteście mymi więźniami aż do powrotu hrabiego. Kapitanie, każ pozamykać bramy i podnieść mosty zwodzone.

Hugo de Trencavel pośpieszył spełnić rozkaz królewski. Valois był już na dworze.

„Co robić” — pomyślał Marigny, czując, że traci głowę. „Co powiedzieć! Jak ją ocalić?”

— Panowie — ciągnął dalej król — jesteśmy wszyscy więźniami Luwru, lecz na Boga, chcę, żeby to więzienie nie było zbyt smutne, toteż spędzimy te dwie godziny na spijaniu dobrego winka z Brije. Kto mnie kocha, pójdzie za mną!

Ludwik X skierował kroki do biesiadnej sali. Marigny ruszył za nim i stanął nagle przed królem.

— Co się stało? — zapytał król, marszcząc brwi.

Enguerrand de Marigny był błydy jak trup. Ten mocny człowiek, przed którym drżało całe państwo, sam teraz dygotał jak w gorączce. W jego oczach taił się szal. Czuł, że nic nie jest w stanie ocalić jego dziecka. Przed oczami miał okropne widmo stosu, na którym płonie ociekające krwią, poćwiartowane ciało czarownicy. Czarownica, jego Myrtilla! To słodkie, naiwne dziecię! Jego ukochana córeczka! Jedyne jasne promienie w jego pełnym udręki życiu!

Dobierał słów, aby wszystko powiedzieć królowi, wytłumaczyć, ubłagać, tymczasem z jego ust wydobywały się tylko jakieś niezrozumiałe dźwięki.

— Co się stało? — powtórzył król.

Marigny padł na kolana. Uczynił niesamowity wysiłek, by mówić, by wykrzyknąć swą myśl, ale nie mógł... W głowie huczały mu słowa: „To moja córka, sire... ta czarownica! Ta Myrtilla to moja córka! Moja córka rozumiesz! Nie mam nic na świecie prócz niej! Prócz jej uśmiechu! Mam tylko jej słodkie spojrzenie! Sire! Sire! To moją córkę poszli aresztować! To moją córkę mają wydać w ręce kata!”

Tak wołał, ale nikt nie słyszał słów. Jego blade wargi wydawały jedynie niewyraźny pomruk.

— Czy zaczniesz pan mówić, mości Marigny?! — warknął król.

Marigny wiedział już, co ma powiedzieć królowi. Podniósł głowę, wznosił błagalnie dłonie ku niebu...

W tym momencie otworzyły się drzwi i służący donośnym głosem zameldował:

— Jej królewska mość, królowa Małgorzata!

Jednym susem Marigny był już na nogach. Jego płonący wzrok wybiegł ku Małgorzacie Burgundzkiej, wchodzącej do komnaty królewskiej i w głębi duszy wyszeptał z wściekłością: „Przekleństwo! Mam to powiedzieć przy królowej! Niepodobna! Przy królowej! W jej obecności! W Obecności matki Myrtilli?”

— Sire — wybełkotał — chciałem przeprosić cię za to, że w twojej obecności ośmieliłem się...

— A więc tylko to, mój poczciwy Marigny. W takim razie przebaczam ci! Zwłaszcza że miałeś prawo to uczynić, ja zaś nie miałem podstawy podejrzewać cię o niewierność. Nie mówmy już o tym.

Król, przechodząc nad sprawą do porządku dziennego, skierował się pośpiesznie w stronę królowej, która zbliżała się do niego w otoczeniu dam dworu.

Ciężko dysząc, z czołem zroszonym potem, Marigny przyglądał się Małgorzacie Burgundzkiej. Nagła myśl zrodziła mu się w głowie. W tej tragicznej sytuacji w duszy jego zapaliła się iskierka nadziei. „Małgorzato! O, Małgorzato!” — szeptał w myśli. „Nie chciałem ci mówić, gdzie jest nasza córka, owoc naszej miłości z lat młodzieńczych... Ile razy czołgałaś mi się u nóg, błagając o to, aby ją zobaczyć. Byłem zdecydowany nie powiedzieć ci tego nigdy! Bałem się! Teraz jednak się dowiesz! Powiem ci, gdzie ona jest! Jeśli bowiem Bóg nie pozwoli mi ocalić naszej Myrtili, oskarżonej o czary, ty ją ocalisz! Jesteś przecież jej matką!”

Zaczął pilnie przysłuchiwać się temu, co Małgorzata Burgundzka mówiła do swego męża:

— *Sire*, usłyszałam o strasliwym spisku, uknutym przeciw tobie przez czarownicę, aby skrócić dni twego życia. Najjaśniejszy panie! Przychodzę uprzedzić cię, *sire*, że postanowiłam spędzić noc całą na odmawianiu modlitw...

— Ach, pani! — zawołał Ludwik, całując ją po rękach.

— Nigdy nie potrzebowałam tak modlitwy jak teraz. Bądź więc błogosławiona, bo jeśli jakieś ludzkie głosy mogą sięgnąć nieba, to na pewno jest to twój, pani...

— Spędzę całą noc w mojej kaplicy. Pragnę, aby nic i nikt mi nie przeszkadzał. Będę wdzięczna waszej królewskiej mości, jeżeli zechce uszanować moją wolę.

— Idź, pani — powiedział król głęboko wzruszony. — Wydam rozkazy, aby nikt, pod karą śmierci nie zbliżył się nawet do galerii, na której końcu leży twa kaplica.

Królowa złożyła jeden z tych głębokich, wdzięcznych, a jednocześnie majestatycznych ukłonów, których tajemnicę tylko ona posiadała. Potem przeszedłszy przez długi szpaler, utworzony z pochyłonych w kornych ukłonach panów, oddaliła się krokiem lekkim jak Wenus sunąca zboczami Olimpu. Starsza od Ludwika X o siedem lat, w pełni piękności swych trzydziestu dwóch lat, Małgorzata zdawała się młodszą od swych najmłodszych dworów. Trudno było wymarzyć bardziej harmonijną, bardziej młodzieńczą, a jednocześnie bardziej królewską piękność!

Ludwik spojrział z zachwytem za znikającą w drzwiach królową. Potem westchnął i zawołał:

— Chodźmy pić, moje zuchy!

Po półgodzinie Enguerrand de Marigny opuścił biesiadną salę tak, że król nie zauważył jego odejścia. Pierwszy minister znał dobrze wszystkie zakamarki Luwru, wszystkie jego bastiony, podwórza, uliczki i zwodzone mosty... słowem cały dawny Luwr. Stary Luwr było to miasto w mieście. Luwr otoczony wysokimi i grubymi murami, oddzielony od świata zewnętrznego głębokimi fosami, pełnymi wody, najeżony groźnymi wieżyczkami, zawierający w swym obszernym wnętrzu wszystko, czego mogły potrzebować do życia jego dwa tysiące mieszkańców: od młyna aż do piekarni. Luwr był odrębnym światem, z którym warto było zawrzeć znajomość.

Marigny znał dobrze ten świat. Zamiast pójść galerią, w której głębi znajdowała się domowa kaplica królowej, Marigny zszedł na dół, minął kilka podwórz, znalazł się na tyłach budowli, którą dopiero co opuścił, wszedł na schody, stanął pod tajnymi drzwiami i trzykrotnie zapukał. Po kilku minutach drzwi otworzyły się.

Jakaś wysoka kobieta, mocno zbudowana, z twarzą nieruchomą jak głaz, oczami bez wyrazu, zimna i wydawało się, zżerana jakimś bólem otworzyła Marigny'emu drzwi. Ubrana była na czarno, jakby nie chciała zdjąć z siebie wieczystej żałoby. Twarz ukrywała pod maską, co w owych czasach nikogo nie dziwiło.

— Mabel — rzekł głucho pierwszy minister — chcę zobaczyć się z królową.

— Niepodobną, królowa modli się!

— Tu chodzi o moje życie, Mabel, idź uprzedź Małgorzatę, że Enguerrand chce z nią mówić natychmiast! Idź, nędznicu!

Widząc, że kobieta nie jest skłonna do spełnienia jego woli, Marigny przekroczył próg, otworzył gwałtownie drzwi, przebiegł kilka pokoi i zatrzymał się w pomieszczeniu urządzonym w szczególnie surowym stylu. Na ścianie wisiał olbrzymi krucyfik, a pod krucyfiksem stał klęcznik. Marigny obiegł komnatę spojrzeniem i stłumił okrzyk przerażenia. Była pusta!

Wtedy zrozumiał wszystko! Spuścił głowę, ramiona opadły mu bezwładnie i zataczając się jak człowiek pijany, ruszył w stronę Mabel.

— Posłuchaj! Spójrz na mnie. Wiesz, kim jestem, jakie straszliwe tajemnice mogę posiadać, jak niewiarygodnie wielką nagrodę mogę ci zaoferować. Teraz odpowiedz mi, gdzie jest królowa.

— Nie powiem — odparła zdecydowanie Mabel.

Marigny wznosił w górę pięść i zamierzył się na kobietę. Potem wydał krótki, głuchy jęk i zatoczył się uderzając o ścianę. Ręce trzymał przy uszach, chcąc stłumić brzmiały w nich krzyk jego dziecka: „Mój ojciec, uratuj mnie od kata! Ojciec, nie daj mnie posłać na stos!” Mimo rozpaczki żyła w nim jeszcze nadzieja. Człowiek ten bowiem posiadał mocną naturę. Umiał zmagać się z przeciwnościami.

W parę minut był znowu w sali biesiadnej, gdzie król i jego dworzanie pili, zabawiając się wesołą rozmową. Marigny złapał za rękę Hugona de Trencavela, kapitana straży, i wciągnął go do gabinetu królewskiego. Pierwszy minister był tak blady, że kapitan poczuł dla niego współczucie.

— Trencavel — wymamrotał Marigny — majątek mój sięga dwudziestu pięciu milionów liwrów w złocie.

Wielka to była na owe czasy suma. Trencavel szeroko otworzył oczy z zachwytem i groźnie nastroszył wąsy.

— Na szatana, króla złota, jesteście, panie ministrze, bogatszy od dziesięciu królów naraz.

— Trencavel, skarb ten ukryty jest w workach, po pięćdziesiąt tysięcy liwrów w każdym, a worki te spoczywają w pewnej piwnicy o trzy minuty drogi od Luwru...

Kapitan straży wybuchnął śmiechem, jeszcze bardziej nastroszył wąsiska i zawołał:

— Dlaczego, o święci aniołowie, nie mogę wejść do tej piwnicy i zabrać bodaj jeden taki pyzaty woreczek, przydałby się takiemu jak ja hołyszowi, który w tej chwili nie posiada nawet dziesięciu talarów.

Marigny wpił się paznokciami w ramię kapitana i mruknął:

— Trencavel, wypuść mnie z Luwru! Zaprowadzę cię do piwnicy. Dam ci od niej klucze. Pójdiesz tam z wózkiem, nałożysz tyle złota, ile zdążysz przewieźć w ciągu godziny. Pomóż mi jednak wyjść z Luwru.

Kapitan straży otrząsnął się z uścisku Marigny'ego, odstąpił od niego o kilka kroków i rzekł:

— Nazywam się Hugo de Trencavel, innymi słowy jestem z rodu, w którym nigdy nie było zdrajców! Przysięgałem królowi wierność! Proponując mi niewykonanie rozkazu mego pana, kiedy życiu jego grozi niebezpieczeństwo, nakłaniasz mnie do zdrady, której nie tylko cały pański majątek, ale nawet dziesięć tysięcy takich jak pańska piwnic pełnych złota nie zdoła okupić. Wszystko co mogę dla pana uczynić, wielbię bowiem pański geniusz, otóż, powtarzam, wszystko co mogę uczynić — to zapomnieć o tej hańbiącej propozycji. Chciałeś mnie kupić jak rzecz na licytacji! Żegnaj pana!

Trencavel powrócił na salę biesiadną, pogwizdując wojennego marsza. Enguerrand de Marigny wznosił oczy i zawołał:

— Przekleństwo!
Padł na podłogę jak kłoda!

VI

HRABIA DE VALOIS

Hrabia de Valois opuścił Luwr na czele dwudziestu konnych łuczników, którzy oczekiwali na niego w podwórzu, nie otrzymali bowiem uprzednio żadnych rozkazów. Oddział z szczękiem broni i tętentem końskich kopyt przejechał pogrążonymi we śnie ulicami Paryża i zatrzymał się przed Różaną Zagrodą.

— Uwaga! — rzekł hrabia de Valois. — Tu mieszka czarownica! Niech każdy z was będzie ostrożny i powierzy duszę wybranemu przez siebie świętemu.

W szeregach żołnierzy rozległy się klątwy, pogrożki i wyzwiska.

— Jeśli tylko na mnie spojrzysz swymi ślepiami, rozwalę jej łeb mieczem.

— Niech no tylko spróbuje robić jakieś znaki, czary, zdiele ją przez łeb obuchem!

— Najlepiej wylupić jej oczy!

— Przede wszystkim poucinać ręce!

— Trzymajmy się, towarzysze! Ee... Patrzcie, pan hrabia puka do przeklętych drzwi...

— Musi to być odważny chłop!

— Nic w tym dziwnego, płynie w nim królewska krew!

Valois walił pięścią w furtkę. Łucznicy zadrżeli i przeżegnali się skwapliwie.

— Gillonno! Gillonno! Co to za hałasy?! — spytała blada jak lilia Myrtilła, która po gwałtownej scenie z ojcem nie miała siły, by ruszyć się z miejsca ani nawet wypłakać. Tętent kopyt na ulicy nie wzbudził w niej żadnego lęku. Niechby nawet cały dom okrążyła banda włóczęgów i lotrzyków. Niech tam! Wszystko jej było obojętne. Myślała tylko o tym, że wyjedzie z Różanej Zagrody i nie zdąży uprzedzić Buridana.

— Gillonno, pójdz no i zobacz, kim są ci ludzie i czego chcą!

Gdy Gilonna otworzyła furtkę, do ogrodu wszedł hrabia de Valois.

— Czy ona tam jest? — zapytał głucho.

— Tak, jaśnie wielmożny panie!

— Gdzie będzie dowód czarodziejskich praktyk?

— W pokoju na piętrze, u wezgłowia łóżka dziewczyny stoi klęcznik. Nad klęcznikiem wisi obraz Matki Boskiej, a pod obrazem kropielnica. Wylałam z niej wodę święconą. W kropielnicy jaśnie wielmożny pan znajdzie figurkę czarodziejską, podobną do tej, którą mu posłałam.

— Czy zechcesz świadczyć, że Myrtilła jest rodzoną córką Enguerranda de Marigny'ego?...

— ... który każe się tu nazywać panem Lescotem. Tak, jaśnie wielmożny panie!

— I będziesz świadczyła, że ojciec czarownicy był obecny przy jej praktykach?

— Tak, wielmożny panie.

— I że przystała na to, aby być chrzestnym ojcem woskowej figurki?

— Tak, wielmożny panie.

— To dobrze. Idź do mego pałacu. Znajdziesz tam przygotowany dla siebie pokój, a w nim umówioną sumę... Zaczekasz tam do rozpoczęcia procesu, aż będę cię potrzebował.

— A kiedy dostanę drugą połowę, jaśnie wielmożny panie?

— Wtedy, kiedy trup Marigny'ego zawisnie na szubienicy Montfaucon! — odpowiedział Valois.

Ohydna megiera uśmiechnęła się szyderczo. Potem, owinąwszy się w płaszcz i nasunąwszy na twarz kaptur, opuściła progi Różanej Zagrody i nie oglądając się poza siebie, poszła w kierunku miasta.

Valois przywołał dowódcę oddziału i rzekł:

— Wejźdź na schody, a potem do pokoju na piętrze. U wezłowania łóżka czarownicy zobaczysz kropielnicę. Wyjmij z niej to, co się tam znajduje, i przynieś mi.

Żołdak pośpieszył spełnić rozkaz, a łucznicy wtargnęli do ogródka.

Bezgraniczna nienawiść przepełniała serce hrabiego. Nie mógł darować Marigny'emu poniżenia, na jakie był narażony w ostatnich latach panowania Filipa Pięknego, który faworyzował pierwszego ministra, pomijając swego brata. Stąd nienawiść i chęć zemsty. Wypiastował ją w ciągu szeregu bezsennych nocy, strawionych na rozmyślaniach i układaniu planów walki z rywalem. Uciekł się nawet do podłości. Stał się psem policyjnym, stał się szakalem, nie mogąc stać się lwem, który jednym uderzeniem straszliwej łapy druzgoce głowę przeciwnika.

Karol de Valois nie był człowiekiem złym, historia notuje nawet wiele dodatnich jego cech. Nieszczęściem jego była zawiść. Czuł, że jest człowiekiem skończonym. Czuł, że zszedł na najniższy stopień podłości. Powtarzał sobie jednak: „Niech będę znienawidzony, niech będę pogardzany za sposoby, do jakich się uciekam! Niech tam, niech zemsta moja będzie tak straszna, aby przewyższyła swym ogromem ogrom podłości!”

Teraz nareszcie może się zemścić! Już nazajutrz będzie mógł postawić Marigny'ego w stan oskarżenia. Rywal, złamany i bezbronny, będzie musiał patrzeć na śmierć dziecka, które uwielbiał. A potem i jego powłoką na tortury. Oto co Karol de Valois mówił do siebie, wchodząc do domku Myrtilli.

Gilionna zostawiła drzwi wejściowe otwarte. Wszedł do cichej, przestronnej komnaty, gdzie Myrtilla, siedząc w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach, zapomniała zupełnie o zamieszaniu przed domem, myślała jedynie o swym nieszczęściu.

— Czy to ty jesteś Myrtilla? — zapytał ostro de Valois, stając przed dziewczyną.

— Tak, to ja — odpowiedziała Myrtilla, podnosząc się z miejsca.

Valois mówił dalej:

— Dziewczyno, jesteś oskarżona o czary, skierowane przeciw świętej osobie króla. Czarownico, w imieniu jego królewskiej, mości...

Chciał powiedzieć: „Aresztuję cię!” Słowa te jednak utknęły mu w gardle. Zbladł, potem zaczerwienił się, pozerając oczami czarownicę, którą miał aresztować i która była córką Enguerranda de Marigny'ego.

Powtarzał w myśli pełen zdumienia i zachwytu... „Co? To jest córka Marigny'ego! Tę dziewczynę mam wydać w ręce kata? To dziecko mam oskarżyć o czary! Czy może być tyle piękności, wdzięku i niewinności w jednej ludzkiej istocie!?”

Nieokiełznana, gwałtowna jak huragan namiętność zbudziła się nagle w sercu Karola de Valois. Rzecz dziwna, lecz prawdziwa — pokochał bez pamięci Myrtillę, córkę Enguerranda de Marigny'ego.

Słyszając straszliwe oskarżenie, Myrtilla o mało nie zemdląca. Zbyt dobrze wiedziała, co czeka każdego, nawet niewinnego, na kogo spadnie podobne oskarżenie. Nieprzytomna ze strachu złożyła ręce jak do modlitwy, podniosła na hrabiego swe jasne, niewinne oczy, potem osłabłym głosem, podobnym do jęku, szepnęła:

— Panie, co panu złego uczyniłam?

Pytanie to było tak nieoczekiwane, tak subtelne, tak godzące w prawdziwą istotę rzeczy, że najwymowniejsza obrona stałaby się po tych słowach niepotrzebna i fałszywa, pytanie to bowiem mówiło wszystko.

Valois ugodzony w samo serce, stał milczący, osłupiały i myślał: „Niepodobna! To potworne! Ona musi być ocalona!” Myśli jak szalone kłębiły mu się w głowie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, czując jedynie podświadomie, że nie może wydać tego dziecka katy, podszedł do okna i mruknął do siebie:

— Może uciec tędy... Posłuchaj, dziewczyno, ja...

— Jaśnie wielmożny panie! — ryknął dowódca oddziału łuczników, — Mam to! Znalazłem czarodziejską kukłę! Ohyda! Czarownica ukryła to w kropielnicy pod obrazem Najświętszej Panny.

Dowódca łuczników wdarł się do pokoju, wymachując w powietrzu woskową laleczką. Za nim wpadli również żołnierze, klnąc straszliwie. W jednej chwili Myrtilla została otoczona, ujęta pod ręce i wyprowadzona...

Oslupiały z przerażenia, nie na skutek aresztowania Myrtilli, lecz w obliczu tego, co działo się w jego sercu, Karol de Valojs wyszedł z domku machinalnie, krocząc jak we śnie.

W kilka chwil później Myrtilla, potrącana brutalnie przez łuczników, przechodziła przez zwodzony most, wiodący do Tempie.

Bolesny uśmiech wykrzywił jej usta. Szepnęła:

— Wiedziałam, że cień Tempie złamie mi życie!

Pomiędzy hrabią de Valois a gubernatorem fortecy templariuszy, zamienionej w więzienie przez Filipa Pięknego, odbyła się krótka rozmowa. Potem hrabia wsiadł na konia i ruszył w stronę Luwru bardzo wolno, zatrzymując się po drodze, pogrążony w myślach.

Myrtillę chwyciło dwóch dozorców, którzy żegnając się z lękiem, popchnęli ją na schody, wiodące do podziemi, a potem półmartwą wtrącili do lochu i gwałtownie zatrzasknęli żelazne drzwi.

Ogarnęły ją ciemności i cisza... Ciszę tę przerywał jedynie w równomiernych odstępach czasu lekki szmer. Były to krople wody, zbierającej się pod sufitem i spływającej do kałuży na środku celi.

W nieprzeniknionych ciemnościach błyskały jedynie gdzieniegdzie blade, drobne, świecące punkty. Była to saletra, pokrywająca mury celi więziennej.

VII

WIEŻA NESLE

Gautier d'Aulnay mimo swej zادیorności był ostrożniejszy od brata Filipa. Wesoly z usposobienia, zabijaka i awanturnik, umiał się liczyć z niebezpieczeństwem i nie lubił wystawiać się niepotrzebnie na szwank. To on powziął myśl rzucenia wyzwania Marigny'emu.

Gdy zamaskowany mężczyzna, który wyznaczył im spotkanie w wieży Nesle, opuścił ich mieszkanie, Gautier zamknął drzwi na klucz i na zasuwę i rzekł:

— Nie pójdziemy. To Marigny zastawia na nas sidła. Pułapka jednak jest zbyt prymitywna. Czyżby uważał nas za tak głupich? To poniżające. Zapisuję to również na jego rachunek.

— Pójdziemy — odpowiedział Filip.

— Wytlumacz mi, dlaczego mamy pójść i dać się posiekać na kawałki. Przecież Marigny nie omieszka nasłać na nas pod wieżę Nesle swoich zbirów Ty chcesz umrzeć, to się rozumie, bo kochasz królową, a królowa jest nietykalna, święta! Ja, mój

bracie, kocham tylko dwie księżniczki i z miłą chęcią chciałbym podzielić me serce między jedną i drugą. Nie widzę więc powodu...

— Nie zastaniemy pod wieżą żadnych zbirów — przerwał mu Filip. — Gdyby Marigny wiedział coś o naszej obecności w tym pałacu, po prostu przysłałby dwunastu łuczników i w tej chwili tkwilibyśmy już na samym dnie jednego z więziennych i ochów.

— Istotnie! To prawda! W takim razie chodźmy do wieży Nesle, zwłaszcza...

Gautier podszedł do brata z rozradowaną miną, chytrze mrugając oczami i śmiejąc się rozkosznie:

— Ano tak, naprawdę będzie tak, jak myślę...

— Co takiego?

— Przypomniałem sobie historie, które mi opowiadano przy winie. W opowieściach tych była mowa właśnie o wieży Nesle!

Wybuchnął śmiechem.

— I cóż ci opowiadano, mów! — rzekł Filip.

— Opowiadano mi, że czasem w ciemnych, zawsze zakratowanych oknach wieży Nesle zapalają się światła... Ludzie twierdzą, że bywają wieczory, kiedy się w nich widuje wspaniałej piękności kobietę... Ho! Ho! I to takiej piękności, że mogłaby jej pozazdrościć sama królowa Małgorzata!

— Bracie! — szepnął Filip. — Błagam cię, nie mieszaj czystego imienia królowej do tych bajd o brutalnej miłości, uprawianej przez jakąś nierządnicę...

— Bajd? Mój kochany, to nie żadne bajdy, to prawda, święta prawda. Nie ma szynku przy ulicy Val-d'Amour, przy ulicy Tirevache, gdzie by się nie mówiło o tych rzeczach... Wszyscy mówią, że ta wspaniała kobieta czyha na przechodniów, a gdy się jej który spodoba, przywołuje go uśmiechem i skinieniem ręki... Wtedy ludziska słyszą w wieży Nesle echa orgii, trwającej do późnej nocy... Wiesz, często włóczyłem się dookoła wieży o zmroku, mając nadzieję, że piękna nieznajoma upatrzy mnie sobie bodaj na jedną noc...

— No i widziałeś ją? — zapytał Filip z uśmiechem.

— Nigdy. No bo przecież gdyby mnie ujrzała, na pewno nie wyrzekłaby się takiej okazji. Widziałem tylko czarne oślisze kamienie staruszki wieży, straszliwe kraty w oknach i ciemne wody rzeki, pluskające u jej stóp...

— A widzisz, że to wszystko bajdy. A czy spotkałeś kiedyś któregoś z mężczyzn, zaproszonych na taką nocną orgię?

— Nigdy, przyznaję. Nikt nigdy nie widział takiego. A co będzie, jeśli dziś wieczór zobaczymy tę tajemniczą damę? Jeśli uśmiechnie się do mnie! Albo do ciebie!

— W takim razie pójdę. Ale to nieprawda, mój Gautierze. A zresztą wszystko mi jedno! Ten, kto nas wzywa, jest wrogiem Marigny'ego. To wystarczy! Gdyby człowiek ten był nawet diabłem, błogosławię go za to, że dał nam sposobność pomszczenia śmierci ojca i matki.

Postanowiwszy udać się na tajemniczą schadzkę, obaj bracia czekali z niecierpliwością wyznaczonej przez nieznajomego godziny. Około pół do dziesiątej ruszyli w drogę. Chcieli przejść przez Sekwanę mostem, ale wszystkie mosty o tej godzinie były zamknięte na łańcuchy. Przepłynęli na drugą stronę rzeki łódką, wynajętą od rybaka. Punktualnie o dziesiątej zbliżyli się do wieży. Sterczała dumnie nad samym brzegiem Sekwany, podobna do cienia jakiegoś olbrzymiego wartownika. Strzelała ku niebu wieżyczkami i kapryśną linią murów.

Nagie Gautier położył drżącą rękę na ramieniu brata.

— Widziałeś? — zapytał go cicho.

— Co?

— Okna wieży są oświetlone jak w tych historiach, które opowiadają ludzie u Agnieszki Piedeleu!

Filip wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Ten, który nas wzywa, ma czekać na nas w wieży. Musi przecież zapalić pochodnię.

— To prawda — szepnął Gautier z westchnieniem żalu.

Naraz jakiś cień wyrósł tuż przy nich.

Filip poznał albo zdawało mu się przynajmniej, że poznał mężczyznę, który ich odwiedził w pałacu. Zbliżył się do nieznanego i szepnął:

— Marigny.

— Montfaucon — odpowiedział mężczyzna i ruszył w stronę wieży, dając im znak, aby szli za nim.

Z rękami na rękojeściach sztyletów ruszyli za nieznanym i wkrótce znaleźli się przy niskich drzwiach. Były uchylone.

— Proszę wejść, moi panowie. Jesteście oczekiwani.

Filip rozejrzał się dookoła, wszędzie jednak było spokojnie, a zresztą za późno by się wycofać. Wszedł pierwszy, Gautier ruszył za nim. Znaleźli się w dużym pokoju, zupełnie pustym, w głębi którego widniały duże, kręcone schody.

W chwili gdy Filip odwrócił się w stronę drzwi, wzrok jego padł na mężczyznę, który nie czyniąc najmniejszego szmeru, cicho jak cień, zamykał ciężkie wejściowe drzwi, zasuwiał rygle i obracał klucze w zamkach, a potem ukrył je w kieszeni swego płaszcza.

Filip zadrżał. Grobowa cisza panująca w wieży, lodowaty chłód, wszystko to zbudziło w jego sercu jakieś ponure przeczucie, ale przewodnik zaczął już wstępować na schody.

— Do stu tysięcy diabłów — szepnął Gautier. — Trzeba przyznać, że jeśli opowiadania o wieży są prawdziwe, kochliwa pani źle wybrała miejsce na swe amory. Dreszcz przechodzi mi po skórze.

Na pierwszym piętrze wrażenie to nagle się rozwiało. Znaleźli się w przestronnym salonie, wytwornie umeblowanym. Drugie piętro było jeszcze ładniejsze. Filip i Gautier zostali wprowadzeni do małego pokoiku, którego ściany były pokryte drogim materiałem. Na fotelach leżały duże, piękne poduszki, a powietrze przepojone było wonią tak subtelnych perfum, że Gautier wciągnął powietrze i mruknął, uśmiechając się od ucha do ucha:

— Fiu, fiu! Tu pachnie lepiej niż u Agnieszki...

Filip poczuł nieokreślony niepokój. Przewodnik zniknął. W chwili jednak, gdy stanął na progu, dając im znak, aby zaczekali, brzeg kaptura okrywającego twarz mężczyzny uchylił się i Filip przez sekundę widział rysy jego twarzy. Drgnął i chwycił brata za rękę, szepnął:

— To przecież Stragildo.

— Dozorca lwic króla?

— Tak... i lwów królowej.

— Ba! A czegoż to dowodzi? Powiadają przecież, że ja, na przykład, jestem jak dwie krople wody podobny do naszego króla Ludwika! A jednak nie jestem królem, niestety, bo gdybym był królem, tam do diabła, rozpocząłbym od...

Nie miał czasu wyliczyć wszystkich przyjemności, które by go czekały wraz z tytułem króla. Obu braci nagle ogarnęło uczucie zdumienia, jakie ogarnia wszystkich na widok nierealnej rzeczy.

Drzwi pokoju otworzyły się na oścież. Ujrzeni wspaniałą, szeroką salę oświetloną sześcioma świecznikami, a w każdym ze świeczników płonęło sześć różowych woskowych świec, rozsiewając lekką, przyjemną woń. W głębi stał kredens, a na nim

srebrna zastawa: półmiski, tace, sosjerki, misy, dziwaczne drogie solnice i kunsztownie rzeźbione dzbany. Na dużym stole stał rząd wykwintnych dań. Przy stole siedziały trzy kobiety. Krzesło obok każdej z nich było wolne.

Filip i Gautier na widok tych kobiet stanęli osłupiali, nie mogąc wymówić ani słowa. Zdawało się, że ogarnęła ich nagle jakaś słodka niemoc. Uczucie to zawdzięczali prawdopodobnie wonnym oparom, unoszącym się z płonących pochodni, zapachom egzotycznych kwiatów i podnieceniu na widok pięknych kobiet.

Istotnie, wszystkie trzy były królewsko piękne. Na twarzach miały czarne maski, które pozwalały widzieć jedynie pasowe usteczka pięknie rozchylone w uśmiechu. Przez otwory masek błyszczały oczy, podobne do gwiazd lśniących na mrocznym firmamencie nieba. Wszystkie trzy miały szyje, piersi i ramiona odsłonięte.

Ubrane były w wyjątkowo lekkie szatki. Ich sukien, z zupełnie przezroczystej gazy, nie odważyłaby się włożyć na siebie żadna „wesola dziewczyna” z szynku na Val-d’Amour. Suknie te były tak uszyte, że mogły być w każdej chwili zrzucone albo też znowu włożone na te boskie, piękne ciała, pałające nieokiełznaną żądzą.

Jedna z kobiet wstała i rzekła melodyjnym głosem:

— Zechciejcie wejść, panowie, i zająć przy nas miejsca. Czekamy jedynie na przybycie waszego przyjaciela Buridana, bez którego nie zaczniemy kolacji. Potem będziemy słuchać muzyki i rozmawiać o miłości. Wyznajemy wam bowiem, że wezwaliśmy was pod fałszywym pozorem. Prawdą jest to tylko, że jesteśmy... powiedzmy... trzema siostrami... Tak! Trzy siostry zakochane w was, moi panowie. Oto siostra moja, Pasithea, która kocha się w panu, Filipie. Oto siostra Thalia, która płonie uczuciem do pana, panie Gautierze. O oto ja, Englea, której serce wzbiera miłością do pana Buridana...

Te dziwne słowa, to zuchwałe wyznanie i nieskromne szaty, wszystko to razem wywołało w braciach niezwykle zdziwienie, a Filip, bardziej powściągliwy od Gautiera, pomyślał, że jest to nieomal jakieś diabelskie objawienie. Gautier jednak zachwycony pomrukiwał z rozkoszy. Blady, ciężko dysząc, usiadł przy Thalii.

„Blondynka!” — pomyślał sobie. „Daję słowo, dziś wieczór uwielbiam blondynki...”

Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego usta jego spoczęły nagle na białym ramieniu nierzędnicy, składając namiętny pocałunek. Wybuchnął jednocześnie hałaśliwym śmiechem i wybełkotał:

— A więc i nasz pocziwy Buridan będzie na zabawie.

— Powinien już tu być — odpowiedziała schrypniętym z niecierpliwości głosem ta, która nadała sobie imię Englea. — Na cóż pan czeka, panie Filipie? Dlaczego nie siada pan przy siostrze mojej Pasithei? Czy nie słyszał pan, że cię kocha? Czy nie widzisz, że wyciąga do ciebie ramiona?

W głosie mówiącej słyhać było tajony gniew.

Blady jak śmierć Filip d’Aulnay stał ciągle, nie mogąc wymówić ani słowa.

Rozległy się dźwięki muzyki, łagodne, tajemnicze. Jeszcze silniej zapachniały kwiaty, jeszcze ostrzejsza stała się woń dymu kadzidlanego... Gautier pochwyił srebrny dzbanek, napełniony wonnym i mocnym winem i nalał rubinowy płyn do kryształowego pucharka Thalii, potem napełnił własny aż po brzegi i wychylił go duszkiem ze słowami:

— Piję za przedwiecznego pana, który rządzi światem i kieruje rozkosznymi, miłosnymi snami, piję za Amora. Piję za was, boginie, czy też śmiertelniczki, córy nieba, albo też piekła. Piję za was, boskie piękności i za ciebie, cudowna Thalia, której jeden uśmiech budzi we mnie pożar zmysłów. No, bracie, zbliż się, przecież cię zapraszają! Żyjmy przez godzinę jak we śnie! Ja ulegam urokowi chwili, nawet gdyby potem miała przyjść śmierć!

— Dobrze powiedziane! — zawołała Pasithea. — Jednak pański brat nie jest tak grzecznym kawalerem jak pan, a może uważa, że nie jestem tak piękna jak moja siostra Thalia, która już zdobyła serce pana Gautiera.

— Pani! — rzekł Filip, zwracając się do Englei. — Pani, chciałbym pomówić z tobą, ale tylko z tobą.

Englea uderzyła nerwowo srebrnym młoteczkim w stół.

Weszła służąca — młoda, piękna, ubrana tak jak jej panie.

— Buridan? — zapytała Englea.

Służąca potrząsnęła przecząco głową.

— Dobrze — warknęła gniewnie. — Już jedenasta, a pan Buridan nie przychodzi. Niewątpliwie nie zna tak dobrze zasad grzeczności jak pan! — dodała wskazując na Filipa.

— Pani— powtórzył Filipy — pragnę pomówić z panią na osobności. Może zechce mi pani przebaczyć, gdy pozna przyczyny mego zachowania się, które może wydać się pani dziwne.

— Niech podają kolację — rzekła wstając od stołu. — Pan Gautier zechce może przez parę minut dotrzymać towarzystwa moim dwóm siostrom.

— Och, gdyby nawet było ich dziesięć — zawołał z miną zwycięzcy Gautier — jeszcze znalazłbym dla każdej odpowiednie słówko.

Jednym ramieniem objął Thalię, siedzącą po jego lewej stronie, prawym przygarnął do siebie Pasithea i całując jedną i drugą, szepnął:

— Pewnego razu na Val-d'Amour sprostalem czterem księżniczkom, a was jest tylko dwie.

Słyszac słowo „księżniczka”, którego Gautier użył najniewinniej pod słońcem, bez żadnej złej myśli, obie zamaskowane kobiety zdrząły.

Z dala wciąż dolatywała muzyka skrzypiec. Woskowe świece rozsiewały upojne wonie, a światło ich chwilami bladło, przypominając blask gromniczych świateł. Potem nad tą salą orgii, nad tym wspaniale zastawionym stołem, nad tymi dziwnymi kobietami, nad mężczyzną upajającym się miłosnymi marzeniami ciążyła grobowa cisza, a nad całą tą połączoną uściskiem trójką śmierć roztoczyła swe szerokie, czarne skrzydła.

VIII

MAŁGORZATA BURGUNDZKA

Filip d'Aunlay, który do tej pory stał u wejścia do sali biesiadnej, obserwował Engleę, jak wstaje od stołu, zbliża się do niego, zamyka drzwi.

Englea owinięta w szeroki płaszcz usiadła w fotelu. Filip ciągle stał. W zachowaniu zamaskowanej kobiety zaszła nagle gwałtowna zmiana. Ruchy jej pełne były teraz tak majestatycznej dumy, że Filip, zapominając prawie o obrazie rozpusty, jaki przed chwilą miał przed oczami, ukłonił się bardzo nisko, z wielkim szacunkiem.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zapytała z wyniosłym chłodem.

Ponieważ Filip milczał, kobieta ciągnęła dalej:

— Moja siostra Pasithea, której uczyniłeś teraz śmiertelny afront, jest żoną znakomitego mieszczanina. Mogłaby się zemścić za pańską wzgardę, lecz pani ta, której serce jest czystsze niż ci się zdaje, pani ta, ulegając chwilom nagłego porywu i szału, nie jest zdolna do zemsty. Wszystko w niej jest dobrocią. Możesz więc mówić bez obawy. Co masz mi do powiedzenia?

— Pani, jestem biedakiem, który już nie należy do siebie. Opanowała mnie całkowicie szalona namiętność! Żadne moje spojrzenie, żadna najdrobniejsza myśl, żaden odruch serca, nie może zwrócić się do innej kobiety, tylko do niej.

Zamilkł nagle. Nieznajoma patrzyła na niego ze zdziwieniem, może nawet nie rozumiała, że takie uczucia mogą istnieć na świecie.

— Kochasz więc? — zapytała łagodniejszym tonem.

— Tak, pani!—odpowiedział Filip nieledwie z rozpaczą.

— A pański przyjaciel Buridan, czy także kocha? Czy aż tak kocha, że nie raczył przyjść tutaj?

— Buridan? Gdyby tu był, odpowiedziałby sam na pani pytanie, ja jednak nie zbadałem tajników jego serca — odparł Filip, składając niski ukłon.

— Bardzo dobrze powiedziane. Jesteś równie wierny w przyjaźni, jak i w miłości. Któżby mógł panu poczytywać to za winę. Mogę jedynie pozazdrościć tym, których jesteś przyjacielem i tej, którą zaszczycasz swoją miłością.

Wobec lodowatej ironii nieznajomej Filip potrząsnął lekko głową. Rozpaczliwe słowa wyrwały mu się z ust. Jak wszyscy naprawdę zakochani, którzy chcą zwierzyć się ze swych uczuć, poczuł nagle nieprzewartą potrzebę doznania jakiejś pociechy.

— Pani — mówił głucho — nie wiem, czy ta, którą kocham, może być godna zazdrości. Wiem jednak, że ja zasługuję na politowanie.

— A więc ona nie kocha pana — zawołała z zaciekawieniem zamaskowana kobieta, interesująca się miłosnymi przygodami innych.

— Nigdy mnie nie widziała — powiedział Filip. — A jeśli nawet wzrok jej padł na mnie, to na pewno prześlizgnął się tylko po mnie, bo jestem dla niej drobnym pyłkiem.

— Ooo! A więc to jakaś naprawdę wielka dama!

— Tak, wielka dama! Istotnie.

— Może z królewskiego dworu?

— Tak, pani, z dworu!

— Naprawdę? Czy mogę zapytać pana o jej imię? Niech mi pan wybaczy, ale to nie prosta ciekawość mną kieruje. Widzę pana tak nieszczęśliwego... Och! Nigdy nie widziałam w oczach mężczyzny takich łez, jakie widzę w pańskich.

— To prawda — odpowiedział Filip, wybuchając szlochem — płacę i błogosławię tę przelotną litość, która bodaj na chwilę sprawiła, że głos twój zabrzmiał współczująco. Płacę, bo ta, którą kocham, jest dla mnie nieosiągalna.

— Może to jest żona kogoś z hrabiów lub baronów?

— Płacę nie tylko dlatego — mówił dalej Filip — że ją uwielbiam, jak się uwielbia marzenie, iluzję, a nie rzeczywistość, płacę, bo jest ona jednocześnie królewsko czysta i wyjątkowo piękna! Płacę, bo jest także bezgranicznie święta. I tak jak święta jest przez wszystkich czczona i uwielbiana!

— Och! — szepnęła ze wzruszeniem nieznajoma. — Te płomienne słowa wstrząsają mym sercem!

— Płacę — zawołał jeszcze goręcej Filip — ponieważ ona stoi o całe niebo wyżej ode mnie, od wszystkich baronów, wszystkich książąt. Płacę ponieważ mogę na nią spoglądać, jak się spogląda na niedościgłą gwiazdę! I błyszczącą hen, wysoko pod niebiosami!

Nieznajoma poderwała się gwałtownie i wyprostowała. Pierś jej zafalowała. Krzyknęła gniewnie:

— Jedna jest tylko kobieta w całej Francji, o której można w ten sposób mówić! Filip przyklęknął i jak w obliczu jakiegoś bóstwa, i namiętnie szepnął:

— Małgorzata.

— Królowa?

— Tak, królowa!

Nieznajoma wydała jakiś niezrozumiały okrzyk. Okrzyk, w którym zabrzmiała radość, zdumienie, gorzki żal i może nawet głębokie współczucie. Padła na fotel i przyciskając do piersi obie ręce próbowała opanować wzburzenie.

— Królowa! — powtórzył Filip, powstając z klęczek. — Mówiłem ci już, pani, że jestem prawie szaleńcem... Nie żałuję tego, że zdradziłem pani tajemnicę mojej miłości... Tajemnicę tę ogłosiłbym chętnie całemu światu... Lecz widzisz, pani, że nie mogę tu pozostać ani chwili dłużej i że należy mi przebaczyć, jak się przebacza szaleńcom.

— Pozostań, rozkazuję! — rzuciła nieznajoma, widząc, że Filip zmierza do drzwi, W słowach tych dźwięczała jakaś tajemnicza groza. Pani z wieży Nesle drżała, zdjęta dziwnym wzruszeniem. Zbliżyła się do Filipa. Chwyciła go za rękę. Filip uczył, że ta nerwowa ręka płonie. Głosem przerywanym, błagalnym, a jednocześnie rozkazującym, rzekła:

— Dlaczego traci pan nadzieję? Może ta, o której pan mówi, nie jest tak niedostępna, jak pan sądzi! Może, jeśli będzie miała przed oczami wstrząsający obraz tej miłości, serce jej zadrży tak samo, jak w tej chwili drży moje serce!

— Marzenie... szaleństwo — szepnął Filip przytłoczony myślami.

— Posłuchaj mnie! Chcę wyznać również moją tajemnicę! Nie jestem mieszczką, jestem damą dworu... znam królową! Aaa! Trzęsiesz się!

— Tak — odpowiedział Filip — bo widzę osobę, która widuje królową co dzień z bliska, która z nią rozmawia...

W wybuchu namiętności młodzieniec podniósł do ust delikatną rękę, którą trzymał w swej dłoni i złożył na niej tak gorący pocałunek, że nieznajoma, zdjęta wzruszeniem, znów zadrżała.

— Znam Małgorzatę — rzekła cichym głosem i powiem jej, jaką miłość wzbudziła w pańskim sercu. Zdaje mi się, jestem pewna, że to ją wzruszy!

— Pani, och! Co pani mówi!?

— Prawdę! Małgorzata nie jest może tak czysta, jak pan powiada! Małgorzata jest tylko kobietą, ona ma serce, które potrafi kochać! — Nieznajomą ogarnęło jakieś podniecenie, graniczące z szałem. Półprzytomnie Ciągnęła dalej: — Królowa? Nie ma namiętniejszej kobiety niż ona! Żadna kobieta nie kocha więcej i namiętniej! Jakkolwiek jest ona królową, jest przede wszystkim kobietą. Jest dumna ze swojej kobiecości. Ci których bodaj raz jeden trzymała w swych objęciach, umierają z rozpacz, wiedzą bowiem na pewno, że już nigdy w życiu nie zazną takiej rozkoszy!

Filip cofnął się o kilka kroków, zbladł i kładąc rękę na rękoności swej szpady, wyjąkał:

— Pani, znieważasz tymi słowami królową! Chcesz okryć ją niesławą, zupełnie tak, jakby była nierządnicą! Nierządnicą jak pani!

— Królowa! — krzyknęła szaleńczo nieznajoma.

Jednocześnie zrzuciła z ramion swój płaszcz, ukazując nagie ramiona i piersi.

— Podziękuj Bogu! — zawołał Filip — że jesteś tylko kobietą! Gdybyś była mężczyzną, wtłoczyłbym ci twe obelgi tym oto sztyletem w gardło! Do wszystkich diabłów!

— Królowa! — powtórzyła nieznajoma z tym samym akcentem obłędnej namiętności. — Ty kochasz królową?

— Och! — wybełkotał Filip. — Dlaczego nie ma jej tutaj, żebyś mógł paść jej do nóg, aby prosić ją o przebaczenie! Przebaczenie za to, że z mojej winy jej imię kalane jest brudną obelgą!

— Na kolana więc, Filipie d'Aulnay — krzyknęła Małgorzata Burgundzka, zrzucając z twarzy maskę. — Na kolana przed twoją królową!

Wrażenie było piorunujące. Osłupiały ze zdumienia Filip d'Aulnay wpatrywał się w tę kobietę tak, jakby się wpatrywał w bezdenną przepaść!... Wtedy okropny przewrót dokonał się w jego sercu. Jego sen o miłości czystej, rozwiął się i zapadł w bagno! Królowa była nierządnicą!

Płomienna i szybka jak błyskawica Małgorzata podbiegła do niego, objęła go ramionami i szepnęła omdlewającym głosem:

— Powtórz! Och! Powtórz mi, że mnie kochasz! Upój mnie raz jeszcze tymi czarownymi słowami, które już drżały na twoich ustach! Kocham cię, Filipie! Buridan! Nie! Nie myśl o tym, co mówiłam wcześniej! Nienawidzę tego Buridana! Ciebie kocham!

Gwałtownym ruchem uwolnił się z jej uścisku, cofnął się osłupiały i nieprzytomny z żalu, przerażony rozpaczą, jaką wezbrało jego serce. Nie być kochanym przez królową, kochać ją z dala, bez żadnej nadziei — to było piekło. Widzieć jednak królową postępującą jak nierządnicą, słyszeć z jej ust słowa, które mogą wychodzić jedynie z ust ladacznic, czuć, że się załamało wszystko, co miał w duszy najpiękniejszego, widzieć, jak wędnie cudny kwiat czystego uczucia — to było gorsze niż piekło!

— Jak to — warknęła Małgorzata — odtrącasz mnie! Co to ma znaczyć? Tyś sam powiedział, słowa twoje wstrząsają wciąż mym sercem! Kocham cię! Bodaj przez jedną godzinę kocham cię... i jestem twoja!

— Nieszczęsny! — zaszlochał Filip.

Grymas wściekłości wykrzywił usta Małgorzaty, która cofnęła się z pomrukiem pantery.

Spojrzenie, jakim obrzucił ją Filip d'Aulnay, było I straszne. Tak, mówiąc słowami Biblii, spoglądali potępieńcy na niebo, które było przed nimi na zawsze zamknięte. Jeszcze raz podniósł na nią zrozpaczony wzrok, potem bez słowa skierował się ku drzewom, otworzył je i wyszedł.

W tej chwili Małgorzata Burgundzka skoczyła do dzwonu, który wisiał w rogu pokoju, porwała za młotek i uderzyła gwałtownie... Gong wydał dziwny, poważny, uroczysty dźwięk, który rozszedł się po całej wieży Nesle.

Gdy tylko rozległy się te dźwięki, budząc w korytarzach wieży przeciągłe i posępne echa, na trzecim piętrze, tuż nad salą biesiadną coś się poruszyło. Rozległy się kroki ciche i pośpieszne, stłumione uderzenia, nagły brzęk.

Filip sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, zapomniał zupełnie o swoim bracie i o tym, gdzie się znajduje. Schodził wolno schodami w dół. Nagle poczuł, że ktoś go chwycił za kark, podniósł, wciągnął na górę. Potem odebrano mu broń, mocno związano ręce i nogi. Nie myślał nawet o obronie. Gdy został obezwładniony, poczuł wielką ulgę i zawołał:

— O, śmierci, bądź błogosławiona! Ty największa wybawicielko! Bądźcie błogosławieni wy wszyscy, którzy pozbawiacie mnie życia!

— Bądź spokojny, panie d'Aulnay — jakiś mężczyzna zaśmiał się szyderczo. — Wszystko odbędzie się spokojnie i z szybkością, jakiej zdaje się pan pożądać! Lecz po raz pierwszy słyszę w murach wieży Nesle, żeby jej gość błogosławił mnie za to, co z nim mam zamiar uczynić!

Mężczyzna, który wymówił te słowa, pochylił się nad Filipem. Wtedy młodzieniec rozpoznał ironicznie uśmiechniętego Stragilda.

— Gość wieży Nesle? — szepnął Filip osłupiały z przerażenia.

— He! he! Jeśli umiem rachować, jesteś pan już siedemnasty! Z pańskim szlachetnym braciszkiem osiemnaście sztuk jak obszył! Ładna liczba! Daję słowo, czyni mi to zaszczyt! Ale ten czcigodny jegomość nie słyszy mnie! Połóżcie go w kącie i czyńcie dalej swoje!

Filip opadł z sił. Nie mógł znieść straszliwego bólu wezbranego w jego piersi. Wydawało mu się, że życie zeń ucieka...

Niemal w tym samym momencie, kiedy Filip d'Aulnay został pochwycony przez zbirów królowej, druga banda, złożona z blisko dziesięciu mężczyzn, wdarła się do sali biesiadnej.

Gautier siedział przy stole z dwiema księżniczkami. Rozparty w swym fotelu, z twarzą purpurową, mrugał oczami, bełkotał niewyraźnie jakieś sprośności. Kobiety śmiały się jak szalone, raz po raz dolewając mu wina, aby go bardziej podniecić.

Na dźwięk gongu zerwały się z miejsca przerażone, bo do końca całej zabawy było daleko, godzina ohydnej zbrodni, popełnianej na gościach wieży Nesle, jeszcze nie wybiła...

— Co się stało? — mamrotał Gautier. — No! Chodźcie tu, moje białe sarenki! Ooo! — dodał śmiejąc się tak głośno, że kryształowa zastawa na stole zabrzęczała jak srebrzyste dzwoneczki. — Cóż to znowu za draby! Czy to posiłki, które mają mi pomóc w opróżnianiu tych flaszek! Chodźcie, moi przyjaciele! Chodźcie! Napijemy się! Gautier d'Aulnay zaprasza was!

Nie zdążył dokończyć, gdyż jeden z przybyłych zarzucił mu na szyję szarfę i jął go dusić. Gautier nagle otrzeźwiał, chciał sięgnąć po sztylet, lecz nie znalazł go za pasem. Jednocześnie spróbował wstać z miejsca, potknął się jednak, bo go trzymano za ręce i nogi. Obejrzał się i zobaczył, że kobiety zniknęły z sali. Strach wstrząsnął jego sercem. Gdy zaczęto krępować mu ręce i nogi, zrozumiał, dlaczego nikt nigdy nie widział żadnego z tych, którzy przekroczyli progi wieży Nesle!

Myśl o śmierci błysnęła mu w głowie z przerażającą jasnością. Nie chciał umierać. Wyprężył się, zbierając wszystkie siły. Knebel wyslizgnął mu się z ust, zaczął krzyżeć:

— Do mnie, Filipie! Do mnie, bracie! Do mnie, miluchna Thaliol Do mnie, kochana Pasitheo! Mówiłyście mi przecież, że mnie kochacie! Och! Podawałyście mi przecież usta do pocałunku. A teraz pozwolicie, żebym zginął marnie.

Straszliwe krzyki Gautiera, który nawet w chwili najwyższego niebezpieczeństwa ufał dwóm nieznanym i wierzył w to, że go kochają, rozległy się i utonęły w czeluściach pustego korytarza.

— Och! To straszne — szepnęła księżniczka Blanche.

— Oszczędźmy tego nieszczęsnego chłopca, który nas tak ubawił — mówiła blada jak ściana Joanna.

Małgorzata, która słuchała z przerażeniem jęków Gautiera, potrząsnęła głową i rzekła:

— Ci ludzie nas poznali! Wiedzą, kim jesteśmy!

— Wobec tego muszą umrzeć! — krzyknęły księżniczki, dygocąc jak w febrze.

Wniesiono Gautiera na trzecie piętro wieży Nesle do pustej zimnej komnaty. Położono go na posadzce, a sześciu mężczyzn pochyliło się nad nim, przytrzymując go, gdyż nadal się szarpał. Nie miał siły, by krzyżeć. Jego posępny wzrok błędził po pokoju Nagle ujrzał leżącego brata. Łzy trysnęły mu z oczu. Łkając mówił:

— Biedny bracie! Na pewno już cię zamordowano! Żegnaj, mój drogi! Łotry, na co czekacie? Zabijcie mnie jak jego!

— Cierpliwości, do diabła!

— Stragildo! — warknął Gautier przerażony ohydą prawdą, jaka nagle przyszła mu na myśl. — Stragildo, dozorca królewskich lwów! Stragildo, tu!

Z napięciem zaczął go obserwować. Chciał wiedzieć, co robi tu Stragildo.

Przerażenie jego jeszcze bardziej wzrosło. Stragildo grubym sznurem zaczął przywiązywać kawał żelaza do brzegu olbrzymiego worka. Worek ten był uszyty z podwójnie złożonego płótna. Stragildo pracował szybko, jak człowiek przyzwyczajony do tego rodzaju pracy.

Gautier zrozumiał, że nie zginie od sztyletu, bo krew zostawia ślady! Wpakują go do tego worka, a potem wrzucą do Sekwany! Żelazo pociągnie go na dno! Utopią!

— Och! Tylko nie to! Tylko nie to! Raczej już pchnięcie sztyletem w serce! Och, wszyscy jesteście szatanami! Nie macie ani serca, ani sumienia! A te kobiety! To przecież córy piekła!

— No, jeden gotów! — rzekł Stragildo z szyderczym śmiechem.

Gautier czuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Umrze wraz z bratem! Umrze, czując ciało brata tuż przy sobie. Stracił przytomność.

Ocknął się, gdy podnoszono go z ziemi. Nie stawiał już żadnego oporu, gdy wkładano go do worka.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się, do pokoju weszła kobieta i zapytała:

— Czy już gotowe?

— Za chwilę — odpowiedział Stragildo.

Gautier ostatnim wysiłkiem woli podniósł głowę i ujrzał kobietę bez maski. Była owinięta w długi płaszcz i wyglądała jak pośmiertna zjawa. Poznał ją. Podźwignął się, pogroził pięścią i straszonym głosem zawołał:

— Podła królowo, krwawa królowo, w imieniu moim oraz w imieniu mego brata, zamordowanego przez ciebie, w imieniu wszystkich ofiar wieży Nesle, przeklinam cię! Małgorzato Burgundzka, bądź przeklęta! — Naraz Gautier poczuł uderzenie.

Worek zawiązano, a potem starannie zaszyto. Dwunastu mężczyzn podniosło go z ziemi i po kilku chwilach wciągnięto ciężar na platformę wieży.

— Uwaga! — warknął Stragildo. — Dobrze rozbijać! Starajcie się, aby nie wpaść do wody przy samym brzegi. Raz... dwa... trzy!

Rozległ się stłumiony krzyk. Worek poleciał w dół. Stragildo wychylił się, nasłuchując. Do uszu jego doleciał plusk wody, stłumiony jęk... potem już nic więcej!

— Szczęśliwej podróży! — zawołał.

— Ten człowiek przeklął mnie — szepnęła Małgorzata Burgundzka.

Wody rzeki płynęły dalej spokojnie. Wszystko było skończone. Filip i Gautier spoczęli na dnie Sekwany.

IX

BURIDAN

Wyszedłszy z pałacu d'Aulnayów przy ulicy Froidmantel, Buridan skierował się w stronę hal. Rozmyślał o dziwnej schadzce, którą mu wyznaczyła nieznajoma kobieta. Był zresztą zdecydowany nie iść do wieży Nesle. Nie dlatego, żeby miał jakieś specjalne podejrzenia, lecz po prostu zajęty był czymś innym.

„Muszę dziś wieczorem pozalać wszystkie sprawy, aby dzień jutrzejszy mieć zupełnie dla siebie. Jeśli zdążę, może pójde do tej wieży. Chociażby dlatego, aby poznać mego wroga. Możliwe jednak, że nie załatwię wszystkiego przed północą, tym gorzej! W takim razie nie pójde... Jutro!” — dodał z westchnieniem. „Co zgotuje mi jutro? Czy moja droga Myrtilła opowie o mnie swojemu ojcu i czy ten się zgodzi na nasze małżeństwo? Przekonasz się, Buridan, że ci się nie uda. Urodziłem się chyba rzeczywiście pod złą gwiazdą... Jak miała na imię ta czarownica, która przepowiedziała mi to z ręki? Jak... Mabel! Tak.”

Gdy już znalazł się tuż przy halach, jakiś mężczyzna zastąpił mu drogę i rzekł:

— Wszelkiej pomyślności panu Janowi Buridanowi! Mam zaszczyt pozdrowić pokornie waszmość pana szlachcica.

Mężczyzna ten był ubrany w łachmany, na głowie miał pognieciony kapelusz, z ramion zwisał mu dziurawy, obszarpany płaszcz, spod którego sterczała olbrzymia szpada.

— No, no — mruknął Buridan — dzisiejszy wieczór jest wieczorem spotkań z ludźmi, którzy mnie znają, a których ja nie znam wcale? Kim jesteś?

— Czy chodzi panu o moje imię, czy o moje stanowisko?

— Przede wszystkim o twoje imię.

— Lancelot Bigorne.

— Piękne imię. A teraz twój stan cywilny.

— Skazaniec na śmierć.

— Coś powiedział?

— Powiedziałem, że jestem skazany na powieszenie, przeznaczono dla mnie piękny, konopny krawat, na którym miałem dyndać w powietrzu, aż śmierć ulituje się nade mną. Dziś rano właśnie przypadł mi zaszczyt inaugurować własną szyją nową szubienicę w Montfaucon.

— Ach! Ach! Poznaję cię teraz. To ty miałeś być powieszony w obecności króla i ratując się ucieczką popełniłeś niedelikatność, pozbawiając jego królewską mość tego wesołego widowiska.

— Zgadłeś! — wykrzyknął Lancelot Bigorne, zachwycony makabrycznym żartem Buridana. — Nie oszukano mnie zapewniając, że Buridan jest wesołym kompanem!

— Czego chcesz ode mnie? Co masz mi do powiedzenia?

— Dziś rano tylko dzięki panu udało mi się uciec. Kiedy gonił pan za wozem, a pachółkowie kata za mną, potrafiłeś, pewnie niechcący, porozpychać piersią swego konia...

— ...tych, którzy chcieli cię powiesić? Daję słowo, że nie uczyniłem tego rozmyślnie.

— Hm, zresztą wszystko mi jedno. Winienem panu życie, to jasne. Pewne jest również, że Lancelot Bigorne nie zapomina nigdy, ani obelgi, ani przysługi. A teraz, panie Buridan, powiedz mi, kiedy i gdzie będę mógł z panem pomówić...

— Kiedy? Kiedy zechcesz. Gdzie? Przy ulicy św. Dionizego. Znasz dom pod Trzema Królami? Tak? A więc w domku sąsiadującym z domem pod Trzema Królami! Dom ten należy do pani Clopinel, osoby dojrzałej, czcigodnej, którą bardzo szanuję, chociażby dlatego, że mieszkam u niej i nie płacę jej za mieszkanie. Tam mnie zastaniesz.

Lancelot Bigorne uklonił się nisko i zniknął za rogiem ulicy. Tymczasem Buridan, nie myśląc już więcej o tym dziwnym spotkaniu, ruszył dalej i wszedł na plac Greve.

Na wprost domu z filarami, w którym gromadzili się radni miejscy, pomiędzy słupami pręgierza a szubienicą, nad drzwiami pięknego domu, wisiał olbrzymi szyld. Szyld wyobrażał kwiat lilii. W domu tym znajdowała się oberża. Stałymi gośćmi tej oberży była przede wszystkim młoda szlachta, bogaci studenci i poszukiwacze przygód.

Buridan przeszedł przez wielką salę nie zatrzymując się. Pełno tam było gości, którzy pili wino i grali w kości. Właściciel oberży zawołał nagle ochrypłym głosem:

— Gasić ogień! Kończymy, moi panowie! Kończymy, dzielni studenci! Kończymy, dobrzy goście! Zamykamy!

— Niech cię cholera zadusi!

— Niech cię febra wytrzęsie!

— Niech szatan przygotowuje dla ciebie najbardziej wrzący kocioł!

Takimi okrzykami i wyzwiskami przyjęli goście oświadczenie gospodarza. Ostatecznie jednak, mimo całego gniewu, zaczęli posłusznie opuszczać lokal.

Buridan uważał prawdopodobnie, że rozporządzenie oberżysty jego nie dotyczy. Minawszy bowiem wielką salę, przeszedł do oddzielnego gabinetu, gdzie dwaj mężczyźni, wyglądający na to, że wiedli bardzo wesoły żywot, siedzieli przy stole nad resztkami mięsiwa. Przed nimi stał pełen jeszcze dzban i olbrzymia liczba opróżnionych już butelek.

— Cześć Janowi Buridanowi! — krzyknęli na jego widok, wznosząc do góry kubki.

— Cześć Riquetowi! Cześć Wilhelmowi Wichurze, cesarzowi Galilei! No i cóż, moi drodzy, jakże was tu przyjęto! Czy napiliście się i najedliście do syta?

— Rozkazy twoje, Buridan — rzekł Wilhelm Wichura — zostały wykonane co do joty przez czcigodnego oberżystę. Napchaliśmy się jak wielkanocne kiszki...

— Tak — dodał Riquet Haudryot — lecz Buridan nie przyszedł chyba tylko zjeść z nami.

Buridan spojrzał ostro na swoich kompanów.

— Teraz przyszedł czas na wielkie decyzje! — Wypił duszkiem kubek wina, wsparł się łokciami o stół i dodał: — Posłuchajcie mnie...

— Zaczekaj! — wybełkotał Riquet Haudryot. — Zaczekaj, aż z tego naleśnika zrobię trzy braterskie części, to znaczy zupełnie równe... Według wszystkich zasad braterstwa i równości, tak jest napisane we wszystkich pismach Arystotelesa.

— Ba! — zaśmiał się szyderczo Wilhelm Wichura.

— Przypuszczasz więc, że Arystoteles...

Reszta zginęła w pomruku, który miał wyobrażać śmiech.

Dwaj pijacy to król Palestry i cesarz Galilei. Tytuły te nie były wcale gołosłowne. W owych czasach Królestwo Palestry i Cesarstwo Galilejskie były to dwa potężne związki, a tytuły ich przedstawicieli były najautentyczniejsze. Król Francji uznawał je. Oba bractwa miały olbrzymie przywileje, a ich przewodniczący cieszyli się autorytetem, którego nie mogli zachwiać ani prefekt Paryża, ani starszyzna uniwersytetu.

Z tymi to przedstawicielami dwóch potężnych korporacji rozpoczął Buridan naradę w oddzielnym gabinecie, dawno już zamkniętej na noc oberży. Po pewnym czasie opuścili gabinet, Buridan zbudził gospodarza, zapłacił mu, potem wszyscy, odprowadzeni przez oberżystę, wyszli na ulicę.

Właśnie stróż nocny z latarką w ręku szedł powoli pod filarami, podtrzymującymi dom rady miejskiej. Wykrzykiwał poważnym głosem:

— Już jedenasta! Paryżanie, śpijcie spokojnie!

Nagle w ciszy nocnej rozległy się gdzieś daleko okrzyki:

— Morderca! Łotr!

Krzyki te nikogo nie zdziwiły ani nie zaniepokoiły, nawet straż miejską, była to bowiem rzecz zwyczajna. Paryż w nocy stawał się królestwem band i łotrzyków, szukających szczęścia i łatwego zarobku.

— Żegnajcie, drodzy przyjaciele — rzekł Buridan, gdy zatrzymali się w pobliżu Luwru.

Król Palestry chwycił go za lewą rękę, a cesarz Galilei za prawą.

— Jak to, żegnajcie? — zaszlochał Wilhelm Wichura. — Nie rozstajemy się! Buridan nie opuści mnie w chwili, kiedy czuję pragnienie.

— Pragnienie? — wyjąkał Riquet Haudryot, wybuchając śmiechem. — No, a głów... Buridan, powiedziałaś, że spędzimy noc razem. Jestem głodny!

— Przed chwilą ogłoszono jedenastą. Już czas iść spać...

Obaj przyjaciele zaprotestowali z oburzeniem.

Buridan usiadł na przydrożnym kamieniu i skrzyżował ręce na piersiach.

— Buridan upił się — powiedział Wilhelm Wichura.

— Nie może postąpić ani kroku — dodał Riquet Haudryot.

— Moi drodzy — rzekł Buridan pozwólcie mi usnąć. Macie po talarze na każdego, lecz pozwólcie mi usnąć tutaj!

— Buridan — zapytał król Palesty — nie czujesz pragnienia?

— Ja? Mam piekło w gardle!

— Buridan — ciągnął cesarz Galilei — nie jesteś głodny?

— Ja? Wściekam się już od godziny. Riquecie, uważaj bo cię ugryzę! Wynika z tego, że ja również jestem głodny i czuję pragnienie!

— W takim razie — wymamrotał Riquet Haudryot, skoro jesteś głodny, chodźmy na ulicę Gęsią do szynku „Pokrajany Pysk”. Dostaniemy tam pieczone gąski obłożone słoninką, nadziane kasztanami i ociekające złocistym smalcem.

— Nie! — warknął Wilhelm Wichura — ponieważ jest spragniony, powinien pójść do oberży „Wolny Kornet”, gdzie można dostać ślicznie musujące białe wino, które jest prawdziwą sławą boskiego Bachusa.

— Posłuchajcie, drodzy przyjaciele, posłuchajcie — zawołał Buridan. — Jak daleko jesteśmy od „Pokrajanego Pyska”, gdzie tak dobrze dają jeść?

— O trzysta sążni.

— A ty, Wilhelmie, powiedz mi, jak daleko jesteśmy od „Wolnego Kornetu”, gdzie można się napić dobrego winka?

— Również o trzysta sążni, ale w tamtym kierunku.

— Dobrze! Wynika stąd, że jesteśmy w równej odległości od żarcia i od wypitki!

— To prawda! — wykrzyknęli obaj monarchowie. Dobrze! — ciągnął dalej Buridan. — A teraz wyobraźcie sobie, że jestem osłem.

— Osłem? Ty? — zdziwili się Wilhelm i Riquet.

— Tak. Najzwyczajniejszym osłem, kłapouchem z cienkimi nogami, ze skudłaczonym ogonem... no, osłem i już — rzekł Buridan. — Osioł, któremu w równej mierze dokuczają pragnienie jak głód, nie pójdzie nigdzie, nie będzie mógł ani jeść, ani pić. Gdy się zwróci do wody, głód odciągnie go od niej do owsa. Gdy się zwróci do żłobu, pragnienie pociągnie go do wiadra z wodą. Będzie zmuszony paść z głodu i z pragnienia!

— Pijany! — wybełkotali monarchowie. — Pijany jak bela!

— Otóż i ja, jak ów osioł, nęcony z jednej strony pulardami z „Pokrajanego Pyska”, z drugiej winkiem z „Wolnego Kornetu” i znajdując się w jednakowej odległości od jednego i drugiego, nie ruszę się z miejsca. Żegnajcie, towarzysze!

Z tymi słowami położył się na ziemi, oparł głowę o kamień przydrożny i zachrapał.

— Żegnaj więc — odpowiedział Riquet Haudryot, oszołomiony logiką Buridana. — Idę do „Wolnego Kornetu” przepić twego talara! Bądź zdrow!

Król Palesty i cesarz Galilei, rzuciwszy po raz ostatni spojrzenie na śpiącego Buridana, pokiwali smętnie głowami, a potem, zataczając, rozeszli się każdy w swoją stronę.

Zaledwie oddalili się od niego o kilka kroków, Buridan podniósł się żwawo z ziemi i skierował w stronę Sekwany. Nie zataczał się jednak.

— Do diabła z pijakami! — mruczał, idąc pośpiesznie. — Zdawało mi się, że się już ich nigdy nie pozbędę. A teraz chcę się przekonać, czy mój jegomość z wieży Nesle czeka na mnie czy też nie. Ostatecznie spóźniłem się zaledwie o półtorej godziny.... Powiadają, że król Filip, ojciec panującego Ludwika, przybył ; do Mons-en-Puelle z dwugodzinnym opóźnieniem, co mu nie przeszkodziło jednak w wygraniu bitwy.

Zadowolony w duchu z porównania z Filipem Pięknym, tym bardziej że wyprzedził przecież wielkiego monarchę o pół godziny, Buridan stanął na brzegu Sekwany niezbyt daleko od grubej wieży Luwru, znajdującej się prawie na wprost wieży Nesle.

— Okna są oświetlone — rzekł do siebie z drżeniem — a więc czekają tam na mnie!

W dali, gdzieś bardzo daleko, stróż nocny zawołał:

— Paryżanie, północ nadeszła!

Buridan stanął na brzegu rzeki, której fale mruczały, bijąc o piasek nadbrzeżny. Przy palach wbitych w dno rzeki kołysało się na wodzie kilka zacumowanych łodzi. Bez długich namysłów Buridan odwiązał pierwszą z brzegu, skoczył do łodzi i zaczął wiosłować. Wiosłował, jak to czynią rybacy znad Sekwany, stojąc. Kierował się w stronę wieży Nesle, przyglądając się z dziwnym wzruszeniem jej ciemnym konturom.

Wzruszenie to było istotnie dziwne. Przypisać je chyba należało wielkiej wrażliwości i subtelności. Są ludzie, po których wrażenia prześlizgują się, pozostawiając ich obojętnymi na otoczenie. Są inni, którzy reagują ostro, nieraz podświadomie, z przesadną nawet żywością. Buridan należał do tych ostatnich.

Chyba z tych właśnie pobudek poczuł, że patrząc na wieżę Nesle, doznaje jakiegoś nieokreślonego uczucia grozy. A przecież podobna była ona do wszystkich innych starych wież Paryża. Niemile uczucie wzmoгло się jeszcze bardziej, gdy dobiegał do przeciwległego brzegu.

Z prawego brzegu rozległo się nagle melancholijne wołanie nocnego stróża:

— Paryżanie, śpijcie w spokoju... północ wybiła!

Na ten okrzyk z lewego brzegu odpowiedział drugi, jeszcze posępniejszy, prawie bolesny jęk. Był to głos zakonnika wzywającego do modlitwy za dusze zmarłych.

— Paryżanie, módlcie się za dusze zmarłych!

Potem Buridan ujrzał bardzo wysoko nad głową jakiś cień; a jednocześnie do uszu jego doleciał stłumiony krzyk. Sądził na razie, że jest to głos jakiegoś nocnego ptaka. Zdjęty dziwnym przerażeniem podniósł głowę i zobaczył istotnie coś na kształt dziwnego ptaka. To coś, obróciwszy się parę razy w powietrzu, spadło o parę łokci od łodzi, która zakolysała się gwałtownie... Woda trysnęła w górę... I nagle zaległa cisza.

Gdy to coś dotknęło powierzchni wody, Buridan zauważył, że to worek... Usłyszał krótki jęk. Bez namysłu dał nurka. Wpadł w wodny lej, utworzony przez pograżający się w nurtach rzeki wór. Buridan był nieustraszonym pływakiem. Pozwolił się wciągnąć lejowi aż na dno. Zanurkował, wyciągnąwszy przed siebie ręce.

Nagle jego palce dotknęły worka; uczeplił się go kurczowo i tak trzymając zanurzał się coraz głębiej. Z przerażeniem stwierdził, że w worku znajdują ludzie.

Ogarnęła go wściekłość. Naprężył wszystkie mięśnie. Potem wczepił się zębami w węzeł worka i w tej pozycji utrzymał się przez parę sekund, walcząc z prądem. Tych parę sekund wystarczyło na to, aby po uwolnieniu rąk, dobyć sztyletu. Kilka szarpnięć i płótno rozdarło się od góry do dołu. Zabulgotała woda...

Od chwili gdy worek został wrzucony ze szczytu wieży Nesle do wody, upłynęło zaledwie pół minuty. Trzy ludzkie głowy ukazały się na powierzchni rzeki.

— Tędy! — mruknął Buridan ciężko dysząc.

Popłynął w stronę łodzi, dosięgnął jej ostatnim wysiłkiem, podźwignął się i wyczerpany padł na jej dno. Prawie w tym samym miejscu łódź przechyliła się na prawo, potem na lewo... Po jednej i po drugiej stronie Buridan ujrzał ręce kurczowo czepiające się burty.

Wtedy poczuł, że śmiertelne przerażenie ścina mu krew w żyłach. Wydało mu się, że przeżywa jakiś straszny, nierealny sen. Poznał mężczyzn, których ocalił! Spojrzał na lewą stronę i zdjęty osłupieniem, wyjąkał:

— Gautier! — Spojrzał w prawo i jęknął: — Filip!

Dlaczego Filip i Gautier d'Aunayowie zostali wrzuceni do Sekwany? I to z wieży Nesle, do której on był zaproszony! Jak? Co się tam dzieje? Kto tam mieszka?

Na te straszne pytania nie znalazł odpowiedzi, dwaj bracia bowiem nie poznawali go. Może go nawet nie widzieli. Gautier, wznosząc do nieba płonąca gniewem twarz i potrząsając pięściami, warczał groźnie:

— Jest przecież jakaś sprawiedliwość na świecie Małgorzato! Małgorzato Burgundzka! Strzeż się, bo Gautier d’Aulnay żyje!

Filip zaś, zwróciwszy rozpaczliwy wzrok ku oświetlonym oknom przeklętej wieży, szeptał:

— O, Małgorzato, jeśli żyję — to dla ciebie. Filip d’Aulnay chce żyć, aby cię ocalić.

Gdy wreszcie bracia spojrzeli na siebie, zadrżeli, bo zrozumieli, że jakaś przepaść otworzyła się nagle między nimi. Przepaść, która rozdzieli ich być może na zawsze!

X

LUWR

Karol hrabia de Valois po wyprawie przeciw czarownicy Myrtilli wrócił do Luwru. Gdy wszedł na salę, w której król i dworzanie oczekiwali jego powrotu, nikt nie zauważył na jego twarzy wzburzenia.

Enguerrand de Marigny był przy Ludwiku X. Najwyższym wysiłkiem woli nakazał sobie spokój i zimną krew.

Valois rzucił na niego bystre spojrzenie i nie mógł powstrzymać się od podziwu. Patrzył teraz na niego innymi oczami. Człowiek ten, którego nienawidził w głębi duszy, był ojcem Myrtilli. Nienawiść jego nie zmniejszała się z tego powodu, lecz nie chciał już śmierci dziewczyny, chciał jedynie znaleźć sposób zabicia Marigny’ego, a ocalenia jego córki... Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo w jego duszy. Nie wiedział, że w jego sercu zrodziło się nowe uczucie, z którym należało się liczyć w przyszłości. Otóż stał w tej chwili przed dylematem — jak zabić Enguerranda de Marigny’ego, nie zabijając Myrtilli? Jak to uczyni? Jeszcze nie wiedział.

— *Sire* — rzekł do króla. — Wasza królewska mość jest ocalony. Oto czarodziejska figurka, którą znaleźliśmy u czarownicy.

Marigny zbladł straszliwie, lecz trzymał się mocno.

— Co zrobiłeś z tą kobietą? — zapytał Ludwik X, spoglądając w stronę figurki, lecz nie dotykając jej.

— Osadziłem ją w celi więziennej Tempie. Nie będzie już teraz w stanie szkodzić ci, *sire*.

— Od jutra musi rozpocząć się jej proces. Chcę takiej kary, która przejęłaby dreszczem grozy wszystkie czarownice Paryża i całej Francji. Dopilnuj tego, drogi Marigny.

— Dobrze, *sire* — odpowiedział ojciec Myrtilli spokojnie.

— Panowie, możecie już odejść! — rozkazał król. — Trencavel, każ otworzyć bramy Luwru! Cofam zakaz wychodzenia. Żegnajcie, panowie! Dziękuję wam, że dotrzyмалиście mi towarzysztwa w tej strasznej godzinie próby! Idźcie spać! A ja pójde powiedzieć królowej, że modły jej zostały wysłuchane! Valois, oddaję ci dowództwo nad Tempie! Marigny, zajmij się procesem! Chatillon, roześlesz jutro na miasto zbrojne patrole! W razie najmniejszego buntu nie krępuj się! Trencavel, podwoisz straź Luwru. Dobranoc, panowie!

Szybkim, nieomalże gwałtownym krokiem Ludwik X przeszedł między szeregami zgiętych w ukłonie panów i skierował się w stronę galerii, wiodącej do kaplicy królowej. Dyżurny oficer, stojący przy drzwiach galerii, zastąpił mu drogę ze słowami:

— Wejście wzbronione, sire! V
— Jesteś szalony — warknął król, wybuchając nagle straszliwym gniewem.
— *Sire!* — odpowiedział nieszczęśliwy oficer blady jak trup — wydałeś rozkaz, nie wpuszczać nikogo, nawet ciebie.

Zamiast odpowiedzi Ludwik pochwycił oficera za pas, podniósł do góry i odrzucił tak gwałtownie, że biedak potoczył się kilka kroków. Potem król wybuchnął śmiechem.

— Mości oficerze — rozkazał — pójdź do twego kapitana, pana de Trencavela i każ się zakuć w kajdany! Jutro umrzesz! Idź!

Oficer, zdreptał z przerażenia, zaszalutował i odmaszerował miarowym krokiem. Ludwik X szedł za nim, się skradając. Trencavel przebywał w biesiadnej sali w towarzystwie kilku dworzan, którzy mieli nocować w Luwrze.

— Kapitanie — powiedział oficer — oto rozkaz jego królewskiej mości: każ mnie zakuć w kajdany. Możesz potem uprzedzić kata, że będzie musiał jutro kogoś ściąć. Owym kimś będę ja!

Zdumiony Trencavel zapytał go prawie tak jak król przed chwilą:

— Czy jesteś szalony?

— To nie szalony — wtrącił Ludwik X, wchodząc nagle na salę — to dzielny oficer. Panie oficerze — rzekł, zwracając się do służbisty — pomyliłeś się. Dałem ci rozkaz, abys poszedł do łóżka wypocząć!

— *Sire* — wybelkotał nieszczęsny oficer, chwiejąc się na nogach ze wzruszenia.

— Dodałem jeszcze, że masz udać się jutro do kasy państwa, aby ci tam wypłacono sto talarów. Idź już.

Oficer zaszalutował i oddalił się. Uszedł jednak zaledwie kilka kroków i zemdlony padł na ziemię jak kłoda.

Ludwik Zabijaka opuścił salę biesiadną. Nic go teraz nie zatrzymało przy drzwiach... Otworzył je gwałtownie i... uspokoił się nagle. Widok królowej miał na jego królewską mość zbawienny wpływ. Małgorzata Burgundzka klęczała na klęczniku z twarzą ukrytą w dłoniach, nieruchoma, pogrążona w ekstazie. Przez chwilę król przyglądał się jej z zachwytem. Kochał ją do szaleństwa, a miłość ta była niewątpliwie jedynym poważnym uczuciem, do jakiego był zdolny.

Ludwik X był ignorantem jak większość rycerzy w owej epoce, był zabobonny jak prosta kobieta. Ludwik Zabijaka, który potrafił grozić pięściami swym doradcom, gdy zatrzymywali go za długo na posiedzeniu rady, gardził pracą myśli i odruchami serca.

A jednak żywił dla królowej pełne zachwyty uczucie. Małgorzata była dla niego jakąś istotą boską, wyjątkową, której cnoty równały się wspaniałej piękności.

W chwilach szalonego gniewu, który ogarniał go nieraz z błahej nawet przyczyny, sama obecność królowej sprawiała, iż zaczynał się uśmiechać, uspakajał się, szczęśliwy jak dziecko, które znajduje swą ukochaną zabawkę.

Małgorzata nie kochała go. Dlaczego? Był naprawdę piękny. Odważniejszy, dzielniejszy na turniejach, waleczniejszy w bitwie, wspanialszy podczas ceremoniałów dworskich od każdego z wielmożów owej epoki.

Nigdy nie należy pytać kobiety, dlaczego kocha albo dlaczego nie kocha. Po prostu Małgorzata nie kochała swego małżonka i już.

Po kilku chwilach kontemplacji król zbliżył się do Małgorzaty i rzekł łagodnie:

— Pani, Najświętsza Panna i wszyscy święci wysłuchali twych modłów. Czy mogliby uczynić inaczej, skoro ty ich o to prosiłaś. Przestań więc naprzykrzać się im dalej, uczynili bowiem wszystko, czego chciałaś.

Królowa drgnęła, podniosła głowę i zdziwiła się na widok króla.

— To ty, drogi królu?

Drżenie to, jak również zdziwienie nie były udawane, a modlitwa Małgorzaty nie była hipokryzją... Modliła się, jednak nie za króla.

Podniosła się z klęczek. Była blada, twarz jej nosiła ślady wzruszenia... Duma i radość przepełniły serce Ludwika.

— Małgorzato — powiedział — nie obawiaj się już niczego. Powtarzam ci, że jestem uratowany. Czary zniszczone, a czarownica aresztowana.

— Ach, *sire*! Jaka szczęśliwa nowina! — wyszeptała Małgorzata, starając się wrócić z krainy marzeń do rzeczywistości.

Ludwik chwycił żonę za rękę i podniósł jej dłoń do ust.

— *Sire* — szepnęła królowa — jeśli już nie muszę prosić nieba, przynajmniej powinnam podziękować. Ślubowałam spędzić całą noc na modlitwach. Co powiedziałaaby Najświętsza Panna i wszyscy święci, gdybym nie chciała im podziękować?

— To prawda, na Boga, to szczerą prawdą! — zawołał Ludwik X. — Módl się więc dalej i wybacz mi, że ci przeszkodziłem...

Królowa uśmiechnęła się, złożyła głęboki ukłon i znowu uklękła. Ludwik Zabijaka długo się jej przyglądał z wyrazem żalu i miłości na twarzy, potem cicho wyszedł z kaplicy. Na korytarzu zachowywał się już głośno... Był zły i kłął:

— Ci święci są zbyt wymagający! Nie mogliby poczekać na podziękowanie do jutra!?

Wrócił do swojej sypialni. Wkrótce cisza zaległa we wszystkich zakątkach starego Luwru. Król spał... Królowa się modliła...

Gdy Ludwik X już odszedł, Małgorzata podniosła się z klęczek, przeciągnęła się nerwowo, potem blada i drżąca szepnęła:

— Buridan nie przyszedł...

Głowa jej opadła na drżącą pierś.

Teraz inne myśli jak stado posepnych ptaków krążyły jej po głowie... Jeszcze bardziej pobladła, jeszcze bardziej była przerażona.

— Przeklęta! Ten człowiek... Gautier przeklął mnie! — powtarzała królowa.

Powoli udała się do sąsiedniego pokoju, który był rodzajem przedsionka, dzielącego kaplicę od sypialni. W przedsionku tym czekała na nią kobieta.

— Mabel — rzekła królowa — studiujesz tajemnice życia i arkana śmierci...

Umiesz czytać w starych księgach, pokrytych dziwnymi znakami. Powiedz mi, czy to prawda, że słowa wymówione przez umierającego zawsze się sprawdzają? Że ostatnie życzenie człowieka, który stoi u progu śmierci jest wysłuchane przez duchy ciemności?

— Imaginacja!

— Czy to prawda — mówiła dalej królowa, szcękając zębami ze strachu — że gdy człowiek umiera gwałtowną śmiercią, ostatnia osoba, na której zatrzyma swój wzrok, jest z nim związana więzami śmierci?

— A któż umarł dzisiaj nocy? — spytała Mabel.

— Nie odpowiadasz mi!

— Odpowiadam: to szaleństwo! Potężna królowa poniża się do nędznych zabobonów, dobrych dla zwykłego śmiertelnika?! Śmierć, królowo, jest tajemnicą, którą ludzkość usiłuje zbadać na próżno. Jest to przepaść, której dna nie możemy dostrzec. Pozostaw zmarłych w ich grobach, owiniętych w całun grobowy, w twardą drewnianą suknię trumny, w grube płótno worka... Pozwól im spać wiecznym snem, a jeśli przypadkiem jakieś widmo zechce zakłócić spokój twych nocy, wezwij mnie, odgonię je zaklęciem, chyba żeby było to widmo zmarłej...

— Widzisz więc! Widzisz, że umarli mogą powrócić. Sama to mówisz! A gdyby to była zmarła, nie obroniłabyś mnie przed nią.

Blady uśmiech zakwitł na surowych ustach Mabel, która sama podobna do widma, śledziła ostrym spojrzeniem wykrzywioną lękiem twarz królowej.

— Nędzne zabobony, powiadasz? — mówiła dalej Małgorzata. — Dlaczego więc starasz się poznać ohydne tajemnice mogiły?

— Nie śmierć badam — rzekła Mabel głuchym głosem. — Studiuję życie. A zasadą życia, jego główną podstawą jest miłość.

— Miłość! — warknęła Małgorzata, której myśli powoli ulegały woli Mabel. — Miłość! Szukałam jej, szukam i nie mogę jej znaleźć... a przynajmniej nie mogę znaleźć tego, którego bym chciała... Mabel, posłuchaj, obiecałaś mi przygotować napój... Napój, który wzbudzi miłość do osoby podającej go. A więc udało ci się nareszcie zgłębić tajemnicę sporządzania tego eliksiru?

— Szukam, królowo. Jeszcze kilka dni...

Małgorzata Burgundzka ukryła twarz w płonących gorączką dłoniach, Mabel zaś przyglądała się jej posępnym spojrzeniem, płonącym nienawiścią.

— Mabel — podjęła znowu rozmowę Małgorzata, ciężko wzdychając — Buridan nie przyszedł...

— Mówiłaś mi już o tym... Dziwne, użyłam najbardziej przekonującego argumentu, odwołałam się do jego nienawiści wobec Marigny'ego. Za drugim razem zaapeluję do jego miłości, powiem mu, że jakaś szlachetna księżniczka, wielce w nim rozkochana, pragnie polepszyć jego los i dać mu szczęście. Zobaczymy wtedy, czy w tym młodzieńcu miłość nie jest silniejsza od nienawiści

- Kto wie — szepnęła królowa, ciągle kryjąc twarz w dłoniach. — Kto wie, co on myśli i jakie czary działają na niego. Nigdy nie przyjrzałam mu się tak dobrze jak na Montfaucon, gdy znieważył Marigny'ego, rzucając mu rękawicę. A potem znowu, gdy ryzykował życiem, aby ocalić mnie... Wtedy spojrzał na mnie, a ja widziałam, że w jego sercu nie ma dla mnie miłości... Mabel, jestem bardzo nieszczęśliwa!

Spomiędzy cienkich palców królowej zaczęły płynąć łzy, które Mabel pożerała spojrzeniem.

Drzwi w oddalonej komnacie otworzyły się, Małgorzata usłyszała słaby szmer.

— Zostaw mnie samą — rzekła. — Enguerrand powraca. Co chce mi powiedzieć?

W jednej sekundzie wyraz jej twarzy zmienił się, wszelki ślad wzruszenia zniknął, zaczęła oddychać spokojnie, a oczy zroszone łzami nabrały dawnego pięknego blasku.

Wszedł Enguerrand de Marigny i uklonił się z szacunkiem. Małgorzata usiadła w szerokim fotelu, nogi oparła na bogato haftowanej poduszce, łokcie na poręczy fotela, podbródek ukryła w dłoniach.

— Dawno już nie korzystał pan z prawa wchodzenia tymi drzwiami, od których tylko pan ma klucze. Minęło już co najmniej, jeśli się nie mylę, trzy lata. Od tego czasu dużo zaszło zmian... Ojciec Ludwika zmarł. Mój małżonek nosi teraz, tytuł Ludwika X, ja nie nazywam się już Małgorzata, lecz... królowa. — Wzrok Małgorzaty błysnął ogniem. Z niewysłowioną pogardą w głosie dodała: — Dlatego pewnie przypomniłeś sobie teraz drogę, którą przychodziłeś w odwiedziny do księżniczki Burgundzkiej. Słucha cię jednak, panie ministrze, królowa!

— Chcę mówić nie z królową — odpowiedział minister głucho. — Chcę mówić z Małgorzatą. Pani, przebacz mi moje zuchwalstwo. Każ przywołać strażników, jeśli ci się tak spodoba, każ wrzucić mnie do więzienia, każ mnie ograbić z całego majątku, poślij mnie na szubienicę... Wpierw jednak wysłuchaj mnie! Wysłuchaj mnie, jak słuchałaś kiedyś! Dawno... och, dawno temu, zanim Karol de Valois zastąpił mnie w twym sercu!

W tej samej chwili ciężka zasłona poruszyła się. Ukryta za nią Mabel, która stała tam podsłuchując, szepnęła:

— Ciekawa jestem, czego też się dowiem! Czy nareszcie poznam tajemnicę Małgorzaty? Czy się dowiem, dlaczego ze wszystkich kochanków ocalili jedynie Marigny i Valois! Dlaczego Enguerrand uszedł śmierci?

— Mów — odezwała się wreszcie królowa, mimo woli wracając myślami do owych czasów, kiedy kochała Marigny'ego i hrabiego de Valois.

— Czy jesteśmy zupełnie sami? — zapytał Marigny. — Zrozum mnie. Nie może nas słyszeć nikt! Nikt!

— W moich pokojach nie ma nikogo prócz Mabel. A Mabel nic nie słyszy i nic nie widzi. Słyszy i widzi tylko wtedy, gdy ja tego od niej zażądam. A teraz podnieś się, nim zaczniesz mówić.

Tym razem Enguerrand usłuchał rozkazu, wyprostował się i drżącym, przyciszonym głosem powiedział:

— Małgorzato, siedemnaście lat temu pewnej marcowej nocy, kiedy na świecie szalała burza i były pioruny, co było pewnie znakiem gniewu boskiego, pewna młoda dziewczyna wchodziła do skromnego domku, stojącego na uboczu w pobliżu fortecy Dijon. Towarzyszył jej pewien kawaler, który przez całą drogę podtrzymywał ją i dodawał odwagi. Za nimi szła stara kobieta, która miała opiekować się dziewczyną. Młoda dziewczyna cierpiała straszliwie, musiała zdobyć się na wielką odwagę, żeby przyjść do tego domu... miała bowiem za chwilę zostać matką.

Już po pierwszych słowach tego opowiadania oczy Małgorzaty zaczęły dziwnie płonąć, a serce zaczęło bić nerwowo i nierówno.

— Owej nocy — kontynuował Marigny — młoda dziewczyna wydała na świat małą istotkę, piękną i delikatną... Minęło ledwie parę godzin od chwili jej przyjścia na świat, a już coś na kształt delikatnego i słodkiego uśmiechu ukazywało się na drobnych usteczkach dziecka.

Małgorzata stłumiła szloch.

— Od pierwszej chwili matka pokochała szalenie swe dziecko. Uwielbiała je. Mimo grożącego jej niebezpieczeństwa przez pierwsze trzy dni i trzy noce pozostała przy dziecięciu w małym domku. Ponieważ ryzykowała życiem, musiała rozłączyć się z córeczką, przynajmniej na jakiś czas. Kawaler, który był jej kochankiem, a ojcem i dziecka, zabrał je ze sobą. Odjechał wraz ze starą kobietą, która opiekowała się młodą matką. Kawaler zasztyletował kobietę o tysiąc kroków od domu, aby nie pozostał żaden świadek narodzin dziecka... Żaden świadek, prócz matki, ojca i... Boga.

Królowa jęknęła, pierwszy minister króla Ludwika X kończył opowiadanie:

— Kawalerem tym był ambasador francuski przy dworze burgundzkim, pan Enguerrand de Marigny, młoda zaś matka miała na imię Małgorzata i była starszą córką Hugona Czwartego, księcia Burgundii...

— Moja córka — wyjąkała Małgorzata, — Och! Jeśli nie masz serca z żelaza, powiedz mi, co się stało z tym dzieckiem, ciałem z mego ciała, krwią z mojej krwi... Ach, nikczemna matko! Ach! nikczemna kobieto! Czy wiesz, Enguerrandzie, ile wylałam łez! O, ty! Ty wiesz! Ileż to razy czołgałam się u twoich stóp.

W tej samej chwili zasłona jeszcze raz lekko się poruszyła. Gdyby Marigny podniósł ją, ujrzałby dziwny obraz: Oto, słysząc ostatnie słowa królowej, Mabel padła na kolana, wzniosła ręce do nieba i zawołała:

— Matka! Ona jest matką jak ja! Ojciec niebieski! Boże sprawiedliwy, Boże mścicielu! Bądź błogosławiony przez wieki wieków. Ty, który zsyłasz mi nadzieję zemsty wtedy, kiedy zaczynałam już w nią wątpić.

Małgorzata Burgundzka mówiła dalej.

— Czy wiesz, Enguerrandzie, kim ja się stałam? Ach, ty wiesz! Ty, przeklęty. Żaden bowiem z mych czynów nie ujdzie twej uwadze! A czym byłabym, gdybym miała moją córkę! Czym byłabym, gdyby światło jej niewinnego uśmiechu oświetlało mroczną otchłań mej duszy?

— To prawda — odpowiedział Marigny martwym głosem. — Odmawiając ci prawa do twego dziecka, do naszego dziecka, byłem, być może, zbrodniarzem... Lecz cóż chcesz? Bałem się! Ja, który nie boję się niczego, obawiałem się ciebie! Wiedziałem, że dzień, w którym nie będziesz już mnie potrzebowała, aby odnaleźć swoje dziecko, będzie dniem mego śmiertelnego wyroku! Wiedziałem, że mogę żyć jedynie do czasu, kiedy zdołasz wydrzeć mi tajemnicę, której tak pilnie przed tobą strzegłem! Oto dlaczego popełniłem tę zbrodnię, zmuszając cię do tarzania się u moich stóp.

Małgorzata zacisnęła ręce tak mocno, że paznokcie wbiły się jej w dłonie. Uczyniła straszliwy wysiłek, aby nie skoczyć do gardła człowiekowi, który odgadł jej myśli i który z taką prostotą mówił o możliwości śmierci z jej woli.

— A teraz — warknęła — czego chcesz ode mnie? Jakich łask chcesz się domagać od królowej, która jest matką twojej córki? Jakimi pogroźkami i, co chcesz wymusić na nieszczęśliwej kobiecie, w której sercu gości jedyna czysta myśl — myśl o jej dziecku?

— Małgorzato — rzekł Marigny cichym głosem — przychodzę powiedzieć ci, gdzie jest twoja córka.

Królowa zerwała się z miejsca. Twarz jej się zmieniła.

W oczach błysnęło bezgraniczne zdumienie, wielka radość, a jednocześnie wątpliwość i obawa. Uczepiła się kurczowo ręki Marigny'ego:

— Mów! A potem żądaj wszystkiego, czego chcesz. Możesz żądać nawet podziału państwa francuskiego i oddania ci połowy! Mów! Gdzie jest moja córka?

— W Temple! — Marigny wymówił to takim tonem, że Małgorzata zadrżała z przerażenia.

— W Temple?! — powtórzyła. — A cóż ona tam robi?

— Co się robi w Tempie, Małgorzato? Cierpi się, wpada w rozpacz, umiera ze strachu, jeśli się nie umarło z lodowatego zimna, z głodu, z tortur! Twoja córka, Małgorzato, jest w Tempie.

— Moja córka? — wyjąkała Małgorzata, przesuwając ręką po czole. — Moja córka umiera z rozpacz i z zimna? Moja córka w więzieniu? Marigny, albo ja oszalałam, albo ty straciłeś zmysły? Ty! Enguerrand de Marigny! Ty, pierwszy wśród wielmożów królewskich, pierwszy w państwie po królu. Najpotężniejszy, potężniejszy niż dwaj książęta, bracia królewscy, potężniejszy niż hrabia de Valois, królewski stryj! I ty pozwoliłeś aresztować swoją córkę?

— Pozwoliłem ją aresztować, Małgorzato, ponieważ gdy to czyniono, sam byłem więźniem w apartamentach królewskich! Byłem uwięziony, podczas gdy Karol, hrabia de Valois, aresztował Myrtille, oskarżoną o czary przeciw królowi! Przybiegłem tutaj, aby cię prosić o pomoc, o pośrednictwo, o ułatwienie mi wydostania się z Luwru, nie zastałem cię jednak! Gdy Valois wtrącał twą córkę do Tempie, które jest piekłem na ziemi, ty, Małgorzato, byłaś w więzy Nesle!

Ponury, rozpaczliwy krzyk rozległ się w ciszy pogrążonego we śnie Luwru. Małgorzata Burgundzka, matka Myrtili, upadła na podłogę, wydając przerażający okrzyk:

— Przekleństwo Gautiera d'Aunlaya!

XI

LANCELOT BIGORNE

Dom pani Clopinel przy ulicy św. Dionizego przylegał do sklepu sukiennika. Dom czcigodnej damy wyglądał bardzo skromnie i składał się z parteru, pierwszego piętra i poddasza. Pani Clopinel, wdowa w podeszłym wieku, zabobonna, tchórzliwa, dewotka, zawsze drżąca na myśl, że może być ograbiona w nocy, miała sklepik kolonialny. Mieszkanie na poddaszu było wynajęte Buridanowi na specjalnych warunkach. Lokator nie płacił nic. Gospodyni zobowiązała się do cerowania mu skarpetek i do prania jego bielizny. W zamian za to Buridan musiał bronić panią Clopinel, gdyby jacyś nocni opryszkowie napadli na jej dom, co w owych czasach nie było zresztą rzadkością.

Tym sposobem młodzieniec i leciwa niewiasta zrobili, każdy na swój sposób, dobry interes. Buridan pozbywając się kłopotu płacenia komornego, pani Clopinel zaś przestała od chwili zawarcia tej transakcji obawiać się napadu łotrów. Często zdarzało się, że młodzieniec wracał do domu późno, a nawet nie wracał wcale. Takie noce pani Clopinel spędzała na modlitwach. Toteż gdy Buridan przebywał poza domem i wracał nad ranem wesół, pani Clopinel miała podsiniałe oczy i zmęczoną twarz.

Była dziewiąta rano, Buridan kończył przebierać się i kłął:

— Ohydna noc! Cóż za dzika przygoda z biedakiem Filipem i z pocziwym Gautierem. Co, u diabła się stało? Że też nie chcieli ani jeden, ani drugi nic mi powiedzieć! Dowiem się jednak, gdybym nawet miał włóczyć się pod więźą Nesle przez dwa tygodnie co noc i pukać do jej niskich drzwi! Ba! Nie myślmy o tym choć przez kilka godzin... — Młodzieniec uśmiechnął się. — Droga, kochana Myrtillo! — powiedział. — Zobaczę cię wkrótce. Do diabła ze smutnymi przecuciami! Czy to warto dręczyć się niepotrzebnie? A zresztą — dlaczegoż by pan Lescot miał mi jej odmówić? Jeśli zechcę, zostanę, jak on, kupcem dywanów i tkanin... Dlaczegoż by nie? To zaszczytne zajęcie... Na tych starych tkaninach widuje się obrazy turniejów, walk, bitew... to także pewna pociecha. Zresztą podróżuje się, jeździ się i do Flandrii. Słyszałem nieraz, że Flamandzycy to dzielni ludzie, za przykład może służyć bitwa pod Courtenaj.

Buridan chodził po swym, skromnym pokoju, pogwizdywał, uśmiechał się. Otworzył na oścież okno i słuchając krzyków płynących z ulicy, cieszył się życiem.

Jego pokój na poddaszu był skromnie umeblowany. Było tam łóżko z kolumnami, na których wisiały błękitne zasłony, stała duża szafa, stół, kilka krzeseł i dwa fotele. Na ścianie wisiało kilka szpad i cała kolekcja sztyletów i puginałów. Broń ta nadawała pokojowi tak groźny wygląd, że wdowa Clopinel, przychodząc do Buridana, dygotała jak w febrze.

Na stole stał kałamarz i pęk gęsich piór. Jedne z nich były zatemperowane, inne jeszcze nie tknięte, a obok nich leżało kilka cennych rękopisów.

Buridan ubierał się starannie. Był w podniosłym nastroju. Stan to zwykły u wszystkich zakochanych Nagle ktoś zapukał do drzwi. W progu stanął mężczyzna wysoki, silnie zbudowany, opalony, z twarzą okrytą bliznami.

— Aaaa! — rzekł Buridan. — To ty, mój panie wisielcze!

— Niezupełnie, mości szlachcicu, muszę jednak przyznać, że mało brakowało... Tak, to ja, Lancelot Bigorne, do usług.

— Przychodzisz porozmawiać ze mną, jak mi to oświadczyłeś wczoraj. Tylko, mój pocziwy Bigorne, bije właśnie dziewiąta. O jedenastej muszę być w okolicach Tempie... Zrób więc tak, aby twoje opowiadanie zmieściło się w jednej godzinie. A

teraz weź krzesło, nalej sobie kubek białego wina, które stoi tam, na stole i mów, nie troszcząc się o to, czy będę cię słuchał uważnie... Nie ręczę bowiem, że tak będzie.

— Będzie pan mnie słuchał — powiedział poważnie Lancelot Bigorne. — Zresztą nie potrzebuję tylu minut, ile mi wspaniałomyślnie przeznaczasz.

Gadatliwy gość musiał widać dodać sobie odwagi, jednym bowiem haustem wychylił kubek wina, zaproponowanego mu przez Buridana.

Buridan chodził po pokoju i pogwizdywał, zdając się nie zwracać uwagi na gościa. Nie tracił go jednak z oczu.

„Oto człowiek, jakiego mi było potrzeba” — myślał Bigorne. „Dzielny, wesóły towarzysz, niefrasobliwy do tego stopnia, że ja włożę do niego nieproszony, a on sadza mnie przy stole jak jednego ze swoich przyjaciół...”

„Czego może ode mnie chcieć ten nicpoń?” — myślał z kolei Buridan. „Twarz inteligentna, spojrzenie przebiegłe, zuchwał... Na pewno jakiś włóczęga! Ciekaw jestem, za co chciano go powiesić’.”

— Panie — rzekł nagle Bigorne — potrzebujesz służącego, a ja potrzebuję pana. Czy nie zechciałbyś, żebym ja został pierwszym, a ty drugim?

— Cooo?! — zdziwił się Buridan, szeroko otwierając oczy. — Sądysz, że potrzebuję służącego?

— Bez najmniejszej wątpliwości! Taki człowiek jak pan, wdający się w takie przygody jak ostatnia na Montfaucon, człowiek, który będzie musiał walczyć z Marignym, z królem, królową, z całym dworem, ze strażą miejską, prefektem, z wiatrem, zadymką, burzą, słowem ze wszystkim, co może zaprowadzić na szubienicę, człowiek taki jak pan, potrzebuje mieć przy sobie o każdej porze dnia i nocy kogoś, kto byłby dostatecznie inteligentny, aby wszystko zrozumieć, a dostatecznie zdolny, aby wszystko wykonać. Powinien pan mieć kogoś, kto by nadstawił swą pierś pod pchnięcie sztyletu, przeznaczone dla pana, kto by pochwycił i udusił łotra, czyhającego na pańskie życie...

— Sądysz więc, że ty jesteś kandydatem na kogoś takiego?

— Służyłem — odpowiedział Bigorne zgrzytając zębami — służyłem szlachetnemu hrabiemu Karolowi de Valois, to znaczy człowiekowi najchytrzejszemu z całego państwa, panu, którego służący musi być geniuszem chytrości.

— I sądysz, że twoja pierś byłaby owym puklerzem?...

— Mam na ciele siedemnaście blizn, a jeśli przyjrzesz się z bliska mojej twarzy, dojdiesz do przeświadczenia, że nie mam zwyczaju schodzić napastnikom z drogi.

— A więc uważasz, że zdolny byłbyś do podobnych poświęceń?

— Uratowałeś mi życie.

— Ale jeśli ja, twoim zdaniem, potrzebuję służącego, musisz mi dowieść, dlaczego ty potrzebujesz pana?

— Dlatego, że doprowadzony do ostatniej nędzy, biedny włóczęga zmuszony jestem żądać pieniędzy lub życia od mieszczan, którzy zbyt późno wracają do domu... A to nie przypada mi do gustu! Za każdym razem, gdy ograbię mieszczanina, odczuwam takie wyrzuty sumienia, że śpieszę zanieść połowę łupu czcigodnemu proboszczowi kościoła św. Eustachego. Nie zmniejsza to jednak moich wyrzutów sumienia. Więc, aby utopić w niepamięci drugą połowę wyrzutów, przepijam resztę łupów. Lecz od czasu do czasu wszystkie wyrzuty sumienia wypływają na powierzchnię mej duszy, a wtedy muszę pić trochę więcej niż mam na to pieniędzy. Wtedy piję na kredyt. Z tego wynika, że im więcej mieszczan ograbiam, tym bardziej powiększa się mój dług u Noëla Połamańca, właściciela szynku przy ulicy Tirevache. A ponieważ z drugiej strony i wyrzuty sumienia się zwiększają, więc jestem w sytuacji bez wyjścia.

Buridan wybuchnął śmiechem.

— No, a gdybym cię przyjął na służbę, jakiej chcesz pensji?

— Mieszkanie, życie, resztki z butelek i stare ubranie.

Buridan otworzył drzwi wiodące do wąskiego pomieszczenia, w której wisiały jego stare ubrania.

— Oto mieszkanie — wskazał ręką. — Weźmiesz nakrycie z mojego łóżka, wybierzesz sobie z tych łachów jakiś przyzwoity przyodziewek. Resztki z butelek — gwarantuję ci. Co zaś do utrzymania... będziesz jadał wtedy i tyle razy, ile razy ja będę jadł.

— A będę pościł wtedy, gdy pan będzie pościł. Czy więc przyjmuje mnie pan?

— Od tej chwili jesteś członkiem mego domu. A teraz chcę wiedzieć, za co miałeś być powieszony na Mont-Jaucon.

— Nie powiedziałbym tego panu, gdybyś nie chciał mnie przyjąć na służbę.

Powiem jednak teraz, gdy jestem już pańskim sługą,

— A więc mów, mam jeszcze tylko pół godziny.

Lancelot Bigorne zamyślił się. Jego przebiegła twarz nabrała dziwnie poważnego wyrazu.

— Panie — rzekł, wydając głębokie westchnienie — siedemnaście lat temu byłem w Burgundii, w Dijon, pięknym mieście, w którym mieszkał wówczas książę Hugo, ojciec naszej czcigodnej królowej.

— Czy chcesz mi powiedzieć wszystko, co się z tobą działo przez siedemnaście lat? — zapytał Buridan z niepokojem.

— Nie, uspokój się. A więc mieszkałem w Dijon. Byłem lokajem jaśnie wielmożnego hrabiego do Valois. Lokajem i konfidentem. Byłem mu zaprzędany duszą i ciałem, a nie ma pan pojęcia, jak podła musiała być owa dusza, zaprzędana temu panu. Na przedmieściu Dijon mieszkała pewna bardzo piękna dama imieniem Anna de Dramans. Pani ta należała do miejscowej szlachty. Była bardzo piękna i dobra. Uwielbiała swego pięcioletniego synka. Miał na imię Jan...

— Jak ja! — powiedział Buridan.

— Istotnie, panie Janie Buridan. Mój pan bywał codziennie u pani de Dramans. Zapomniałem dodać, że pani Anna była kochanką hrabiego, a mały Janek jego synem.

— Nie zazdroszczę tego małemu Jankowi — wtrącił Buridan — Hrabia de Valois jest bowiem typem, który tak samo jak Marigny zasługuje na stryczek.

— Nie potrzebuje mi pan tego mówić! Hrabia de Valois był kochankiem Anny de Dramans i jak mi się wydawało, mieli się pobrać, kiedy tylko jakieś trudności, które zawsze wynajdywał hrabia, znikną. Pani de Dramans często płakała, ponieważ jednak bardzo kochała Karola de Valois, a mały Janek był jej wielką pociechą, czekała cierpliwie. Nagle hrabia de Valois przestał bywać u Anny, Zaczęło się to, jak dziś pamiętam, we wtorek i jeśli pamięć mnie nie myli, akurat w przeddzień, w poniedziałek, w dniu św. Bobolego, wyjechał do Paryża pan Enguerrand de Marigny, który piastował godność ambasadora przy dworze księcia Burgundii.

— Valois! Marigny! — warknął Buridan. — Ładna para!

— Ma pan rację, panie Buridan — rzekł Lancelot Bigorne z chytryością w oczach. — Teraz muszę panu powiedzieć, że na dworze burgundzkim znajdowała się wówczas młodziutka panienska tak cudownej piękności, że niepodobna, było na jej widok nie oszaleć z miłości. Otóż owa panienska została kochanką hrabiego de Valois...

Tu głos Bigorne'a stał się dziwnie głuchy. Podniósł się z miejsca, podszedł do drzwi nad słuchując, po czym powrócił, pochylił się do ucha Jana i szepnął:

— Straszna to tajemnica, mości Buridan. Powiem panu imię tej panny, lecz jeśli zależy panu na życiu, nie wymieniaj go nigdy. Owa młoda panna nazywała się Małgorzata, była starszą córką księcia Burgundii, a dziś jest małżonką naszego króla, Ludwika X!

— Królowa! — powiedział drżącym głosem Buridan.

Lancelot Bigorne kiwnął głową i szeptem, czujnie nasłuchując, mówił dalej:

— Jak to się mogło stać? Dlaczego córka księcia Burgundii, uchodząca za pannę równie mądrą jak piękną, zgodziła się na romans z hrabią de Valois? Nikt nigdy nie będzie tego wiedział! Klnę się na wszystko, że mówię prawdę.

— Wierzę ci — rzekł Buridan z szyderym uśmiechem. — Ostatecznie jednak wiadomość, że nasz poczciwy król został rogaczem, zanim zyskał na to urzędowe prawo, nie jest znowu tak straszną rzeczą. Jaki jednak może być związek między miłośkami królowej Małgorzaty z Valois, a stryczkiem, który ci groził na Montfaucon?

— Cierpliwości, zobaczy pan! Jest związek! Otóż hrabia de Valois, zostawszy kochankiem Małgorzaty, opuścił Annę de Dramans i jej syna Janka. Upłynął miesiąc, podczas którego miałem polecenie zanieść jej co parę dni zmyślane przez hrabiego wiadomości. Biedna Anna gryzła się i chudła, aż nawet ja, niezbyt czuły z usposobienia, nie mogłem już na to patrzeć. Wspomniałem o tym mojemu panu, który obawiając się może jakiegoś wystąpienia przeciw sobie, znowu parę razy odwiedził Annę, po raz tysięczny zapewniając ją, że wkrótce się z nią ożeni. No i niech pan sobie wyobrazi, że podczas jednego z takich spotkań drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich Małgorzata... Tak, Małgorzata była zazdrosna, kazała śledzić hrabiego, a potem sama udała się za nim i była świadkiem ich pocałunków i jego fałszywych obietnic. Weszła wściekła! Zapewniam pana, że choć byłem w sąsiednim pokoju, zdrząłem ze strachu na jej widok...

— Pozostało już tylko dwanaście minut... — rzekł Buridan.

— Już kończę. A więc Małgorzata wpadła do pokoju jak tygrysica. „Ta kobieta jest pańską kochanką?” — zapytała hrabiego. Valois zbladł, zaczął się trząść i bełkotać coś niezrozumiale. Anna podeszła do Małgorzaty i odpowiedziała: „To prawda, jestem jego kochanką, a wkrótce zostanę jego żoną. A kim pani jest? Czego sobie życzy?” „Zemścić się!” — odpowiedziała Małgorzata. Jednocześnie dobyła mały sztylet, który nosiła zawsze przy sobie i pchnęła nim tak silnie panią de Dramans, że ta padła bez życia. Hrabia de Valois nie ruszył się z miejsca. Ja zdębiałem ze strachu. Nie mogłem oderwać oczu od Małgorzaty, pochylonej nad rywalką i wypowiadającej słowa: „Nie żyje!” Potem spojrzała na Valois, bladego jak płótno i drżącego jak wierzba podczas burzy i warknęła: „A teraz dziecko!” Panie Buridan, to było straszne: po zamordowaniu matki, chciała zamordować syna! Tygrysica! Powiedziałem już panu, że to tygrysica!

— A co uczynił Valois? — zapytał Buridan.

— Valois! Tu jest najpiękniejsza część sprawy! Tygrysica zaczęła ryczeć: „Teraz dziecko, mój hrabio, albo pobiegnę do pałacu, zbuntuję cały dwór przeciw panu i każę pana wygnać jak łotra!” Szczękając zębami, odpowiedział jej: „Już dobrze! Jestem posłuszny!” Przywołał mnie wtedy. Przybiegłem. Valois rzekł do mnie: „Weź dziecko i utop je!” Wyszedłem z pokoju, udałem się do sypialni, w której spał mały Janek, wziąłem go na ręce, owinąłem w mój płaszcz i wróciłem pokazać go Małgorzacie w nadziei, że ulituje się nad nim. Ona — i litość! Spojrzała na mnie, zajrzała prosto w oczy wzrokiem, na którego wspomnienie do dziś czuję chłód w sercu, potem rzekła: „Słyszałeś, nieprawdaż?” Wybiegłem z domu, tłumiąc krzyki i płacz biednego maleństwa. Gnałem przed siebie blisko godzinę, wreszcie wpadłem do jakiejś opuszczonej chałupki. Dziecko usnęło na mych rękach. Złożyłem je na posłaniu z mchu i suchych liści i wróciłem do hrabiego. „Dziecko?” — zapytał mnie. „Utonęło!” — odpowiedziałem. Nie zapłakał, tylko zbladł trochę. Czekałem potem całą godzinę, przeczekałem dwie i udałem się do chałupki, aby zabrać dziecko i umieścić je w bezpiecznym miejscu. Przechodząc koło mieszkania pani de Dramans nie mogłem

powstrzymać j się, by nie wstąpić i spojrzeć na zmarłą. Wszedłem... Ujrzałem Annę zakrwawioną. Czołgała się chcąc dosięgnąć drzwi... Żyła jeszcze.

— Pozostaje ci tylko pięć minut na opowiedzenie reszty.

— Anna nie umarła... nie tylko, że nie umarła, lecz słyszała wydany mi rozkaz utopienia jej syna. Przynajmniej tak zrozumiałem z kilku słów, które udało jej się powiedzieć. Wtedy czując, że włosy jeżą mi się na głowie, wyskoczyłem z domu, aby odszukać dziecko i przynieść je matce. Wpadłem do chałupki, lecz dziecka w niej nie było. Mały Janek zniknął!

Lancelot Bigorne zamilkł na chwilę, spoglądając w zamyśleniu przed siebie, jakby widząc wszystko to, co się wtedy stało. W końcu zaczął mówić dalej:

— Od owej chwili minęło siedemnaście lat. W przekonaniu, że hrabia de Valois każe mnie zabić, gdy się dowie, że dziecko, jego syn, żyje, pewnego pięknego dnia porzuciłem służbę. Mijały długie miesiące i lata... Zapomniałem już prawie o całej tej historii. Wstąpienie na tron Ludwika, męża Małgorzaty, przypomniało mi ją jednak. Przed trzema dniami wałęsałem się w okolicy pałacu Marigny'ego przy ulicy św. Marcina, czyhając na któregoś ze spóźnionych mieszczan, podobny do wilka, którego głód wygania do lasu... Nagle ujrzałem cień. Ktoś podglądał, co dzieje się w pałacu Marigny'ego. „Dobra nasza!” — powiedziałem do siebie. „Jegomość jest sam! Niebo mi go zsyła”. Zbliżyłem się do niego, przyłożyłem mu sztylet do piersi i poprosiłem grzecznie o sakiewkę. Mieszczanin nagle wrzasnął. Dwunastu drabów opadło mnie, związało, powlokło do Chatelet, dokąd poszedł ze mną i mieszczanin. Przy świetle pochodni już w Chatelet przyjrzałem się jegomościowi i poznałem go. Był to jaśnie wielmożny hrabia de Valois, mój dawny pan. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, którą na pewno podszeptał mi diabeł. „Wielmożny panie — rzekłem cicho — daję panu tydzień na uwolnienie mnie. Jeśli to nie nastąpi, postaram się, aby mnie stawiono przed królem Francji, a wówczas opowiem mu o miłostkach królowej Małgorzaty z Karolem de Valois!”. Zbladł, przyjrzał mi się i szepnął z przerażeniem: „Lancelot Bigorne”. „Ten sam, wielmożny panie.” — odparłem. „Zamilcz” — powiedział. „Ani słowa. Jeszcze przed upływem tygodnia będziesz wolny i bogaty”.

— Już nie mam ani minuty wolnego czasu — przerwał mu opowiadanie Buridan.

— To koniec, panie Buridan. Usnąłem spokojnie, w przeświadczeniu, że Valois rzeczywiście każe mnie wypuścić. Na trzeci dzień rano wyprowadzono mnie z celi, Byłem bardzo wesoły... a tu nagle otaczają mnie mnisi i pachołkowie kata, aby zaprowadzić na Montfaucon! Nie muszę opowiadać reszty.

— I jaki stąd wniosek? — zapytał Buridan.

— Że życie moje trzyma się jedynie na włosku, że Valois będzie mnie szukał wszędzie; gdzie tylko gromadzą się tacy włóczędzy jak ja, i że jeśli chcę dłużej żyć, powinienem zmienić tryb życia i przybrać zawód poczciwego człowieka oraz przyczepić się do kogoś, kto mógłby w razie potrzeby, obronić mnie.

— Amen! — przerwał Buridan. — Powiedz mi teraz, co się stało z małym Jankiem. Historia tego biedactwa wzruszyła mnie.

— Nigdy się tego nie dowiedziałem, jak również tego, co się stało z jego matką... Pewnie umarła od sztyletu Małgorzaty.

Jakkolwiek Buridan pozornie nie interesował się opowiadaniem Lancelota, lecz w gruncie rzeczy słuchał z wielką uwagą dziwnej historii, w której królowa Małgorzata odegrała tak straszną rolę.

— Postaraj się nie spotykać nigdy nos w nos z hrabią de Valois — rzekł, gotując się do wyjścia.

— A właśnie tak się stało wczorajszej nocy, że o mały włos nie wpadłem znowu w jego sieć jak głupie bydło. Jeżeli spotkamy się po raz trzeci, któryś z nas zginie! Panie! — dodał Lancelot. — Wychodzę z panem. Zaczynam już pełnić moją służbę.

— Dobrze, idź za mną w pewnej odległości i zatrzymaj się przed drzwiami domku, do którego wejść. Zaczekaj tam na mnie.

Po tych słowach Buridan zszedł na dół, wyprowadził z małej stajenki swego konia, dosiadł go i udał się na ulicę Vieille-Barbette. Jadąc tą ulicą aż do końca, znalazł się przy Różanej Zagrodzie. W owych czasach z powodu brudu, jaki panował na ulicach, jedynie ludzie niższego stanu albo po prostu biedacy chodzili ulicami na piechotę.

Stanąwszy przed Różaną Zagrodą, Buridan zsiadł z wierzchowca, rzucił lejce Lancelotowi. Bigorne widząc, że jego pan zatrzymał się przed tym domem, zrobił dziwnie wystraszoną minę. Buridan jednak nie zauważył tego i z bijącym sercem pchnął ogrodową furtę. Otworzyła się jak zwykle.

Młodzieniec nigdy jeszcze nie był w Różanej Zagrodzie za dnia. O oznaczonej godzinie Gillionna czekała na niego przy furtce.

Buridan wszedł do ogródka, przebiegł go niecierpliwym krokiem zakochanego i znalazł się przed drzwiami jasnego, wesołego domu... Drzwi były otwarte.

— Myrtillo! Droga Myrtillo — wołał Buridan, sądząc, że jak zwykle jego śliczna narzeczona wybiegnie na jego spotkanie.

Tym razem jednak Myrtilli nie było. Buridan wszedł do wielkiej sali, jedyne go pokoju, który znał w tym domu. Nikogo nie było. Wszędzie panował spokój. Ciszę domu zakłócał jedynie głośny spór dzwońca ze szczygłem, fruujących pomiędzy gałęziami drzew.

Długi promień słońca oświetlał pokój, w którym tak często zakochani składali sobie przysięgi.

— Gillonno! — zawołał Buridan stłumionym głosem.

Jeszcze chwilę wahał się, potem przeszukał dom od góry do dołu. Ogarnął go niepokój. Pomyślał z drżeniem serca, że pewnie Myrtilła uczyniła ojcu wyznanie, a pan Lescot, bogaty mieszczanin, nie raczył nawet poznać tego, który kochał jego córkę i aby rozdzielić natychmiast narzeczonych, wywiózł Myrtilłę. Wkrótce gorsze podejrzenie przyszło mu do głowy. „To nie pan Klaudiusz Lescot wywiózł Myrtilłę. Znalazłaby sposób, aby przysłać do mnie Gillonnę. A resztą po cóż by pozostawiono otwarte drzwi do domu?” Bezradny zaczął szlochać.

Nagle ktoś zasłonił promienie słońca padające przez okno. Buridan podniósł głowę i ujrzał Lancelota.

— Płacze pan? — zapytał świeżo upieczony sługa.

— Nie! — odpowiedział Buridan przez zaciśnięte zęby, podczas gdy rzęsiste łzy spływały mu po policzkach.

— Płaczesz — ciągnął dalej Lancelot — i powiem panu dlaczego. Dzisiejszej nocy porwano młodą dziewczynę, która tu mieszkała. Wiem o tym.

Buridan przyskoczył do niego tak gwałtownie, że Bigorne musiał się cofnąć aż do drzwi. Jan ścisnął go za ramię, a wzrok jego błysnął podejrzliwie.

— Skąd wiesz o tym? — warknął. — Mów, przyznaj się, że przychodzisz od tego, który porwał Myrtilłę!

— Dusisz mnie — wycharczał Bigorne — a chcesz, żebym mówił!

— To prawda — rzekł Buridan, zwalniając nieco uścisk rąk. — Mów teraz, mów całą prawdę!

— Wczorajszego wieczoru włóczyłem się dookoła Luwru. Nagle ujrzałem wychodzącego stamtąd hrabiego de Valois. Towarzyszyli mu konni łucznicy. Z ciekawości, a również dlatego, że mam co do hrabiego różne zamiary, poszedłem za tą bandą, która podobna do stada kruków, wyfrunęła ze starego gniazda — Luwru, Szedłem wciąż za nimi i ujrzałem, jak stado kruków spadło na ten domek.

— Valois! — jęknął Buridan, czując, że ogarnia go dziwna trwoga. — Valois, powiadasz, że Valois był tutaj!?

— Jaśnie wielmożny Karol, hrabia de Valois, książę piekieł, stryj królewski a kuzyn szatana. Tak, panie, Valois przyszedł, aby aresztować tę dziewczynę...

— Aresztować ją? — zawołał zdziwiony Buridan.

— Ten zbir uczynił to!

— Aresztowana! Myrtilla aresztowana!

— I odprowadzona do Tempie! Mówię prawdę!

— Ale za co!? — krzyknął przerażony, wrywając sobie włosy z głowy.

— Ponieważ jest oskarżona o czary przeciw królowi. Łucznicy darli się: „Śmierć czarownicy!”

Buridan padł na fotel jakby rażony piorunem.

XII

TEMPLE

W kilka godzin później, już o zmroku, woźny prefektury, konno, otoczony sierżantami, eskortowany przez herolda, zatrzymał się na placu Greve po długiej wędrówce ulicami Paryża. Herold zatrąbił w róg. Zgromadził się tłum, a woźny donośnym głosem zaczął czytać:

Dziś, dwunastego maja tysiąc trzysta czternastego roku, my: Jan de Precy, prefekt miasta Paryża, podajemy do wiadomości wszystkich mieszkańców wolę jego królewskiej mości, szczęśliwie panującego nam króla, oby Bóg miał go w swej opiece:

Po pierwsze, gubernatorem fortecy Tempie został mianowany jaśnie wielmożny hrabia de Valois.

Po drugie, każdy mieszczanin i inny mieszkaniec Paryża będzie surowo prześladowany przez straż miejską za niestosowanie się do przepisów gaszenia ogni.

Po trzecie, nakazuje się wszystkim Żydom zamieszkałym w mieście dobrowolne poddanie się rewizji, jaka ma być dokonana w ich domostwach.

Po czwarte, rozkazuje się wszystkim mieszkańcom donieść niezwłocznie o tym, gdyby ich sąsiad lub sąsiadka, lub ktoś ze znajomych utrzymywał znajomość z diabłem albo też zajmował się czarami.

Gdy już woźny zakończył swój obchód, skierował się do Chatelet, a tłum, który słuchał jego obwieszczenia, zaczął się rozchodzić do domów wielce zadowolony, a to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że król mówił o pewnych trudnościach, jakie miano poczynić Żydom, co było zawsze powodem do radości, zwłaszcza że po każdej rewizji bodaj jeden z nich musiał zginąć na stosie; a po drugie, obwieszczenie króla nic nie wspominało o nowych podatkach, której to wiadomości mieszczaństwo obawiało się najbardziej. Jednakowo zadowolony z tego, co mówił król, jak i z tego, czego nie mówił, tłum gapiów zaczął się rozchodzić, wołając na całe gardło:

— Niech żyje Ludwik Zabijaka!

W tej właśnie chwili powóz ze spuszczoneymi firankami wjechał w ulicę Vieille-Barbette. Wyglądał bardzo skromnie i nikt nie zwracał na niego uwagi. Toczył się spokojnie i zatrzymał się dopiero na końcu ulicy, to jest przed więzieniem Tempie.

Jeden tylko jeździec eskortował powóz. Był on bardzo skromnie ubrany, bez broni przy boku, twarz miał zasłoniętą kapturem.

Gdy wreszcie powóz zatrzymał się przed wielkimi wrotami Tempie, mężczyzna eskortujący go zsiadł z konia i skierował się na zwodzony most.

— Z drogi! — zawołał wartownik.

— Przywołaj oficera straży! — rzekł mężczyzna rozkazującym tonem.

Żołnierz usłuchał rozkazu i po chwili oficer, dowodzący strażą przy wrotach, podszedł do mieszczanina dziwnie odważnego, bo ośmielającego się przeskadzać wojakowi.

Mieszczanin jednak podniósł kaptur, oficer spojrział na niego, zdumiał się, zmieszał i ukłonił się, drżąc ze strachu.

— Zbliź się! — powiedział przybysz.

Wtedy mężczyzna z kapturem na głowie zbliżył się do powozu i rzekł:

— Droga wolna.

W powozie siedziała kobieta. Była bardzo skromnie ubrana i również miała naciągnięty na głowę kaptur.

— Zaczekaj na mnie tutaj! — rozkazała, wyskakując lekko z powozu.

— Zaczekam na panią, jakkolwiek z duszą na ramieniu.

— Uspokój się, Marigny — rzekła dama. — Nikt się nie ośmieli sprzeciwić woli królowej... Nikt! Nawet król!

Szybko minęła most zwodzony, przeszła pod arkadą i zbliżyła się do oczekującego na nią oficera, który z szacunkiem poprowadził ją do gubernatora fortecy Tempie.

Stanęli przed drzwiami wspaniałych ongiś apartamentów, które pozostały po starszym mistrzu zakonu templariuszy. Apartamenty te służyły za mieszkanie gubernatorowi, który objął swój urząd przed dwoma godzinami. Oficer spytał:

— Czy mam wejść i zaanonsować jaśnie wielmożnemu hrabiemu przybycie waszej królewskiej mości?

— Nie, panie oficerze — odpowiedziała dama — możesz odejść.

Za drzwiami stał niemy i wyprostowany olbrzymi halabardnik. Na głowie miał szyszak ze spuszczoną przyłbicą. Tułów okrywał mu pancerz, ręce i nogi były również ochronione żelazną zbroją.

Kobieta rzekła:

— Idź i powiedz twemu panu, że królowa chce z nim mówić!

Zbroja zatrzęsa się, szcęknęła, a jej właściciel ruszył spełnić rozkaz. Po paru minutach ukazał się hrabia de Valois... Kobieta zrzuciła z głowy kaptur i zdjęła maskę. Valois przyklęknął, witając dostojnego gościa, potem wstał i czekał, aż królowa zechce zagać rozmowę!

— Hrabio — rzekła — przybywam tu, aby z panem pomówić o aresztowanej przez pana czarownicy.

Valois zdrzął, jakby w przeczuciu tego, że znajdzie się niebawem nad przepaścią, kiedy najmniejsze posunięcie, najmniejszy fałszywy krok decydują o życiu lub śmierci. Istotnie, gniewny głos królowej zwiastował niebezpieczeństwo. Znał ten głos! Och! Zbyt dobrze go znał! Znał również gorączkowe ruchy tej pięknej ręki, z których każdy mógł być sygnałem śmierci.

— Wasza królewska mość zechce może przejść ze mną do innej komnaty, godniejszej jej osoby...

— To zbędne — warknęła królowa, której drgające wściekłością usta i stalowy błysk oczu napełniły hrabiego przerażeniem. — Jeśli dookoła nas są niedyskretne uszy, tym gorzej dla ciebie. Zapewniaś więc, że aresztowana przez ciebie dziewczyna jest czarownicą?

— Zdaje mi się — wybelkotał — że znalezione u niej przedmioty dowodzą...

— Hrabio de Valois — rzekła królowa nie znoszącym sprzeciwu tonem — czy chcesz, żebym ci powiedziała, co przede wszystkim masz jej do zarzucenia?

— Nie rozumiem...

— To, że jest córką Enguerranda de Marigny'ego!

„Zginałem!” — pomyślał Valois, płaszcząc się w czołobitnym ukłonie.

— Hrabio, chcę niezwłocznie ujrzeć tę dziewczynę!

— Życzenie waszej królewskiej mości jest dla mnie świętym rozkazem.

Natychmiast każę ją przyprowadzić tutaj.

— Nie! — przerwała mu królowa, powstrzymując gwałtownym ruchem hrabiego de Valois, który już zmierzał do drzwi. — Każ zaprowadzić mnie do celi. Chcę ją zbadać... Chcę się dowiedzieć — czy jest naprawdę czarownicą! Lecz jeśli odkryję, że niesłusznie ją oskarżono, mości hrabio...

Zacisnęła nerwowo pięści i zaczęła następować na hrabiego, jakby z zamiarem uduszenia go.

— Co wtedy uczynisz, wasza królewska mość? — zapytał Valois, prostując się dumnie.

— Wtedy — odpowiedziała królowa, nakazując sobie spokój — zabiorę ją stąd... i już!

Groźba niebezpieczeństwa przywróciła hrabiemu całą jego energię.

— Pani — rzekł stanowczym tonem — król mianował mnie specjalnie gubernatorem Tempie, abym miał nadzór nad przestępczynią. Jestem na rozkazy waszej królewskiej mości, jeżeli będzie chodziło o zbadanie dziewczyny... Lecz co do wypuszczenia stąd, to nie mogę tego uczynić inaczej, jak na rozkaz królewski. Odpowiadam bowiem za nią głową.

— Oto jest rozkaz — odparła Małgorzata Burgundzka, miażdżąc Valois pełnym wzgardy uśmiechem.

Jednocześnie dobyła zza gorsu papier, który podała hrabiemu.

Tocząc błędnym spojrzeniem, nieprzytomny ze zdenerwowania, wziął podane mu pismo. Zaledwie jednak rozwinął go i przebiegł wzrokiem pierwsze słowa, spojrzał na Małgorzatę z przerażeniem i konwulsyjne drganie przebiegło mu po policzkach. Dokument ten nie był pergaminem zawierającym rozkaz królewski!

Był to list, podpisany przez hrabiego de Valois, adresowany zaś do Małgorzaty Burgundzkiej. Imię jej powtarzało się kilkakrotnie w pełnym najpłomienniejszej miłości słowach. Była to błagalna prośba o nocną schadzke. Był to obraz najzuchwalszej namiętności, jaką mężczyzna może zapalać do kobiety. Najdotkliwsza obelga zadana królowi Francji!

List ten jednak nosił datę 22 lutego 1297 roku, to jest okresu, kiedy Małgorzata, licząca wówczas zaledwie siedemnaście lat, mieszkała jeszcze w pałacu swego ojca Hugona IV, księcia Burgundii.

— Karolu Valois — rzekła Małgorzata niskim, świszczącym głosem. — Czy poznajesz ten list? Już dawno temu został on przez ciebie napisany! Może zapomniałeś już o nim?

— List ten nie jest pisany przeze mnie — wybełkotał hrabia de Valois.

— Masz rację, jest to tylko kopia. Prawdziwy list jest w Luwrze. Jeszcze dziś trafi do rąk króla!

Z piersi hrabiego wydarło się głębokie westchnienie. Było to ostatnie westchnienie człowieka, któremu zadano śmiertelny cios.

— To jest list sprzed siedemnastu lat — zazgrzytał z wściekłością. — Powiem królowi całą prawdę! Powiem mu o tym, że kochałem panią dawno temu, wtedy kiedy miałem prawo prosić o pani rękę. Powiem, że odtrącony przez panią, składałem jej zawsze dowody najgłębszego szacunku...

— Mówiąc to, skłamię, mości Valois! Ja nie odtrącałam cię!

— A więc tak, skłamię! — odpowiedział brutalnie Valois. — Kłamstwo za kłamstwo, życie za życie, śmierć za śmierć! Atakujesz mnie, pani, więc się bronię. Data tego listu będzie przekonywająca!

Małgorzata uśmiechnęła się. Uśmiech ten obudził w Karolu de Valois uczucie zabobonnej trwogi.

— Czy znasz Mabel? — zapytała.

— Mabel? — wyjąkał Valois.

— Tak, to moja zaufana służąca, która czuwa nade mną podczas snu, która myśli za mnie, która za mnie jest mądra. Otóż posłuchaj hrabio! Mabel udało się wynaleźć sposób przywrócenia pożółkłym pod wpływem czasu literom listu ich dawnej świeżości... Potrafi uczynić je tak świeżymi, jakby były skreślone najwyżej wczoraj...

— Jest data! — odparł wściekle.

— Mabel wynalazła sposób zmazania daty. W miejscu 22 lutego 1297 r. napisała tak jakby twoim piśmem: 11 maja 1314, to znaczy wczorajszą datę!

Hrabia jęknął.

— Będiesz mi teraz posłuszny?

— Tak! Wasza królewska mość! — odpowiedział hrabia pośpiesznie.

— Jeżeli uznam, że Myrtilła nie jest winna, pozwolisz mi zabrać ją stąd? Nie powiesz nikomu, że to ja ją stąd zabrałam?

Valois zmiażdżony wyprostował się nagle, wyprężył jak struna.

— Godzisz, pani, w ten sposób na moje życie! — powiedział. — Weź więc ją sobie! Należy do ciebie! Och! Jakże drogo płacę za miłość, którą spojrzenia pani zbudziły niegdyś w moim sercu! Czuję, że jestem w ręku mężnej i przeklętej mocy. Ale pamiętaj, Małgorzato, strzeż się! Strzeż się, królowo! Musiałbym bowiem być aniołem niebieskim, by zapomnieć o tym, jak strasznych moich cierpień jesteś sprawczynią... a jestem tylko człowiekiem.

— Powiedz raczej piekielnym duchem! Lecz niech tam! Nie boję się niczego! Proś Boga, jeśli w ogóle umiesz się modlić, aby pozwolił mi zapomnieć o tym, coś przed chwilą powiedziała. A tymczasem prowadź mnie do celi czarownicy!

XIII

MATKA

Posępny jak skazaniec idący na męki Valois szedł przed królową. Nie pamiętał w tej chwili nic, nawet nie myślał o uczuciu, jakie w nim kiedyś obudziła. Sytuacja była istotnie bezgranicznie trudna. Zrozumiał albo przynajmniej domyślał się, że istniało jakieś porozumienie między Marignym a Małgorzatą. Porozumienie to miało na pewno na celu zorganizowanie ucieczki Myrtilli. Otóż ucieczka taka była nie tylko triumfem Marigny'ego, a jego porażką. Pachniało to procesem, oskarżeniem o zdradę stanu, śmiercią! Valois miał słuszość mówiąc: „Żądasz, panVmojego życia!” Stanęli na podwórzu więziennym, gdzie na znak dany przez hrabiego klucznik więzienny, niosąc w ręku zapaloną pochodnię, poprowadził ich do celi dziewczyny. Wkrótce znaleźli się na schodach wiodących do podziemi.

Powietrze było stęchłe... Małgorzata jednak nie zwracała na to uwagi. Drżała na całym ciele, lecz było to jedynie skutkiem myśli, jakie ją dręczyły. Zasłoniła znowu twarz maską i naciągnęła na głowę kaptur.

Klucznik otworzył drzwi. Małgorzata odwróciła się w stronę hrabiego i spojrzała na niego badawczo. Valois zrozumiał to spojrzenie. Nakazał osadzić pochodnię w specjalnie do tego przeznaczony oprawce, po czym oddalił się, zabierając ze sobą dozorcę.

Mało go zresztą obchodziło, co królowa ma do powiedzenia uwięzionej. Gdy znalazł się na podwórzu więziennym, jedynie ciemnościom, jakie tam panowały, zawdzięczał, że nikt nie zauważył jego bladości. „Jestem zgubiony!” — rozmyślał. „Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia! Uzbrojona w ten list królowa skruszy mnie w proch. Niech tam! Wyjadę stąd! Ukryję się u jednego z tych możnowładców, którzy po śmierci nieboszczyka króla podnoszą głowę. Tam będę knuć przeciw Marigny’emu, przeciw królowej, przeciw królowi, przeciw całemu Paryżowi, przeciw wszystkim, którzy mnie nienawidzą, jeden z tych spisków, mogących pociągnąć za sobą tysiące ofiar. Cierpliwie, powoli przygotuję taką zemstę, że zadziwię cały świat”.

Posępna dumą błysnęły na chwilę jego oczy. Zgarbiona przed chwilą postać wyprostowała się.

— Szymonie! — zawołał krótko.

— Jestem, jaśnie wielmożny panie!

Szymon Malingre, który nie odchodził nigdy od hrabiego de Valois, wynurzył się z mroku. Krył się on zawsze w ciemnych i wilgotnych kątach.

— Szymonie — powiedział hrabia cicho — wszystko stracone!

— Słyszałem, jaśnie wielmożny panie, zrozumiałem!

— Pędź do pałacu! Niech wszystko za godzinę będzie gotowe do ucieczki!

— Zawsze jesteśmy gotowi, jaśnie wielmożny panie. Konie osiodłane czekają codziennie w stajni! Muły są gotowe również, pozostaje tylko naładować na nie wory z talarami. Poza tym radzę jaśnie wielmożnemu panu pozostawić wszystko nietknięte. A może ucieczka będzie trwała niedługo — może jedynie dzisiejszą noc!

— Co masz na myśli? — warknął hrabia. — Mów! Serce mi się kraje, gdy sobie przypomnę, że trzeba wyjechać i pozostawić tu Myrtille...

Hrabia stłumił westchnienie.

— Niech jaśnie wielmożny pan przeczyta najpierw ten list! — rzekł Szymon Malingre.

Valois zdumiony wziął w rękę papier, który mu podał a jego zaufany sługa, zbliżył się do latarni wiszącej na] murze i zaczął czytać. Oto jaka była treść tego listu:

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Nie zna mnie Pan, lecz ja znam Pana, a to na razie wystarczy. Wiem, że nienawidzi Pan Marigny’ego. Moja nienawiść równa się Pańskiej. Oto wszystko, co mogę Panu powiedzieć. Czy chce Pan połączyć te dwie nienawiści? Czy chce Pan, abym dopomógł mu zemścić się na tym człowieku?

Jeżeli nie, niech Pań spali ten list... Ufam Pańskiemu kawalerskiemu parolowi... Jeśli zaś tak — czekam na Pana około północy poza murami Bramy Malarzy przez trzy kolejne noce.

Jan Buridan

— Jan Buridan — szepnął Valois. A może tu jest moje zbawienie? Tak, człowiek, który był zdolny publicznie wyzwać Marigny’ego, będzie może moim zbawieniem! Ofiarowując mu tysiąc talarów, przywiążę go do siebie... Szymonie!

— Jestem, jaśnie wielmożny panie!

— Szymonie — rzekł hrabia de Valois — nie pojedziemy nigdzie dzisiejszej nocy!

Małgorzata weszła do lochu. Po ścianach s pełzały czerwone odblaski zatkniętych w korytarzu pochodni W najbardziej oddalonym kącie celi więziennej ujrzała Myrtille. Przez moment przyglądała jej się chciwie, w milczeniu, drżąc ze wzruszenia, które starała się opanować... W głębi duszy szepnęła: „Moja córka!”

Myrtilła szeroko otwartymi oczami spoglądała na nieznaną, Podobna była do małego ptaszka, który w chwili kiedy się cieszył przestrzenią, słońcem i wolnością, opowiadał lasom, niebu, polom, strumykowi o swym szczęściu, w tej właśnie chwili wpadł w zastawione przez złych ludzi sieci.

Królowa myślała: „Jakaż ona jest piękna! Tak piękna, jaką ja byłam w jej wieku. Ma tylko więcej słodczy w spojrzeniu. Biedne maleństwo!” Być może, że w głębi duszy Małgorzaty zbudziło się uczucie zazdrości o tę zdumiewającą po prostu piękność dziewczyny. Potrząsnęła głową i jakby chcąc pobudzić się do litości, szepnęła:

— Biedna mała! Jak ona drży! Nie obawiaj się niczego, moje dziecko.

Rzekła to tak spokojnym głosem z takim współczuciem, że z oczu Myrtilli trysnęły łzy.

A więc Myrtilła była owym dzieckiem, o które tyle razy błagała Marigny’ego, które tyle razy oplakiwała! Ileż razy wyobrażała sobie tę błogą chwilę, kiedy nareszcie się z nią spotka! Chwila ta nadeszła! Miała oto córkę przed sobą. Małgorzata mimo woli wyciągnęła do dziewczyny ręce.

W głębi jej serca zrodził się i już-już wybiegał na usta okrzyk, który mógłby stać się jednocześnie okrzykiem, zwiastującym jej wyzwolenie duchowe: „Jestem twoją matką!” Krzyk ten jednak zamarł jej na ustach. Ramiona, które wyciągała do dziewczyny, opadły bezwładnie.

Małgorzata powtórzyła w duchu: „Jakaż ona jest piękna!” Tym razem wzdrygnęła się i zrozumiała, że myśl ta sprawia jej tajemny ból. Raz jeszcze w jej duszy zło wzięło górę nad dobrem.

— Och! Pani — powiedziała Myrtilła. — Wydajesz mi się tak dobra i łagodna! Może przynosisz mi wieści od mego ojca? Jak on musi biedak płakać i rozpaczać!

— Nie znam twego ojca — szepnęła Małgorzata.

Myrtilła spuściła głowę i cofnęła się kilka kroków.

— Chciałam się z tobą zobaczyć—mówiła dalej królowa —jak to czynię ze wszystkimi kobietami, które przebywają w tym więzieniu. Chciałam ci przynieść słowa pociechy...

— Bądź błogosławiona za to — rzekła Myrtilła martwym głosem.

— Dlaczego jednak trafiłaś do Tempie, biedne dziecko? Za co? Mówiłaś o ojcu. A twoja matka? Musi również płakać?

— Nie mam matki... — odpowiedziała Myrtilła. — Umarła nazajutrz po moim urodzeniu. Do dziś dnia, myśląc o matce, czuję żal, że jej nie znam. Teraz jednak jestem nieledwie szczęśliwa, że ona nie żyje... no bo jakaż byłaby dziś jej rozpacz! Pyta mnie pani, za co wtrącono mnie tutaj?! Nic nie wiem, nie wiem! Dwóch mężczyzn przyszło do Różanej Zagrody... Czy zna pani Różaną Zagrodę? To tuż przy Tempie. Gdy spoglądałam na mury więzienia, drżałam ze strachu, cień jego bowiem padał na nasz domek. Zdawało mi się, że sięga po mnie... A przecież nic złego nie uczyniłam. Miałem wrażenie, że to coś złego musi przyjść. Ojciec mój nazywa się Klaudiusz Lescot. Kupuje i sprzedaje piękne dywany i tkaniny, które przywozi z dalekiej Flandrii, jak pani o tym na pewno wie. Umieścił mnie wraz z Gillonną w Różanej Zagrodzie, gdzie mieszkalam od kilku już lat bardzo szczęśliwa, a jedynym moim zajęciem była modlitwa za mego ojca w długie jesienne wieczory, kiedy wiatr i deszcz wstrząsały ścianami naszego domku... Co komu mogłam złego uczynić?

Małgorzata zadrżała i przygryzła wargi.

— Powiadają, że jesteś czarownicą.

— Jakże mogłabym być czarownicą, skoro w tym roku przed samą Wielkanocą przystępowałam do komunii, co może zaświadczyć kapłan z kaplicy św. Mikołaja?

Myrtilla zaczęła płakać. Była tak blada, tak smutna, tak piękna, że nawet serca zupełnie obojętnych ludzi zdrząłyby ze wzruszenie na ten widok...

Małgorzatą uczuła, że serce jej również szarpie dziwny niepokój. Zrodziła się w niej nagle promienna matczyna miłość. Wszystkie złe, przewrotne, straszne i krwawe myśli uleciały z jej duszy jak stado nocnych ptaków, gdy padnie na nie złoty promień słońca. Pierś jej podniosła się westchnieniem, gardło zdławił powstrzymywany szloch. Podeszła do dziewczyny, chwyciła ją w ramiona i zaczęła ścisnąć konwulsyjnie.

— Nie płacz już — szepnęła, ciężko dysząc — nie płacz już, dziecko! Ja dużo mogę. Mogę wydrzeć cię śmierci. Mogę cię wyprowadzić z tego straszego grobu.

Zachwycona, oszołomiona Myrtilla słuchała jej słów, zdając się nie wierzyć swemu szczęściu. Widziała już słodki obraz wolności, szczęścia i lepszej przyszłości... Złożyła błagalnie ręce i wyszeptwała:

— Och! Mój drogi ojciec, już nie będziesz więcej płakać! Och! Mój ukochany Janie, nie umrzesz z żalu po twojej Myrtilli!

Małgorzata Burgundzka powoli zwolniła macierzyński uścisk ramion. Potem jeszcze wolniej się cofnęła.

Myrtilla podniosła na nią głębokie spojrzenie swych czystych i niewinnych oczu. Ujrzała straszliwą bladość na twarzy Małgorzaty.

— Pani — zapytała — co ci się stało? Och, pani, ty cierpisz!

— Nie, nie — wyjąkała Małgorzata. — Uspokój się. Czekać, opowiedz mi o szczęściu tych, których ujrzysz po opuszczeniu tych murów. Otóż po pierwsze, będzie to twój ojciec... A potem?... Kto to miał być?

— Buridan! Jan Buridan! — odparła Myrtilla z nieskończonego słodkim uśmiechem.

Małgorzata z trudem stłumiła jęk. I choć burza rozszalała się w jej sercu, starała się uśmiechnąć. Rzekła spokojnie:

— To pewnie twój brat? Nie? A więc niewątpliwie przyjaciel?

— Mój narzeczony! — odpowiedziała Myrtilla.

— Twój narzeczony... — Małgorzata głęboko westchnęła. — No i co? Kocha cię? A ty go też kochasz?

— Gdyby Buridan umarł, ja również umarłabym z żalu. Jestem pewna, że gdyby mnie spotkało jakieś nieszczęście, on umarłby w tej samej chwili, kiedy mnie zaskoczyłaby śmierć.

— Tak, tak — mruknęła królowa — rozumiem. Uspokój się, moje dziecko. Niepodobna, by miłość Buridana ocaliła cię od śmierci... Zaczekaj jeszcze kilka godzin... Ja zajmę się twoim szczęściem!...

To mówiąc, odwróciła się i wyszła na korytarz. Kiedy drzwi zamknęły się, widząc, że dozorca odszedł z Valois, oparła się ciężko na olbrzymiej zasuwie, na potwornym ryglu zamykającym drzwi celi więziennej. Wahała się przez chwilę... Rozejrzała się dookoła, zupełnie tak jak przed popełnieniem potwornej zbrodni, zbrodni, dla której nie ma przebaczenia. Nagle ręka jej pchnęła zasuwę. Zasuwę zgrzytnęła. Z celi więziennej dobiegł jakiś odgłos, jakby stłumiony szloch.

Matka Myrtilli zamknęła na głucho drzwi, pozostawiając w celi swą córkę. Wracając korytarzem drżący skurczona i jakby przytłoczona ciężarem swego czynu. Wyszła wreszcie na podwórze więzienne, pod niebo usiane gwiazdami.

Valois czekał na nią. Widząc, że ukazała się sama, zatrząsł się. Nie miał jednak czasu na rozwiązanie tego problemu. Nie wiedział, czy ma to być oznaką szczęścia czy nieszczęścia. Małgorzata podeszła do niego.

— Hrabio — powiedziała wzburzoną głosem. — Nie zabieram ze sobą tej dziewczyny. Zamiast być twym wrogiem, staję się twoją sojuszniką. Posłuchaj mnie

i wypełnij dobrze moje rozkazy. Może nigdy jeszcze nie byłeś tak bliski najwyższej potęgi, o jakiej zawsze marzyłeś.

Valois uklonił się. Myślał jednak: „Tygryś włożyła aksamitne rękawiczki. Czy ma to być dowodem, że jest już za późno na obronę?”

— Dziś o północy — mówiła dalej — powierzysz uwięzioną ludziom, którzy przybędą w moim imieniu i którzy odprowadzą ją w bezpieczne miejsce. Nikt na świecie nie dowie się ode mnie, że czarownicy nie ma już w Tempie. Ponieważ król nie zna jej twarzy, łatwo ci przyjdzie podstawić na jej miejsce jakąś inną dziewczynę, którą się zbada, podda się torturom, potem spali lub też powiesi, zupełnie tak, jakby to była Myrtilła. Czy pan się zgadza, Valois?

— Tak, wasza królewska mość!

— Za tę cenę, jak tylko skończy się proces, zwrócę ci list. Wiesz, to ten piękny, miłosny list, który zaprowadziłby cię jutro na Montfaucon, gdybym go dziś wieczorem pokazała królowi.

Z tą ostatnią pogróżką na ustach oddaliła się.

— Idź! — syknął hrabia. — Idź, zmij! Aby cię zmiażdżyć, nie potrzebuję wcale wyrwać ci jadowitego zęba, za jaki uważasz twój list! Nie przerasisz mnie nim! Buridan... Tak, ten człowiek może jednym pchnięciem sztyletu uwolnić mnie na zawsze od Marigny'ego... A wtedy, Małgorzato... wtedy ty zadrżysz ze strachu! Śledziłem cię, Małgorzato! Zbadałem rzekę, na dnie której ukryłaś krwawą tajemnicę. Badałem widma, które towarzyszą twej posępnej osobie, a widma te odpowiedziały: „Szukaj w wieży Nesle!”

Królowa podeszła do powozu, przy którym oczekiwał na nią Enguerrand de Marigny. Nie ruszył się z miejsca. Stał nieruchomy, wpatrując się w zwodzony most Tempie.

Gdy się przekonał, że Myrtilła nie towarzyszy królowej, poczuł, że drżą mu ręce. A gdy Małgorzata stanęła tuż przy nim, spojrzął na nią badawczym, a tak strasznym wzrokiem, że się zatrzęsła:

— Nieubłagany! — rzekła pośpiesznie. — Nic nie mogłam zrobić! Ani prośby, ani groźby! Marigny, musimy poszukać innego sposobu uwolnienia jej.

— Czy widziałaś ją, pani? — zapytał z zapartym tchem pierwszy minister.

— Tak, widziałam ją.

— Co robiła? Co mówiła? Och! Jakże ona musi płakać! Czy wspominała mnie?

— Nie płacze! Nie powiedziała ani słowa o swoim ojcu.

— Ani słowa o mnie!?

— Nie, Marigny, ani słowa! To zresztą naturalne, jest bowiem jedynie zajęta tym, którego kocha... Opowiadała mi jedynie o swej miłości do... Jana Buridana.

Marigny wyprostował się gwałtownie, a na jego obolałej twarzy malowała się nienawiść.

— Ach! — zawołał. — Ona kochała nawet po tym, co jej powiedziałem! Nawet w głębi tego więzienia! Ani słowa dla ojca! Buridan! Ciągłe Buridan! Gdybym nawet umarł z rozpaczy, widząc ją nieżywą, wolę już raczej to, niż dać zgodę na tę hańbiącą miłość!

— A więc, Marigny?

— Dobrze! Niech ginie!

XIV

REWANŻ BIGORNE'A

Nazajutrz czterech mężczyzn opuściło Paryż, w chwili kiedy przystąpiono do zamykania na noc bram. O dwieście kroków od bramy św. Dionizego, zwanej inaczej Bramą Malarzy, którą wyjechali z miasta, kilka nędznych chałupek widniało na skraju doliny. Dalej wznosiły się ciemne kontury Montfaucon, stercząc ku niebu potworną sylwetką olbrzymiej szubienicy.

Nad drzwiami jednej z chatki wisiała wiecha, a nad nią deska, na której jakiś prymitywny malarz wymalował beczkę i podpisał: „Pod pocziwą beczką, z której płynie”. Nazwa była długa, lecz wymowna i nie pozbawiona eleganckiego realizmu.

Czterej mężczyźni skierowali się w stronę szynku. Jeden z nich dźwigał olbrzymi, naładowany kosz.

— Na triumfującą i potężną Palestrę! — zawołał. — To wielkie szczęście, że miałem genialną myśl, żeby zabrać zapasy. Jestem bowiem pewien, że Buridan gotów nas morzyć głodem w tym przeklętym szynku, dokąd nas ściąga już trzeci z kolei dzień.

— Z głodu i z pragnienia — dodał jego towarzysz — bo Galilejczycy znani są z tego, że wiecznie mają pragnienie.

Dwaj rozmawiający mężczyźni byli to: Riquet Haudryot i Wilhelm Wichura.

— Cierpliwości, przyjaciele — rzekł Buridan. — Jeszcze jeden dyżur dzisiejszej nocy i koniec...

„Koniec?” dodał w duchu. „Czy rzeczywiście będzie koniec?”

— Uf! — warknął Lancelot Bigorne, stawiając swój kosz na stole w głównej izbie podłego szynku. — Gdybym nie miał nadziei, że przypadnie mi część z tych wszystkich specjałów, na pewno cisnąłbym cały ten kram do diabła w samą czeluść fosy.

Gospodarz tej podłej budy, dokąd w dni świąteczne przychodzili paryżanie na sikacza i na partię kręgli, czekał już na nich na progu z odsłoniętą głową. Buridan wchodząc, powiedział:

— Tak jak wczoraj masz, gospodarzu, pięknego srebrnego talara. Jak wczoraj nie żądamy od ciebie ani jedzenia, ani wina. I jak wczoraj masz zniknąć, ulotnić się, iść spać i pozostawić nam pole do działania. Czy zrozumiałeś?

Szynkarz ukłonił mu się z szacunkiem, pochwycił talara, wykrzywiając się radośnie i wyszedł pośpiesznie, zastępując tylko dopaloną już prawie pochodnię nową, dymiącą jak poprzednia i ledwo, ledwo oświetlającą izbę, w której stały trzy stoły i kilka taboretów.

Riquet Haudryot rozpakowywał wszystkie wiktuały, ćwiartkę sarniny, pieczoną na ruszcie gęś, pieczoną na rożnie szynkę, wianuszek wędzonych kielbasek i wreszcie okazały wór napełniony winem d'Épernay.

— Z taką amunicją możemy się nie obawiać śni straży, ani zasadzki. Choćby tu nawet ze dwudziestu zbrojnych wojaków rozwinęło swą chorągiew, z wyhaftowanymi na niej dwoma pyskami zaciekłych wrogów św. Jerzego...

— Ryczysz jak doktor Sorbony — rzekł Wichura. — Na mój kubek pełen wina, oto tu obecny Jan Buridan, którego prosiłbym o przygotowanie i obronę tezy na cudowny temat: *Licitum est occidere loquacem quia est bibendum*. Dozwolone jest zamordować takiego gadułę, który przeszkadza mi spokojnie spijać wino! Ehe! Janie Buridan, przeklęty absolwencie, czy słyszałeś mnie?

— Słyszę i dowiodę tego! — odparł Buridan, napełniając kubki.

Trzej przyjaciele, siedzący przy stole, przypuścili zgodny atak na ustawione na stole jadło.

Lancelot Bigorne, stojący na warcie przy drzwiach, dostawał również od czasu do czasu to i owo na rozproszenie czarnych myśli, mogących przyjść mu do głowy, Wkrótce w nędznej, na glucho zatarasowanej lepiance słycać było donośne głosy rozmawiających, głośnie wybuchy śmiechu, szcęk kubków. Gdy wreszcie zaległa względna cisza, Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot zaczęli grać w kości...

Dzwon wybił jedenastą... Nagle Buridan wyciągnął rękę nad stołem i zawołał:

— Towarzysze, już czas!

Wilhelm Wichura schował kości i kornet, a chwycił szpadę wiszącą mu u pasa. Riquet Haudryot uczynił to samo. Król Palesty i cesarz Galilei spowaźnieli.

— Co rozkażesz? — zapytali.

— To samo, co wczoraj. Będę czekać przy Bramie Malarzy. On nie przyjdzie albo też przyjdzie, innego wyjścia być nie może. Jeśli nie przyjdzie, doczekacie tutaj dnia, aby jak dziś rano, wrócić do Paryża.

— Rozumujesz lepiej niż sam doktor wszechfilozofii...

— Do czarta! Nigdy nie studiowałem waszej logiki... Przypuśćmy, że on zjawi się. Wtedy znowu mogą być tylko dwie ewentualności: albo przyjdzie sam, albo w towarzystwie. Jeżeli będzie sam, nie ruszycie się z miejsca. Jeżeli będzie w towarzystwie, na okrzyk: „Palestra i Galilea” zajmiecie się jego przyjaciółmi, pozostawiając mojej opiece samego jegomościa.

— Na Boga żywego! Nigdy jeszcze chyba żadna zasadzka nie była lepiej obmyślona!

— Galileo, na pomoc! Szpada pali mi się w dłoni!

— Bywajcie więc, towarzysze — rzekł Buridan, opuszczając szynk. — Jeżeli nie usłyszycie okrzyku, siedźcie cicho i spokojnie, jak święci pańscy w głównym przedsionku Notre Dame. A ty — dodał, przechodząc koło Bigorne'a — na stanowisko!

Sam poszedł w kierunku murów miejskich, zatrzymał się tuż przy bramie, kryjąc się w cieniu rozłożystego dębu. Stał w miejscu bez ruchu. Czas płynął. Wybiła północ. Młodzieniec drżał z niecierpliwości i cicho przeklinał.

W chwili gdy już tracąc wszelką nadzieję, miał wrócić do szynku, usłyszał brzęk łańcuchów przy zwodzonym moście. Zgrzytnęły, szcęknęły i most zaczął się opuszczać.

— To on — szepnął Buridan, a oczy jego błysnęły radośnie.

I rzeczywiście, dla kogóż innego, jeśli nie dla Karola de Valois, spuszczone by o tej godzinie most?! Nie upłynęło kilka minut, gdy ujrzał trzech jeźdźców. Jechali stępą z wielką ostrożnością. Buridan wyszedł z ukrycia i ruszył wprost na jadących.

— Ktoś ty? — zapytał któryś z mężczyzn.

Głos jego brzmiał nieufnością.

— Jan Buridan.

— Ach! To ty jesteś, mój mistrzu!

— Tak, a ja nie muszę pytać o imię, aby pana poznać, panie hrabio — odpowiedział Buridan.

— Mów! Go masz mi do powiedzenia? — spytał de Valois.

— Nie tu, jaśnie wielmożny panie hrabio! Brama miejska jest zbyt blisko. A taka brama to podła rzecz: ma uszy i oczy! Słyszy i widzi takie rzeczy, które muszą na wieki pozostać tajemnicą.

Z tymi słowami Buridan zawrócił w stronę domków czerniejących w mroku.

Po krótkim wahaniu jeźdźcy ruszyli za nim, a gdy się zatrzymał, zsiadli z koni.

— Panie hrabio — rzekł wtedy Buridan — źle uczyniłeś, że nie przybyłeś tu sam. Czy zechcesz odesłać towarzyszących ci panów?

— To moi przyjaciele i znają wszystkie moje tajemnice. Mów bez obawy.

— Panie hrabio! Chcę mówić jedynie z panem! Jeśli nawet ci panowie znali dobrze pańskie sprawy, to jeszcze nie powód, żebym miał ich wtajemniczać w moje.

— W takim razie — odpowiedział de Valois, rozglądając się nieufnie dookoła — odjadę, rezygnując z naszej rozmowy.

— O, nie, panie hrabio rzekł Buridan. — Już za późno. Wysłucha pan tego, co mam do powiedzenia, i to wysłucha pan sam! Jeśli pańscy przyjaciele nie zechcą się oddalić, będę zmuszony pozbyć się ich!

— Zuchwalec! — warknęli towarzysze hrabiego. — Co to ma znaczyć?

Ruszyli na młodzieńca, dobywając szpad.

— Palestra i Galilea! — ryknął Buridan, rzucając się jednocześnie na hrabiego de Valois i chwytając go w kleszcze swych mocnych ramion.

Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot wypadli z szynku.

— Jest ich tylko dwóch — wrzasnął gromkim głosem Wichura. — Odsuń się, Riquecie, nadzieję ich obu na mój szpikulec!

— A ja przepłuczę im przed zgonem flaki! Odsuń się — grzmiał Riquet.

Król i cesarz, potrącając się, klnąc i zdając się bawić niezmiernie wesoło, stanęli przed przeciwnikami i zaatakowali ich z wielką szybkością, lecz i nie bez z góry powziętej taktyki. W lewych rękach trzymali sztylety, duże ostre puginały, w prawych zaś szpady. Przez chwilę słyhać było jedynie straszliwy szczęk stali, pobłyskującej w ciemności.

— Uważaj, mości panie, bo ci utnę głowę! — ryczał Wichura.

— Pilnuj się, mości szlachcicu, bo ci wypruję flaki! — pokrzykiwał Haudryot.

Dwaj towarzysze Valois ze szpadami w garściach, z lewymi rękami owiniętymi ciężkimi płaszczami, bronili się, atakowali, parowali ciosy, odpowiadali na nie nowymi ciosami.

— Na św. Piotra i Pawła i na Madonnę, już po was, moi panowie.

Przepowiedziałem wam taki koniec!

Wilhelm Wichura pierwszy zmógł swego przeciwnika, który legł na ziemi bez ruchu. Prawie równocześnie adwersarz Riqueta padł z głuchym jękiem.

— Jest mi bardzo przykro! — zawołał Riquet. — Od dawna już miałem chęć na wybebeszenie szlachcica! Uprzedzałem pana!

— Teraz będziemy ucztować — wrzasnęli obaj przyjaciele.

Jak na komendę schowali broń do pochew, ujęli się pod ręce i wrócili do szynku. Napełnili tam swe kubki winem, dobyli kornet i kości do gry i po kilku sekundach słyhać było ich spór:

— Masz! Czwórka i piątka! Riquet, stawiam sakiewkę mego jegomościa! Potem porachujemy zawartość! Czeka! Dwie szóstki!

Wichura i Haudryot nie byli ani bardziej okrutni, ani bardziej nieczuli niż współcześni im ludzie. Taka już była ich epoka. W owych czasach nie obawiano się śmierci, była ona jedynie przejściem z jednej formy bytowania w drugą. Chodziło jedynie o to, aby być w porządku wobec stróża pilnującego bram niebieskich. Po uczciwej sprawie śmierć stawała się podróżą, nie ważniejszą niż droga z Paryża na Montmartre.

Dziś ludzie traktują śmierć jako zakończenie romansu, zwanego życiem. Dziś wierzy się w to, że śmierć kładzie kres wszystkiemu. Nic zatem dziwnego, że ludzkość współczesna trzyma się z całych sił życia, nie ma bowiem pewności, czy będzie miała drugie. Drugi tom romansu nife jest zapowiedziany.

Buridan starał się obezwładnić hrabiego, a widząc, że Valois dobył sztyletu, odebrał mu broń, przyłożył jej ostrze do piersi przeciwnika i rzekł głosem zimnym, stanowczym, usuwającym wszelką możliwość jakiegoś niemądrego żartu:

— Chodź za mną, panie hrabio, w przeciwnym razie zginiesz z mej ręki!

W tej samej chwili Valois ujrzał dwóch swoich towarzyszy, padających kolejno w walce z napastnikami. Wtedy zdecydował, że wszelka obrona jest bezcelowa.

Wzruszając wzgardliwie ramionami, burknął:

— Widzę, że wpadłem w ręce obywatela wolnego włóczęgowskiego stanu!...

— Nie, panie hrabio — rzekł Buridan ze spokojem.

— Wpadłem w zasadzkę.

— To prawda. Zasadzka to właściwe słowo.

— Czy chcesz pieniędzy? Powiedz!

— Nie, panie hrabio.

— Czegóż więc chcesz?

— Dowie się pan, hrabio de Valois. W drogę!

— Dokąd? — ryknął hrabia.

— Tam, wysoko — rzekł Buridan, wyciągając rękę.

Valois pobiegł wzrokiem w kierunku jego ręki. Zbladł. Zimny pot okrył mu skronie.

Tam wysoko, to znaczy na szczycie wzgórza, na ciemnym tle nieba, usianego gwiazdami, czerniały potworne kontury szubienicy — olbrzymiej sieci pajęczej, rozciągniętej przez Marigny'ego na wzgórzu Montfaucon.

Buridan brutalnie pociągnął hrabiego za sobą. Po dosyć długim marszu przez krzaki i zarośla stanęli u stóp olbrzymiej podmurówki, na której wznosiło się szesnaście kolumn.

Valois z przerażeniem spojrzał na złowrogą budowlę. To co zobaczył, zmieniło przerażenie w obłądną grozę.

W górze, na pierwszej poprzecznej belce siedział ktoś okrakiem, kręcił się nerwowo i poruszał łańcuchami, nie pozostawiając wątpliwości co do celu przygotowań. Jednocześnie podśpiewywał szyderczo głosem chropowatym, fałszywie, wybuchając od czasu do czasu śmiechem.

— Czy już skończone? — zawołał do niego Buridan.

— Tak! — odpowiedział z radością Bigorne. — Już skończone.

Ze zwinnością małpy ześlizgnął się po łańcuchu i zeskoczył na ziemię. Potem tanecznym krokiem podszedł do przybyłych, śmiejąc się i składając przesadne ukłony.

— Ten głos! — warknął Valois, szcękając zębami. — Ten człowiek!

— Skończone! Dobra robota! Stryczek dla jaśnie wielmożnego pana już gotowy...

— Dobrze — rzekł Buridan. — Stań tam i nie ruszaj się z miejsca, Lancelocie Bigorne.

— Lancelot Bigorne! — krzyknął Valois głosem zdławionym przerażeniem.

— Tak! Ongiś wieszany, dzisiejszej nocy wieszający! Cóż za zaszczyt, jaśnie wielmożny panie. Stryczek już gotowy.

— Zamilkniesz, ty nicponiu! Jaśnie wielmożny panie, wybacz temu człowiekowi. Radość ze świadomości, że pana powiesi, czyni go zbyt zuchwałym.

— Stryczek już czeka — zachichotał Bigorne. — A kto pociągnie jaśnie wielmożnego pana za szlachetne nóżki?

— Jeszcze raz ci powiadam, że wyślę cię tam, gdzie pieprz rośnie i nie zobaczysz nic, jeśli nie zaprzestaniesz bajdurzenia!

— Rany boskie! Nie móc widzieć jaśnie wielmożnego pana w takiej sytuacji, w jakiej on mnie chciał widzieć! Już milczę! Wyrynam sobie język, łykam go! Jestem niemy!

— Mości hrabio — mówił dalej Buridan — ja również ;chcę pana prosić o przebaczenie. Napisałem do pana, że chcę z nim rozmawiać w sprawie Enguerranda de Marigny’ego, wynalazcy i budowniczego tej oto wspaniałej maszyny do zabijania ludzi. Skłamałem, panie hrabio! Nie o Marignym chciałem z panem mówić.

— Czegóż więc chcesz? Streszczaj się — rzekł Valois brutalnie, odzyskując zimną krew.

— Och! Mamy czas... Chciałem powiedzieć, że mam chęć powiesić pana...

— Niech i tak będzie — odparł Valois z pozorną pogardą, jakkolwiek serce jego ścisłał strach. — Powieś więc mnie i niech się to już raz skończy! Będzie cię to jednak drożej kosztowało niż przypuszczasz.

— Ba! Życie za życie, nie dbam o to, gdy pan zawiśnie w pięknym, konopnym krawaciku na szyi.

— O! Na pewno! Odpowiadam za to — zgrzytnął zębami Bigorne. — Stryczek zupełnie nowy, zapłaciłem za niego gotówką u ojca Papeiarda, powroźnika z ulicy Vieille-Barbette. Namaściłem go sadłem, tak jak tego nie uczyni sam mistrz Capelucho.

— A więc, jaśnie wielmożny panie — mówił dalej Buridan — jeśli masz jakąś ostatnią wolę, powierz mi ją, a rękę, że ją wykonam. Jeżeli chcesz odmówić jakąś modlitwę albo do Pana Boga, albo do Najświętszej Pani, albo do, któregoś ze świętych pańskich, pośpiesz się, dam ci bowiem na to najwyżej parę minut.

Valois wiedział, że jest zgubiony. Spuścił głowę na pierś. Westchnął i głosem osłabłym ze wzruszenia i niepokoju rzekł:

— Nie mam żadnej ostatniej woli. Co zaś do mej duszy, sumienie mam w porządku.

— Tym lepiej, czcigodny panie, tym lepiej... Do dzieła więc, Lancelocie, uwiń się szybko, bo w przeciwnym razie poobrywam ci uszy.

Hrabia znowu uczynił gwałtowny ruch. Już nie w nadziei ratowania się ucieczką, Bigorne związał mu bowiem ręce za plecami, lecz przypuszczał, że zginie może od pchnięcia sztyletem.

Buridan jednak zadowolili się przytrzymaniem go jeszcze silniej, podczas gdy Bigorne jął wiązać mu nogi.

— W drogę — zawołał Lancelot.

Powłókł delikwenta w stronę rampy, wznoszącej się nad podmurowaniem szubienicy.

Buridan szedł za nimi. Był posepny. Pot spływał mu z czoła. Serce waliło. Rozmyślał: „Czy człowiek ten jest już dostatecznie nastraszone?”

Gdy stanęli na platformie, Lancelot pchnął hrabiego de Valois pod zwisający z belki stryczek. Natychmiast zarzucił pętlę na szyję swej ofiary.

Buridan z rękami skrzyżowanymi na piersi, spoglądał na nich zadumany.

Nad nimi zawiła ciemna noc, jarząca się u góry milionem gwiazd. Hen, daleko hen rozlegały się głosy Wilhelma Wichury i Riqueta Haudryota, którzy klócili się przy grze, a nieco dalej Paryż przemawiał poważnym głosem klasztornych dzwonów, wzywających zakonników na nocne modlitwy.

Buridan wpatrywał się w twarz hrabiego, szukając na niej śladów przerażenia, potem skinął na Lancelota. Ten pociągnął za sznur, który się naprężył, jakby usiłując podźwignąć do góry skazańca, co nie było łatwe i wymagało pomocy przynajmniej paru pacholków.

Valois uczył przedsmak śmiertelnego uścisku za gardło. Zamknął oczy.

Buridan skinął znowu na Bigorne’a:

— Jaśnie wielmożny panie — rzekł nagle Lancelot, popuszczając na chwilę stryczek — czy przypomina pan sobie Dijon? Już nie pytam, czy pamięta pan o tym, że swego czasu obiecałeś mi życie w Chatelet! Chcę z panem mówić o Dijon!

Hrabia zadrżał i zachwiał się na nogach.

— Mój Boże! Święty Barnabo, rany boskie! — mówił dalej Bigorne. — Jak dobrze pamiętam owe czasy! Chciałbym, żeby pan pamiętał o nich równie dobrze. Daleka podróż na tamten świat będzie się panu mniej dłużyć, gdy będą ci w niej towarzyszyć dwa widma: Anny de Dramans i małego Janka!

— Och! Moja zbrodnia — wybełkotał przerażony hrabia — to moja prawdziwa zbrodnia!

— Tak. Widzę, że zaczyna pan mnie rozumieć, panie hrabio. Pani de Dramans została zasztyletowana, niech Bóg ma jej duszę w swojej opiece. No, a mały Janek, wielmożny panie, co się z nim stało?

Valois jęknął.

— Mały Janek, pański synek! Syn jaśnie wielmożnego hrabiego de Valois! Co się z nim stało? Piękne dziecko, daję słowo, miły uśmiech, wielkie filuterne oczy. Biedny maleńki. Ach! Jak on płakał, gdy go unosił nurt rzeki.

— Dosyć! — krzyknął hrabia. — Och! Dosyć! Łaski! Bigorne, zamilcz!

— Płakał! Wzywał matkę! Wzywał ojca!... Tak, jaśnie wielmożny panie hrabio, wzywał ojca... pana!

Z ust hrabiego płynął potok bezładnych słów. Buridan słuchał go uważnie.

— Ach! Ten nędznik wyrzywa mi serce! Budzi widziadła bezsennych nocy! Zbrodnia, prawdziwa zbrodnia mego życia! Syn! Mój syn! Widzę go! Idzie do mnie, wyciągając drobne rączki... Weźcie go! Puść mnie, Janku! Pozwól umrzeć w pokoju twemu ojcu!

— A więc żałujesz, że zamordowałeś swoje dziecko? — zapytał Buridan.

— Och! Tak! — wychrypiął hrabia.

— A gdybym panu darował życie?

— Darował życie? — zawołał Valois, ponosząc ku niemu pobladłą twarz.

— Tak, gdybym pozwolił ci żyć, abyś mógł żałować za grzechy, abyś mógł je odkupić! Czy dałbyś mi okup, którego bym zażądał?

Słyszając to hrabia uczuł w sercu przypływ nadziei.

— Żądaj — szepnął. — Nie krępuj się niczym! Jestem bardzo bogaty!

— Rozwiąż go, Bigorne!

Lancelot czekał widocznie na ten rozkaz, spełnił go pośpiesznie, mruczając jednak ciągle i przeklinając.

— A teraz — mówił dalej Buridan — powiem panu, za jaki okup chcę panu darować życie. Kto dowodzi w zastępstwie pana więzieniem Tempie?

Valois spojrzał zdumiony na Buridana i domyślił się, że młodzieńcowi chodzi o coś więcej niż o pieniądze.

— Kapitan łuczników — odpowiedział.

— A czy ten kapitan wykona rozkaz z pańskim podpisem?

— Ślepo.

— Jakikolwiek byłby to rozkaz?

— Nawet gdyby chodziło o podpalenie fortecy! Nawet gdyby chodziło o marsz na Luwr.

Buridan westchnął z ulgą. Wyciągnął rękę w stronę zabudowań, gdzie migotały nikle światelka w oknach „Pod pocziwą beczką, z której płynie”.

— Czy widzi pan to światło? — zapytał. — Jest tam izba a w niej stoły. Na jednym ze stołów leży pergamin i stoi inkaust. Przy stole siedzą moi przyjaciele, którzy przed chwilą pokieraszowali pańskich towarzyszy. Oto jaki będzie okup: Pójdzie pan do tego

domku wraz ze mną i napisze do kapitana łuczników w Tempie rozkaz, który panu podyktuję. Ja pojedę, aby wykonać ten rozkaz, a pan pozostanie więźniem moich dwóch towarzyszy aż do mojego powrotu. Czy przyjmuje pan warunki? Czy zgadza się pan napisać rozkaz?

— Zgadzą się — rzekł Valois krótko. — Co mam napisać?

— Wszystko panu powiem. — Buridan zbliżył się do Valois tak blisko, aż nieomal go dotykał. — Panie — rzekł głucho — napadłeś na domek, zwany Różaną Zagrodą. Porwałeś stamtąd dziewczynę, która nie uczyniła nikomu nic złego. Tak samo niewinny był twój syn Janek, którego na twój rozkaz Lancelot Bigorne wrzucił do rzeki.

Z ust hrabiego wydobył się cichy jęk.

— Dziewczyna ta została przez pana odprowadzona do Tempie i wtrącona do celi więziennej. A teraz, zrozumi mnie, kocham ją, jest moją narzeczoną.

Rój myśli zawirował w głowie Valois. Rozpacz, nienawiść do Marigny'ego, namiętność do jego córki, Myrtili, nagła zazdrość, wszystkie te uczucia zmieszały się w jego sercu i zwróciły przeciw Buridanowi.

— Kocham ją — powtórzył Buridan ciężko wzdychając — kocham ją. Za to, że ośmieliłeś się podnieść na nią rękę, powinienem rozwalić ci głowę, wydrzeć ci serce... — swoje drżące ręce zacisnął na szyi Valois.

Hrabia zatrząsł się z przerażenia i szepnął:

— Okup! Przysięgam, że dam ci okup!

— Tak — powiedział Buridan uspokajając się nagle.

— Ponieważ pańskie życie jest kaucją za jej życie, ułaskawiam pana! Żyj sobie! Zaraz ci powiem, co masz napisać do kapitana łuczników. Jeśli jednak on nie wykona twojego rozkazu, jutro przed południem umrzesz!

— Usłucha! Przysięgam na Boga i na Najświętszą Panienkę!

— To dobrze. Idziemy!

Buridan poprowadził hrabiego, Lancelot Bigorne szedł za nimi ze sztyletem w dłoni, w każdej chwili gotów pchnąć nim więźnia, gdyby ten chciał ratować się ucieczką. Wkrótce stanęli przed zabudowaniami, a potem weszli do szynku.

— Wilhelmie — rzekł Buridan — i ty, Riquecie, oto jest ten pan. Co macie z nim uczynić, jeżeli jutro w południe nie zjawię się tutaj?

— Na mą duszę, nicpoń będzie zarżnięty, wybebeszony, a jego flaki rozwiesimy na wietrze.

— Siadaj więc, wielmożny panie — powiedział Buridan — i pisz.

Valois usłuchał. Buridan dyktował mu:

W imieniu króla, ja Karol, hrabia de Valois, żądam i rozkazuję, pod karą ćwiartowania, memu kapitanowi łuczników wykonanie niezwłocznie tu zawartego rozkazu, który brzmi: Kapitan łuczników wypuści natychmiast na wolność dziewczynę imieniem Myrtila, oskarżoną o czary. Oskarżenie to okazało się fałszywe i podłe. Wyżej wymieniona dziewczyna ma być powierzona opiece oddawcy niniejszego pisma, który ma dopilnować ścisłego wykonania rozkazu.

Hrabia skończył pisać i złożył podpis. Podał pergamin Buridanowi i zapytał:

— A teraz powiedz, czy nie zgodziłem się na okup, zanim dowiedziałem się, jaki ma on być? Czy nie zgodziłem się napisać rozkazu przed poznaniem jego treści?

— Potwierdzam to — odparł Buridan zaniepokojony.

— A więc mam życie ocalone?

— Niewątpliwie.

— Teraz posłuchaj mnie. Kapitan łuczników wykona rozkaz, który otrzyma ode mnie, nawet gdyby chodziło tu o wypuszczenie na wolność wszystkich więźniów z Temple, nawet takich, którzy są oskarżeni o zdradę stanu.

— A więc!? — warknął Buridan.

— Nie będzie mógł wykonać tego rozkazu z tej prostej przyczyny, że dziewczyny nie ma już w Tempie.

— Przekleństwo...

Buridan cofnął się powoli i padł na ławę, kryjąc twarz w dłoniach. Serce jego szarpał niepokój.

— Słowo szlachcica mogłoby wystarczyć — mówił dalej Valois — chcę jednak dołączyć do niego przysięgę. Przysięgam na Boga, który nas sędzi. Przysięgam, tak, przysięgam na mego małego Janka, na pamięć dziecka, zamordowanego przeze mnie...

— To straszne! — westchnęli Wilhelm i Riquet.

— Przysięgam, że mówię prawdę... Czy wierzysz mi?

— Wierzę — odpowiedział głucho Buridan.

— A więc prawdą jest, że z rozkazu królewskiego odprowadziłem do Tempie dziewczynę, o której mowa. Lecz nie mniejszą jest prawdą, że ktoś przyszedł po nią dwie noce temu i że musiałem ją wydać.

— Dokąd została przeniesiona? — zapytał Buridan z uporem człowieka, który kocha i nie chce stracić nadziei.

— Na Boga, na moje dziecko, nie wiem! Jestem przeświadczony, że nie odwieziono jej do więzienia...

— Nie do więzienia? — wyjąkał Buridan. — A więc dokąd?

— Nie wiem. Lecz ponieważ przysięgałem, wysłuchaj reszty. Dziewczyna ta opuściła mury Tempie z rozkazu pewnej potężnej osobistości.

— Kto jest tą osobą? Nie oszczędzaj mnie i nie taj nic przede mną.

— Królowa! — rzekł hrabia.

— Małgorzata Burgundzka! — krzyknął Buridan i zerwał się z miejsca. — Królowa! Królowa! — powtórzył, starając się na próżno zrozumieć tajemnicze związki w całym tym splocie wydarzeń.

— A teraz — mówił dalej Valois — zatrzymaj mnie tu, pójdz do Tempie, przeszukaj, wypytaj, a jeśli skłamałem, wróc i odprowadz mnie na Montfaucon.

Buridan otarł pot, spływający mu z czoła, podszedł do drzwi szynku, otworzył je na oścież i, zwracając się do Valois, powiedział:

— Jest pan wolny...

— Wierzysz mi? — spytał Valois drżąc.

— Tak, przysiągł pan bowiem na swoje dziecko. Jesteś w tej chwili pod opieką swego syna.

— Mego syna — szepnął Valois spuszcżając głowę, w której tłoczyły się różne myśli.

Potem odrzucił głowę, jakby ich się chciał pozbyć, i ruszył pewnym krokiem do wyjścia z szynku. Stanąwszy w progu odwrócił się i rzekł:

— Byłeś dostatecznie wspaniałomyślny, aby mi uwierzyć, nie sprawdzając. Płacę wam za to również wspaniałomyślnym gestem. Uprzedzam, abyście się mieli na baczności. Podniosłeś rękę na księcia, przez ciebie zginęło dwóch moich ludzi, poniżyłeś mnie i zmieszałeś z błotem. Za godzinę król będzie o tym wiedział. Za godzinę cała straż miejska będzie na nogach. Nie uspokoję się, aż ujrzę cię na szubienicy, tam gdzie miałeś zarzucić mi stryczek na szyję. Pilnuj się, bo ja mam się na baczności.

Wilhelm i Riquet uczynili ruch, jakby chcieli rzucić się na Valois. Buridan powstrzymał ich skinieniem ręki i pozdrowił Karola de Valois ukłonem. Hrabia oddalił się powoli, nie spojrzawszy nawet na dwa trupy swych towarzyszy, zabitych przez Wilhelma i Riqueta.

— Królowa! — szepnął Buridan przesuwając ręką po czole. — Myrtilła ocalona przez królową? Dlaczego? Skąd Małgorzata Burgundzka zna Myrtilłę? Dlaczego interesuje się córką Klaudiusza Lescota? Dokąd ją odwiozła?

Jakkolwiek niebezpieczne i niepokojące były te pytania, istniała przecież pewność: Myrtilła uniknęła strasznego więzienia w Tempie i jeszcze straszliwszych tortur, na które skazywano wszystkich oskarżonych o czary! Chociaż Buridan miał całkowite prawo, by nienawidzić człowieka, który aresztował Myrtilłę, lecz teraz gdy hrabia oznajmił, że dziewczyna jest na razie uratowana od śmierci, czuł nieomal wdzięczność dla niego.

Zaczął rozmyślać nad tym, jak zobaczyć się z królową.

— O czym marzysz? — zapytał Riquet Haudryot.

— Hm, marzy mi się, aby hrabia powieszony, ścięty, ugotowany żywcem w oleju, czy wybebeszony, a może nawet poćwiartowany z rozkazu tego wyrzutka z piekła rodem, którego tak łatwo było zgładzić, mając go w ręku! — odpowiedział Wilhelm.

— Nie, Wilhelmie Wichura — zaprzeczył łagodnie Buridan — rozmyślam o tezie, której mam bronić w Sorbonie, o wszystkich za i przeciw. Tezę tę podsunął mi ty sam w tej chwili.

— Ach! Ach! *Licium est occidere... loquacem?* (Czy jest dozwolone zabicie gaduły?) Dobry temat na tezę! Wspaniały! Zabijemy gadułów!

— Nie! — odrzekł Buridan uśmiechając się blado: — *Licium est occidere reginam!?* (Czy jest dozwolone zabicie królowej!?).

Cesarz Galilei i król Palestry, przerażeni, drżący, zdumieni, spojrzeli uważnie na Buridana, który spokojnie pił wino.

XV

WYŚLANNICZKA

Zanim Buridan w imieniu Filipa i Gautiera d'Aulnayów wyzwał Engeurranda de Marigny'ego na sąd boży, wybrał jako teren bitwy Pre-aux-Clercs. Skraj tego placu przylegał do opactwa Saint-Germain-des-Pres. Otóż sądy boże w owych czasach musiały się odbywać zawsze w sąsiedztwie świątyni, sam Bóg bowiem był obecny na takim pojedynku, stając po stronie prawa przeciw niesprawiedliwości, wspierając niewinnego przeciw złemu adwersarzowi.

Może Buridan miał jeszcze inne powody przy wybraniu na miejsce bitwy Pre-aux-Clercs. A więc w przededniu wielkiego dnia, około południa, Buridan opuścił mieszkanie pani Clopinel, swej gospodyni. Towarzyszył mu Lancelot Bigorne, który szedł o dziesięć kroków za nim. Kaptur miał nasunięty na czoło, owinał się płaszczem powyżej podbródka, rękę trzymał na rękojeści sztyletu i tak rozmyślał: „Cóż za tupet! Pokazywać się na ulicach w biały dzień, wiedząc, że się jest poszukiwanym przez straż miejską i policję! Doprowadziło do tego, że zginiemy na szubienicy. Jest to równie pewne, jak to, że święty Barnaba zajmuje poważne miejsce w gronie swych kolegów — świętych pańskich”.

Buridan, dotarłszy do Luwru, zaczął okrążyć powoli pałac królewski w zamiarze lepszego poznania go.

Czy miał zamiar przedostać się do Luwru? Ryzykować życiem, walczyć z całym garnizonem, aby tylko dotrzeć do królowej? W istocie sam nie wiedział, co ma uczynić, wiedział tylko, że musi zobaczyć się z królową.

Szedł wzdłuż fosi, zatrzymując się chwilami. Przyglądał się pękatom wieżyczkom, na szczytach których powiewały chorągwie królewskie. Przyglądał się murom i czarnym sylwetkom łuczników, spacerujących po nich. Przyglądał się olbrzymim wrotom, mostom zwodzonym, zawsze gotowym do podniesienia w razie niebezpieczeństwa...

Bigorne, ciągle w kapturze na głowie, kłął i spoglądał w stronę czarnych murów, za którymi mieszkał król, patrzył krzywym okiem na wieżyczki, balkony, balustrady i daszki ze sterzącymi chorągiewkami, wskazującymi kierunek wiatru.

— W najlepszym wypadku — pomrukiwał — poznają nas wojacy chodzący wzdłuż murów i poślą nam na powitanie cały rój swoich strzał...

Kręcąc się tak wokół Luwru blisko przez godzinę, Buridan zatrzymał się z westchnieniem w pobliżu wielkiej wieży, w której — w myśl tradycjom ustanowionym przez Filipa Augusta — najwięksi lennicy korony francuskiej mieli wkrótce złożyć hołd nowemu królowi, Ludwikowi X. Buridan obrzucił spojrzeniem trzy dalsze wieże: Podkowy, Windał i Poreaux, które broniły dostępu do Luwru. Potem przeniósł wzrok na szeroką wieżę, zwaną wieżą Filipiny, z ośmiu szerokimi oknami na każdym piętrze. Okna te były starannie zakratowane. Nagle odwrócił się, jakby tknięty jakimś dziwnym przecuciem... Po tamtej stronie rzeki ujrzał wieżę Nesle...

Stał długo w zamyśleniu, ze ściągniętymi brwiami, wpatrując się w kamienną olbrzymkę, dziwnie groźną i tajemniczą. Potrząsnął głową i już miał zamiar się oddalić, gdy nagle ujrzał przy sobie kobietę. Stała nieruchoma, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

Skąd się zjawiała? Którędy przyszła? Może zza grupy wierzb? A może z wielkiej wieży Luwru? Chciał przyjrzeć się jej twarzy, zasłoniła ją jednak maską i naciągnęła na czoło kaptur. Kobieta była wysokiego wzrostu, pięknie zbudowana, jedna z tych kobiet, które idąc ulicą, ściągają na siebie wzrok swą naturalną elegancją i wytwornością.

Buridan osądził, że musi być już starsza wiekiem, pomimo śladów piękności, we włosach jej bowiem dostrzegł dużo srebrnych nici.

— Ktoś ty?

— Jak to, Janie Buridan, nie poznajesz mnie? — Odpowiedziała z odcieniem ironii.

Buridan poznał jej głos i się wzdrygnął.

— Na Boga! — rzekł głośno, czując, że blednie. — Jesteś czarownicą, która pewnego wieczoru zatrzymała mnie na ulicy Froidmantel i wyznaczyła mi schadzkę.

— To prawda. Jestem tą, o której mówisz. Nazywam się Mabel. Nie jestem czarownicą, tylko biedną kobietą, wykonującą różne zlecenia. — Milczała przez chwilę, jakby szukając słów na wyrażenie myśli. — Nie bywasz już na ulicy Froidmantel? — zapytała nagle.

— Skąd wiesz, że bywałem na ulicy Froidmantel? Skąd wiesz, że już tam nie bywam?

Mabel zaczęła się śmiać.

— Wiem, że tam bywałeś, śledziłam cię bowiem i widziałam, jak wchodziłeś do starego domu, zamieszkałego przez twoich dwóch przyjaciół... Zapomniałam, jak się nazywają.

— Filip i Gautier d'Aulnayowie — rzekł Buridan.

— Filip d'Aulnay! Gautier d'Aulnay! Tak, tak, teraz przypominam sobie! — mówiła kobieta. — Otóż wiedziałam dobrze o tym, że często odwiedzasz tych zacnych

panów. Tym się tłumaczy moja chęć spotkania się z tobą przy ulicy Froidmantel. Lecz dlaczego już tam nie chodzisz?

— Ach! — odparł Buridan. — Bo nie mam już żadnego interesu na tej ulicy, a nawet boję się wchodzić tam. Posłuchaj, kobieto... Czy w życiu swoim mieszkałaś kiedyś w takim domu, w którym czułaś się wyjątkowo szczęśliwa, w którym wraz z tobą mieszkało szczęście? A gdyby potem nagle do tego domu weszło zło i tragedia, prawda, że znienawidziłabyś ten dom, unikałabyś go po wsze czasy, uważając go za przybytek cierpienia?

— Masz słuszność! — odpowiedziała Mabel tak ponurym głosem, że wstrząsnął on sercem Buridana.

— Otóż — ciągnął młodzieniec dalej — w tym starym domu, o którym mówiłaś, przez długie lata spotykałem niefrasobliwy śmiech, wesołe uczyty przy stole, długie rozmowy zimowymi wieczorami. Bo widzisz, Filip i Gautier uważali się za moich, braci, a ja również ich kochałem. Nie znałem ani ojca, ani matki, oni byli całą moją rodziną...

Buridan umilkł.

Jakieś gwałtowne wzruszenie wstrząsnęło widocznie sercem kobiety, bo również milczała. Wkrótce jednak otrząsnęła się ze swych myśli i rzekła:

— Mój Boże. Czyżbyś się pokłócił z tymi, których tak kochałeś?

— Nie, kobieto. Między nami nie było nigdy kłótni. Myśleliśmy zawsze jednakowo. Jedno serce biło w trzech piersiach.

— A więc... umarli?

— Nie wiem. Zniknęli! Lecz tak zniknęli, że nikt nie może udzielić mi żadnych informacji o nich. Opuścili Paryż nie zawiadamiając mnie. A może zostali wtrąceni do więzienia? Może padli w pojedynku? Któż to może wiedzieć?

— Jak to! Nikt nie mógł ci udzielić żadnych wskazówek? Naprawdę nikt?

— Gdybym był biskupem, zapytałbym o nich Pana Boga. Gdybym był czarownikiem, zapytałbym diabła. Wtedy wiedziałbym może, co się z nimi stało... — Buridan zauważył, że kobieta się uspokoiła, — Żegnaj, kobieto — powiedział nagle Buridan — wspomnienia, które wywołałaś w mym sercu, są ciężkie. W każdym razie, jeśli zechcesz się ze mną kiedyś widzieć, to nie znajdziesz mnie teraz na ulicy Froidmantel.

— Jeszcze chwilę — rzekła Mabel, zatrzymując go. W głosie jej zabrzmiało wzruszenie, gdy nagle szepnęła: — Janie Buridan, powiedziałaś mi przed chwilą coś, co mnie bardzo zdziwiło, co mnie przejęło wielkim smutkiem. Powiedziałaś, mi, że nie pamiętasz ani ojca, ani matki.

— To prawda — rzekł młodzieniec, a czoło jego zaszło chmurą.

— Ach! — szepnęła Mabel. — Z jakiego pochodzisz kraju?

— Z Bethunii w Artois — odparł Buridan.

Mabel przesunęła ręką po czole, pomyślała; „Biedny młodzik! Ani ojca, ani matki! Czy nie jest jednak moim obowiązkiem oszczędzić go... Przecież ja z kolei jestem matką bez dziecka! Oszczędzić go? Wyrzec się zemsty? Nie! Raczej wydrę sobie serce! Ma na imię Jan... Jak mój synek... Kto wie, czy nie jest to wskazówką, że Bóg jest po mojej stronie!”

Rzuciła spojrzenie na olbrzymią wieżę Luwru, a potem wzrok jej przeniósł się na wieżę Nesle...

— Janie Buridan, — ciągnęła dalej — musimy porozmawiać, tak jak wtedy przy ulicy Froidmantel. Przysłałaś mnie do ciebie bardzo wpływowa i znakomita osoba. Tym razem nie przysłałaś mnie mężczyzna, lecz kobieta! Posłuchaj! Nie nienawiść chce z tobą prowadzić dyskurs, lecz miłość!

Mabel przyglądała mu się badawczo. Serce Buridana biło tak, że zdawało się, rozsądzi piersi. „Małgorzato! Małgorzato!” — wyszeptał w duszy, „Sama przysłałaś po mnie!” Wybuchnął śmiechem.

— Na Danae, którą Jupiter, król obłoków, zaszczycił swą miłością! Kobieto, nie zajmuj ty się mymi nienawiściami, wiesz bowiem, że nienawiść to taka potrawa, z której nie odstąpię nikomu ani kęska.

— A więc przyjdiesz?

— Niech pomyślę! Pewna wpływowa osoba wzywa mnie? Mówisz, że potężna, nieprawdaż? To znaczy, że jest dostatecznie mocna, aby udusić mnie w swych ramionach! Kocham kobiety mocne!

— Takie, które mogą wpływać na twój los? — zapytała Mabel z pewnym żalem w głosie:

— A to pewnie jakaś baronowa? A może księżna? Mój los potrzebuje takiej opieki, a sposobność jest rzeczywiście wyjątkowa...-. Kiedy mnie oczekuje?

— Dziś wieczorem, o dziesiątej.

— Dobrze! Gdzie?

— Spójrz przed siebie — rzekła Mabel — po tamtej stronie rzeki...

— W wieży Nesle!? — spytał Buridan i wybuchnął śmiechem. — Będę, nawet gdybym wiedział, że piekło otworzy tam przede mną swe podwoje.

Mabel obrzuciła młodzieńca długim spojrzeniem. W oczach jej błysnął promień współczucia. Nakazała mu sobie jednak milczenie i skinąwszy głową Buridanowi, oddaliła się, idąc powoli brzegiem rzeki,

Młodzieniec pozostał wpatrzony w wieżę Nesle.

XVI

DWAJ BRACIA

Gdy został sam, raz jeszcze obszedł Luwr dookoła, wracając tą samą drogą, którą przed chwilą przybył. Potem zagłębił się w labiryncie małych uliczek, okalających fortecę królewską. Pełno było w ówczesnym Paryżu uliczek i zaułków, nie cieszących się dobrą sławą, których ani król, ani nawet straż miejska nie odwiedzali.

Tymi to krętymi drogami wrócił Buridan wraz z Lancelotem Bigorne'em na ulicę Froidmantel. Wszedł do starego, do połowy zrujnowanego pałacu, gdzie dawniej przodkowie Filipa i Gautiera d'Aulnayów utrzymywali garnizon liczący przeszło trzydziestu zbrojnych.

Ulica Froidmantel była bardziej uczęszczana od innych podobnych ulic. Obu braci łączyło z nią jakieś tajemnicze przywiązanie.

Od czasu przygody w wieży Nesle nie wychodzili inaczej z domu, jak tylko późną nocą i nie otwierali nikomu.

Kilkakrotnie pukano do ich drzwi. Gautier był przekonany, że upartym gościem jest Stragildo. Posępny wykonawca wszelkich zbrodni królowej przychodził, przypuszczalnie upewnić się, czy Sekwana zatrzymała na swym dniu ponury depozyt. Pewnego razu ktoś nawet wyłamał drzwi i wdarł się do wnętrza. Filip i Gautier, ukryci w tajnym gabinecie, nie przeszkadzili mu w zwiedzaniu domu i przeszukaniu go od góry do dołu. Po tej wizycie nikt ich już nie niepokoił. Stragildo, jak myśleli, prawdopodobnie upewnił się, że zginęli, i już nie powrócił.

Tymczasem Buridan, znalazłszy się na piętrze pałacu, gdzie ulokowali się dwaj bracia, odezwał się wcześniej umówionym głosem sowy. Zakurzone drzwi otworzyły

się prawie natychmiast, a w obramowaniu ich stanął Gautier. Buridan wszedł do środka gabinetu. Bigorne pozostał na warcie w przedsionku.

— Gdzie jest Filip? — zapytał Jan, gdy zasiedli przy stole.

— Na ulicy — odparł Gautier krótko i gniewnie,

— Chce więc koniecznie pożegnać się z życiem?

Gautier d'Aulnay wzruszył ramionami i wznosił ręce do nieba, jakby wzywał zmiłowania nad bratem.

— Nic na to nie poradzę. Musiał wyjść. Nie mógł usiedzieć w miejscu. Ja się rozgniewałem, zastąpiłem mu nawet drogę. Wiesz, co mi powiedział? Rzecz nie do wiary. Mówił mi, że nie potrafi przebić sztyletem swego brata, a z drugiej strony nie może już dłużej opierać się chęci zaczerpnięcia powietrza, zabije się więc sam w mej obecności, jeśli będę mu stał na drodze.

— Zaczerpnąć powietrza! Czemu nie wychodzi w nocy, jak to było umówione?

— w nocy nie spotka Małgorzaty.

— Hm, przecież w ciemnościach łatwiej mu będzie spotkać się z tą królową piekieł.

— Filip jest szalony. Nic na to nie poradzę.

— Tam do diabła! Tam do diabła! — powtarzał Buridan, gryząc pięść. — Mówisz, że chce zobaczyć się z królową?

— Zapewnia, że umrze, jeżeli się z nią nie zobaczy, ja zaś uważam, że śmierć go dopadnie, jak się z nią zobaczy albo gdy ona go spostrzeże. Dopóki królowa wierzy w to, że nie żyjemy, możemy być spokojni. Gdy się dowie, że uciekliśmy z worka pana Stragilda, nie dałbym grosza za naszą skórę. — Gautier ciężko westchnął i walnął pięścią w stół. — Jeśli myślicie — warknął — że dam się zabić z miłości do Filipa... Nie wiecie chyba, jak straszna chęć życia tkwi we mnie! Chcę żyć, do stu tysięcy diabłów. Posłuchaj, Janie, gdyby Filip kochał się w jakiejś ładnej dziewczynie lekkiego prowadzenia, a czulego serca, mogłoby to mnie wzruszyć nieco. Lecz ta, którą kocha, to śmierć, to widmo piekielne, to szatan żądny naszej krwi. Janie, wiem teraz, co to jest smutek, bo mój brat nie jest już dla mnie bratem... — Gautier zrobił zrozpaczoną minę i dodał: — Pijmy! Pijmy, dopóki jeszcze możemy pić! Na szczęście mam pomysł.

— Cóż to za pomysł? — zapytał Buridan.

— Posłuchaj — rzekł Gautier.

Nagle potężny ryk drapieżnika dotarł do nich z sąsiedniego podwórza.

— To Neron — szepnął Gautier. — Nauczyłem się już rozróżniać ich głosy.

Na jego zazwyczaj wesołej twarzy ukazał się tak straszny uśmiech, że Buridan zadrżał z przerażenia.

— Chodź — powiedział Gautier, wychylając swój kubek. — Przekonasz się, że jeśli głos zwierzęcia jest straszny, samo zwierzę ma w sobie coś, co pociąga królową.

Jan zadumany, ogarnięty jakąś dziwną myślą, która zaledwie zaczęła mu świtać w głowie, szedł za Gautierem. Twarz młodszego d'Aulnaya pobladła, oczy nabrały twardego, niezwykłego dla nich wyrazu.

Przeszli do drugiego pokoju, w którym panował półmrok. Gautier pociągnął Jana do stoczonego przez korniki okna, w którym brakowało kilku szybek. Zastąpiono je kawałkiem przybitego do ram grubego płótna. Gautier wskazał Janowi dziurę, zrobioną w zasłonie. Buridan przyłożył do niej oko.

— Niejedną już godzinę spędziłem na tym posterunku — rzekł Gautier. — Powiedz mi, drogi przyjacielu, co widzisz?

— Widzę — powiedział Buridan — wielkie podwórze, otoczone budynkami.

— Tak, są to mieszkania całej armii dozorców drapieżników, którym rozkazuje drapieżnik, zwany Stragildem. Lecz powiedz mi coś o pałacu...

— O pałacu?

— O tak, o pałacu lwów, tygrysów i innych kuzynów pani Małgorzaty. Pałac jest w głębi podwórza, czy nie widzisz?

— Tak, to solidny murowany budynek, olbrzymi hangar, rozdzielony na duże kwadratowe części, następujące po sobie kolejno i frontem zwrócone do podwórza, Przednia fasada każdej klatki zabezpieczona jest kratami z grubych prętów, a za kratami widzę drapieżniki, spacerujące tam i z powrotem. Są to naprawdę potężne zwierzęta — dodał Buridan, odwracając się od okna.

— Istotnie — rzekł Gautier — potrafią one zmiażdżyć czaszkę uderzeniem łapy, a jednym kłapnięciem zębów zgruchotać klatkę piersiową mężczyzny...

— Mężczyzny? — zapytał Buridan, spoglądając na Gautiera.

— Mężczyzny albo i kobiety! — odpowiedział zimno Gautier. — Ale nie wszystko jeszcze widziałeś, mój drogi. Czy zauważyłeś, że podwórze rozdzielone jest dwie części kratą? Krata ta jest bardzo mocna i bardzo wysoka... Czy zauważyłeś, że okno wychodzi właśnie na tę część podwórza, która przylega do klatek drapieżników?

— No i...? — przynaglił Buridan, słuchając uważnie opowiadania Gautiera.

— No i... — rzekł Gautier z dziwnym uśmiechem — dowiedz się więc, że od czasu do czasu klatki są otwierane, a lwy wychodzą na tę część, która znajduje się tuż pod oknem. Wtedy w przedniej części podwórza król i rycerze zajmują miejsca na wzniesieniu pod wielkim baldachimem, który widziałeś, i przyglądają się skokom zwierząt. Trzeba to widzieć, aby zrozumieć, jak lwy potrafią skakać i ryczeć. Król wtedy klaszcze, krzyczy, grozi drapieżnikom pięściami, lży je, drażni... Ach! Zapewniam cię, że to piękne widowisko!

— No i... — powtórzył Buridan, drżąc i nie mając odwagi uwierzyć myślom, jakie przysły mu do głowy.

— No i... — mówił dalej Gautier — wyobraź sobie, że klatki zostaną otwarte przez Stragilda, a lwy wypuszczone na tylne podwórze otwierają szeroko paszcze i czepiają się pazurami kraty. Wyobraź sobie, że wtedy wyrzucają cię na podwórko przez to okno... ciebie, albo inną osobę, którą zwabią tutaj!

— Zgroza! — szepnął Buridan.

— Zrozumiałeś mnie! — powiedział Gautier. — Widzę, jak drżysz. Tak samo drżałem, kiedy myśl ta zaświtała mi w głowie po raz pierwszy.

— Gautier, Małgorzata to kobieta.

— To pantera, tygrysica, wszystko, co chcesz, tylko nie kobieta. Ach! Dobrze, że nie widziałeś nigdy takich jak ona istot w chwili upojenia winem, wonnościami i miłością, istoty te podobne są do dziwacznych stworów, majaków, urojeń w chwilach ataku śmiertelnej gorączki. Widać, że nie próbowano odebrać ci życia z uśmiechem na ustach, z ogniem miłości w sercu, że nie porwano cię nigdy i nie wrzucono do worka, do potwornego całunu, w którym zaszyto nas żywcem, aby wrzucić razem do wodnej mogiły. Ja widziałem to wszystko i gdybym miał żyć sto lat, wspominając tę chwilę, czuć zawsze będę dreszcz grozy! Buridan, spójrz na me włosy, widzisz, jak zbiały... Och, widziałem Małgorzatę bladą i zimną, jak słuchała mych błagań bez jednego gestu litości. Ta istota, którą nazywasz kobietą, oglądała przygotowania do straszliwej tortury, a serce jej nie zadrżało! Buridan, nie wiem już teraz, co to jest śmiech. Nie wiem, co to znaczy wychylić dzban wina z radością w sercu, z lekką głową. Buridan, boję się, ciągle się boję. Żyję w ustawicznym strachu. W nocy — ja, który spałem zawsze kamiennym snem, budzę się cały spocony, gdy zachrobocze mysz. Moja ręka sięga po sztylet, a serce łomocze: Kto tam!? Kto tam!? Boję się! Wiem, iż nie jestem wcale tchórzem, ale będę już wiecznie czuł lęk... aż do chwili, gdy ujrzę jej trupa.

Buridan z przerażeniem spoglądał na tego silnego, dzielnego, tak radosnego jeszcze przed kilkoma dniami mężczyznę, który teraz naznaczony był stygmatem śmierci.

— Zrozumiałeś mnie — mówił Gautier. — Kiedy dałeś nurka do wody, kiedy rozprułeś nasz worek, kiedy ujrzałeś nas w swej łodzi, zrozumiałeś chyba, że nie jestem dawnym Gautierem. Ci, którzy byli w wieży Nesle, jeśli nie umarli, to dostali, obłądu. Jestem szalony. Szalony ze strachu. Szalony nienawiścią. Jesteś szczęściarzem, Buridan, że przyszedłeś za późno i nie wszedłeś do tej przeklętej wieży.

— Dziś wieczorem — rzekł Buridan — mam nadzieję, że przybędę tam na czas.

Gautier aż podskoczył przerażony i zdumiony.

— Dziś wieczorem — mówił dalej Buridan — moja kolej. Jestem oczekiwany w wieży Nesle. Dziś Małgorzata Burgundzka otworzy mi swoje ramiona i...

Czyjaś ręka spoczęła na ramieniu Buridana.

Odwrócił się i ujrzał Filipa d'Aulnaya bladego jak ściana. Gautier wyszedł szybko do pierwszej sali, nalał sobie wina i wychylił je duszkiem, mrużąc głucho przekleństwo. Filip i Gautier spoglądali na siebie jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Filip szepnął:

— Nie pójdziesz tam, Janie.

Buridan nic nie odpowiedział.

— Nie pójdziesz tam! — powtórzył Filip. — Małgorzata jest nierządnicą. Świadomość ta sprawia mi straszne cierpienie. Ale nie chcę, nie mogę znieść myśli, że ty, Buridan, kradniesz mi Małgorzatę, tę występłą, okrutną kobietę. Kocham ją, uwielbiam, choć wiem, że jest potworem w pięknej ludzkiej postaci. Jeżeli się z nią spotkasz, przestanę wierzyć, że istnieje na świecie czystość, przyjaźń i nadzieja...

— Nadzieja!? — szepnął Buridan. — A więc masz jeszcze nadzieję? I czegoż możesz się spodziewać?

— Mam nadzieję, Janie! Mam nadzieję, że owa noc była tylko straszliwym snem. Mam nadzieję, że oczy moje kłamały, że uszy moje kłamały, że wszystkie zmysły myliły się! Wierzę w to, chcę wierzyć! Z całym zapalem, całą siłą woli zmuszam mój umysł, aby wierzył, że Małgorzata jest czysta, niewinna, taka jak ją sobie wymarzyła moja dusza... Janie, nie pójdziesz wieczorem na schadzki. Każdej nocy chodzę pod wieżę Nesle. Ukryty za spróchniałym pniem starej wierzby ze sztyletem w ręku czekam na kolejnych amatorów uciech miłosnych, na kolejnych gości królowej. Przysięgam ci, że każdy, kto się zbliży do wieży — zginie! Lecz — dodał Filip z bladym uśmiechem — nikt ostatnio do wieży nie chodził...

Buridan pokiwał głową.

— A więc — rzekł głucho — dziś wieczorem będziesz stał pod wieżą, czekając i śledząc?

— Pójdę tam!

— A jeśli i ja pójdę?

— Zabiję cię, Janie.

— A więc zabijesz mnie, Filipie! — rzekł wreszcie Buridan. — Z miłości do tej tygrysy zabijesz przyjaciela, a gdy tak się złożą okoliczności, zabijesz brata swego, Gautiera.

Filip otarł spocone czoło. Gautier w sąsiednim pokoju zaklął.

— Z miłości do tej krwawej nierządnicy — mówił dalej Buridan — zapomnisz może i o tym, że jutro masz podjąć walkę, stanąć na sąd boży na Pre-aux-Clercs, zapomnisz może i o wyzwaniu, rzuconym zabójcy twego ojca i twojej matki, zapomnisz o wyzwaniu rzuconym łupieżcy twego rodu! Z miłości do Małgorzaty będziesz podwójnym zdrajcą, zapominając o wyzwaniu rzuconym Marigny'emu i o twej uroczystej przysiędze, złożonej nad grobem ojca.

— Rany boskie! Do diabła! Do stu tysięcy diabłów! — ryknął Gautier, rozbijając o ścianę dzban po winie, który właśnie opróżnił do dna.

Filip nie odpowiedział nic na słowa Buridana. Dygotał, patrząc błędnym wzrokiem.

— Gautier! — zawołał Buridan.

— Jestem! — warknął Gautier, stając we drzwiach.

Włosy miał rozczochrane, twarz umazaną winem i łzami.

— Gautierze i ty, Filipie! Posłuchajcie, co wam powiem. Dziś wieczorem pójdę do tej przekłętej wieży Nesle. Będę tam, gdy wybije dziesiąta, gdzie rośnie stara wierzba. Nie będę miał przy sobie broni. Bądźcie tam obaj i zasztyletujcie mnie, gdy będę przechodził koło was, przysięgam bowiem na przyjaźń, jaka nas łączy, przysięgam na samego Boga, że gdyby stanął przede mną sam Archanioł z ognistym mieczem, on nawet nie przeszkodziłby mi wejść dzisiejszego wieczoru do wieży Nesle! — Buridan zwrócił się w stronę drzwi, a obaj bracia usłyszeli, jak mówił: — Lancelocie! Chodźmy z tej nory!

Wtedy Filip wybuchnął płaczem. Pobiegł za Buridanem i porwał go w ramiona.

— Przebacz mi! — wyjąkał. — Wykreśl ze swojej pamięci wszystko, co przed chwilą powiedziałem. Jesteś moim przyjacielem, moim bratem! Jutro, Janie, będę przy tobie na Pre-aux-Ciercs. A dzisiejszego wieczoru... jeśli pójdę pod wieżę, to tylko dlatego jedynie, aby cię bronić i ocalić, Jak ty nas ocaliłeś...

— Uff! — westchnął Gautier, ocierając łzy. — Jak to dobrze, że strzaskalem jedynie pusty dzban!

Braterski uścisk połączył trzech młodzieńców. Potem Gautier pośpieszył napełnić srebrne kubki dobrym winem, wszyscy trzej zajęli miejsca przy stole, a Buridan rzekł:

— Teraz powiem wam, dlaczego chcę narazić moje życie na szwank i dlaczego chcę udać się do jaskini, w której czyha na ludzi to dzikie zwierzę — królowa!

XVII

ROZKOCHANA LWICA

Nastał wieczór, po nim noc rozpięła gęsty woal mgieł nad uśpionym Paryżem. Sekwana niemal bezszelestnie płynęła między piaszczystymi brzegami, nad którymi rosły stare, pochylone wierzby, a dalej za nimi wznosiły się ku niebu wysokie, smukłe topole.

Buridan spędził wieczór w „Piekielnym Szyнку”. W szynku tym, odwiedzanym często przez studentów, panował hałas i zamieszanie. Żacy bili się ustawicznie, rabowali, gdzie się dało i co się dało, klęli, szukali zaczepki ze strażą miejską i kłótni z opatem klasztoru Saint-Germain-des-Pres. W obronie praw uniwersytetu przeciwstawiali się samemu królowi. Nie uczyli się wcale albo bardzo mało.

Ówczesne kolegia fundowane były przez bogobojnych ludzi, pragnących w ten sposób zapewnić zbawienie swej duszy. Studenci otrzymywali mieszkanie, utrzymanie, a nawet pieniądze na drobne wydatki. Mieszkania te bardziej przypominały nory niż izby dla ludzi, a po obiadach i kolacjach, jakie dostawali w kolegiach, pozostawał na całe życie katar kiszek. Niemniej w kolegiach brakowało zawsze miejsc.

Któż jednak uzyskiwał te przywileje kolegialne? Najczęściej znużeni już włóczęgą poszukiwacze przygód i nicponie spod ciemnej gwiazdy, którzy skorzystali z amnestii za dawne grzechy. Teraz uzbrojeni w przywileje, stawali się jeszcze bardziej kłótniwi i bezczelni.

Uzyskiwały je również zabijaki dobywający szpady z powodu jednego krzywego w ich stronę spojrzenia. Niejednokrotnie szli oni ręką w rękę z bandą zorganizowanych łotrzyków.

„Piekielny Szynek” — to lokal nie cieszący się dobrą opinią na uniwersytecie, hałaśliwy, gwarny i niespokojny. Szynek ten zawdzięczał swą nazwę temu, że znajdował się w pobliżu Bramy Fert albo Enfert, innymi słowy, Bramy Piekielnej. Poza tym szynek ten położony był na lewym brzegu Sekwany bardzo blisko wieży Nesle.

Być może Buridan miał jeszcze inne jakieś powody, aby cały wieczór spędzić w tym, a nie w innym lokalu w towarzystwie króla Palestry i cesarza Galilei.

Po zgaszeniu świateł, pożegnał ich i jedynie w towarzystwie Bigorne’a zszedł na wybrzeże i usiadł na dylach, które miały posłużyć do naprawy mostu.

Lancelot Bigorne przez kilka minut stał, potem widząc, że pan jego zapomniał zaproponować mu, by zajął miejsce, rozsiadł się przy nim i zagaił rozmowę:

— Niech się pan wyrzeknie swego szalonego przedsięwzięcia. To cud, że nie zasztyletowały nas do tej pory zbiry Marigny’ego, że nie zginęliśmy z ręki akolitów hrabiego de Valois, którego, oby niebo odwołało z tego świata i oby piekło przyjęło w swe objęcia...

— Amen! — odpowiedział Buridan.

— Lecz jeżeli chce pan jeszcze wdać się w dzisiejszą awanturę...

— Lancelocie, czy dobrze zrozumiałeś wszystko, co ci poleciłem? — przerwał mu Buridan.

— Ano niby! Na świętego Bobolego i Barnabę, którzy darzą mnie swą życzliwością, chcę być powieszony za nogi między hrabią Valois a imć panem de Marignym.

— Jak Chrystus pomiędzy dwoma łotrami?

— Tak, panie, chcę zawisnąć na stryczku w ten niepolityczny sposób.

— Lancelocie, powiem ci wielką nowinę!

— Jeśli to dobra nowina, powiedz mi ją. Jeśli zaś zła, nie mów.

— A oto ona: nie mam już żadnych pieniędzy.

— Oooo! — westchnął przeciągle, podnosząc się z miejsca.

Potem jednak usiadł znowu.

— No i co ty na to? — zapytał Buridan.

— To dobra nowina, dobra, a jakże...

— Jednak, mój Lancelocie, jeżeli ujrzę jutro słońce na niebie, będziemy musieli się rozstać. Ja bowiem potrafię znosić pragnienie, lecz ciebie nie mogę zmuszać do takich tortur.

— Będę pił wodę!

— Jesteś wierny, Bigorne, to dobrze. A jeśli będziemy zmuszeni również pościć?

— Będę pościł. Nauczę pana życia. Jest pan młody i dzielny. Z jednej małej wyprawki raz w tygodniu może pan zapewnić przez miesiąc egzystencję i sobie, i mnie.

— Sądzisz, że byłby ze mnie dobry rzezimieszek?

— Jestem tego pewien. Byłby pan takim wypróżniaczem sakiewek, jakiego Paryż jeszcze nie widział, a jest on przecież królestwem złodziei. A więc pozwolisz mi, panie, udzielić sobie paru lekcji?

— Innym razem, mój Lancelocie. Teraz już na nas czas.

Lancelot Bigorne westchnął żałościwie. Buridan ruszył brzegiem rzeki. Bigorne szedł za nim, kryjąc się za drzewami. Kilkanaście kroków od wieży Nesle Buridan natknął się na jakąś ciemną, nieruchomą postać. Poznał ją natychmiast. Była to Mabel.

— Tym razem przyszedłeś — stwierdziła dziwnie ironicznym głosem.

— Prowadź — rzekł Buridan — śpieszy mi się oddać cześć pięknej nieznajomej, która jak powiadasz, jest tak potężna.

Mabel nic nie odpowiedziała. Buridanowi zdawało się, że cała drży i że stara się zajrzeć mu w twarz. Ujrzał jej oczy błyszczące w nocnym mroku i ogarnęło go nagle dziwne wzruszenie.

— Na co czekasz? — zapytał ją brutalnie, aby otrząsnąć się z uczucia tajemnej grozy.

— Jak to? — sarknęła. — Nie masz ani sztyletu, ani szpady?

— Czy trzeba być uzbrojonym, gdy się przychodzi do wieży Nesle? — spytał Buridan, wybuchając nerwowym śmiechem.

Znowu nie było odpowiedzi. Słyszał tylko jej przyspieszony oddech i jakieś niezrozumiałe słowa.

— Powiedziałeś mi — rzekła nagle — że nie masz ani Ojca, ani matki.

— To prawda — odpowiedział Buridan smutnym głosem. — Nie wiem, czy żyją, czy umarli i na pewno nigdy się nie dowiem. Lecz dosyć już tego, moja kobieto. Prowadź dalej!

— Ma na imię Janek... — szepnęła Mabel.

Buridan zauważył, że kobieta łałamuje ręce i że jeszcze chciwiej przygląda mu się w ciemności. Uczyniła kilka kroków... szła bardzo niepewnie. Potem nagle chwyciła młodzieńca za rękę i zduszonym szeptem zapytała:

— Powiedziałeś, że jesteś z... skąd? Powtórz, błagam cię!

— Jan Buridan, urodzony w Bethunii w Artois z nieznanymi rodzicami, tak jestem zapisany we wszystkich księgach Sorbony. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. No, dalej, chodźmy już!

Znowu uszła kilka kroków i znowu zatrzymała się. Stali tuż pod wieżą Nesle. Drzwi były uchylone. W górze migotało jakieś smętne, złowrogie nieomal światelko.

— Nie wchodź do wieży Nesle! — wyszeptwała nagle stłumionym głosem. — Zaklinam cię, jeśli ci życie miłe! Nie wchodź tam! Uciekaj, moje dziecko! Uciekaj! Ani w dzień, ani w nocy nie podchodź nigdy do wieży Nesle! Och! Co czynisz!? Co czynisz!? Co on czyni!? Wszedł!

Mabel padła na kolana, ukryła twarz w dłoniach i szepnęła:

— Czy zawsze będzie coś nieprzewidzianego, jakaś okropna myśl, która stanie pomiędzy moją zemstą a mną! Tamtego wieczoru wszystko było gotowe! Trzymałam ich oboje w ręku! Mogłam powiedzieć tylko jedno słówko królowi. Małgorzata i Karol de Valois... Mordercy mego dziecka byliby zgubieni! No i nieprzewidziana okoliczność pomieszała mi szyki. Małgorzata wróciła do Luwru właśnie w chwili, kiedy chciałam pójść do króla! Dziś wieczorem znowu wszystko jest gotowe! Muszę tylko pójść do Luwru, wziąć Ludwika za rękę i przyprowadzić go tutaj, jak złowróbnym aniołem śmierci! Tym razem straszna myśl stoi mi na przeszkodzie... — na chwilę przerwała, a potem zaczęła mówić do siebie. — Co mi przeszkadza? Czemu się tak stało, że widok tego młodzieńca poruszył mnie go głębi? Jeżeli została mu jakaś szansa ratunku, czemu się tak dzieje, że życzę mu tej szansy? Czy dlatego, że ma na imię Jan? Czy dlatego, że nie ma ojca ani matki? Niech będzie przeklęte współczucie! Czy ktoś miał kiedyś litość nade mną i nad moim synem?

Buridan, jak ongiś Filip i Gautier d'Aulnayowie, ujrzał drzwi zamykające się za sobą. Ruszył za mężczyzną, który skinął na niego. Wszedł do sieni, a potem na kręcone schody. Wreszcie został wprowadzony do woniejącego drogimi pachnidłami pokoju, ciepłego, oświetlonego łagodnym światłem.

Na ścianach zawieszono obrazy wyobrażały: Cnotę, Piękność i inne jeszcze alegoryczne żeńskie postacie, wszystkie w pozach niewymownie rozleniwionych.

Buridan spoglądał z uśmiechem nie pozbawionym zachwytu na wyobrażenie piękności, udającej się do łóżka, kiedy nagle usłyszał za plecami skrzypnięcie otwieranych drzwi. Odwrócił się i bystrym spojrzeniem ogarnął sąsiednią salę urządzoną z niezwykłym przepychem. Zamaskowana kobieta podeszła do niego. Owinięta była w płaszcz gronostajowy, pod którym mógłby domyślać się nagości jej ciała, gdyby nie myślał wyłącznie o strasznym pojedynku, który miał za chwilę się rozegrać.

Kobieta z maską na twarzy zwróciła się do młodzieńca czułym głosem:

— Bądź zdrow, panie Janie Buridan.

— Wasza królewska mość — rzekł, składając jej niski ukłon — jestem bardzo szczęśliwy, że udało mi się na Montfaucon uchronić przed niebezpieczeństwem twojego życia, tak drogie dla króla, twego małżonka... Małgorzata zatrzymała się zdjęta przerażeniem i zdumieniem. — Jestem przekonany, że wasza królewska mość uczyniła mi ten nieskończony wielki zaszczyt, zapraszając mnie tu, aby mi osobiście podziękować. Lecz po co te podziękowania? Poświęcać się dla swego króla lub królowej, nawet z narażeniem życia, czyż nie jest obowiązkiem każdego z wiernych poddanych?

Małgorzata wydała z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk. Gwałtownym ruchem zdarła z twarzy maskę, ukazując płonące gniewem oblicze. Wyraz jej twarzy wstrząsnął młodzieńcem. Po chwili z królewską wyniosłością zwróciła się do Buridana:

— Ponieważ wiesz, kim jestem, musisz wiedzieć, że królowa nie dziękuje swoim poddanym.

Buridan przyklęknął.

Ciągnęła dalej ostro:

— Kto cię uprzedził? Kto ci powiedział, że zastaniesz tu królową? Mów!

— Lancelot Bigorne — rzekł Buridan, podnosząc się z klęczek.

— Lancelot Bigorne? — spytała Małgorzata. — Gdzieś słyszałam już to imię. Kim jest ten człowiek? Skąd wie?

Królowa długo milczała, zadumana, marszcząc brwi. Wreszcie jednak twarz jej wypogodziła się i nabrała owego blasku. To, kim był Bigorne i skąd wiedział o niej, zeszło na drugi plan. W tej chwili myślała tylko o Buridanie. Buridan... to była miłość... Odłożyła do jutra nienawiść, zemstę, śmierć. Dzisiejszej nocy pragnęła tylko miłości... Chmury, które okryły jej czoło, rozproszyły się. Zniknęła królowa, zniknął majestat i powaga, pozostała jedynie kobieta, upojona miłością, zdecydowana na najszczerze jej wyznanie.

— Panie — rzekła głosem pełnym uczucia — usiądź tu, przy mnie, musimy bowiem pomówić ze sobą szczerze.

— Wybacz mi pani, przed królową muszę stać.

— Królową!? — odpowiedziała Małgorzata z dziwną słodyczą. — Tu nie ma żadnej królowej. Alboż ci nic nie wiadomo, Buridan? Alboż ci nie mówiono, że kobieta, która wzywa cię do wieży Nesle, kocha cię? Och! — westchnęła, ujmując go za rękę — już od dawna zauważyłam cię i pokochałam. Od wypadku pod Montfaucon zrozumiałam całą znikomość mego oporu... Spójrz na mnie... Powiedz mi, czy spośród kochanek, o których marzyłeś, bodaj jedna była piękniejsza ode mnie?

Mówiła głosem głuchym, a jednak harmonijnym, jak dziwny i daleki głos skrzypiec. Mówiła te słowa pełne zmysłowości i bezczelnej rozpusty tak, jakby to było rzeczą zupełnie naturalną, że królowa Francji ofiarowuje się pierwszemu lepszemu mężczyźnie. Wszystko to było tak nieoczekiwane, że Buridan czuł, jak jego serce ogarnia groza. Małgorzata drżała na całym ciele.

Tym razem istotnie przemawiała przez nią miłość. Tym razem nie była już nierządnicą, spragnioną zmysłowych rozkoszy, lecz kochanką, której serce biło miłością.

— Buridan — ciągnęła dalej — twój los wprawi ludzi w zdumienie. Oto, co ci ofiaruję: przede wszystkim miłość, to znaczy — siebie. Potem władzę. Powiedz jedno słowo, a Marigny zostanie strącony ze swego piedestału i ustąpi ci miejsca. — Podeszła do niego, pochyliła się ku niemu i mówiła dalej nieomal błagalnie: — Król to dziecko. Potrzebny jest w Luwrze ktoś, kto by rządził wszystkim. Kto wie, może w końcu włożyłbyś koronę i zaczął rządzić jako wszechpotężny pan... Pan takiej jak ja kobiety. Pan takiego jak Francja królestwa. Buridan, czy nie odważysz się na to? Rzuciłam okiem z wysokości mego tronu. Mam dobry wzrok. Szukałam mężczyzny, odpowiedniego człowieka i... znalazłam go. Wzrok mój padł na ciebie. Oto teraz wprowadzam cię na szczyty, jak ongiś szatan wprowadził Chrystusa, i powiadam: Spójrz na dół... Zaszczyty, bogactwa, bezgraniczna władza i miłość, wszystko — dla ciebie! Buridan, jaką dasz mi odpowiedź?

— Wasza królewska mość — odpowiedział Buridan pokornie, a pokora ta była podziwu godna w chwili, kiedy powinien oszaleć z dumy. — Wasza królewska mość, przybyłem tu, aby cię błagać, jak błaga się Boga, przybyłem tu, aby cię prosić o litość nade mną...

— Nie rozumiesz mnie — odparła gorąco Małgorzata. — Posłuchaj, ktoś powiedział ci, że ta, która tu czeka na ciebie, jest królową! Powiedziałabym ci to sama. Nie czekając, aż mnie o to poprosisz, zdjęłam maskę. Ta, która przemawia do ciebie w tej chwili, jest królową i kobietą. Ofiarowuje ci wszystko, co może ofiarować królowa, oraz to, co może ci dać kobieta.

Wyciągnęła do niego ramiona, a brzegi jej płaszcza się rozchyliły. Ukazała się Buridanowi zachwycająco piękna, drżąca miłością, harmonijnie zbudowana, wspaniała jak marmurowy posąg. Szepnęła:

— Buridan, czekam na twoją odpowiedź...

— Odpowiedź na słowa waszej królewskiej mości byłaby szaleństwem — rzekł Buridan z tą samą pokorą. — Przyszedłem tu, wiedząc, że zastanę moją królową... — Padł na kolana... — Przyszedłem, aby prosić waszą królewską mość o litość nade mną... Jedno twoje słowo może wrócić mi życie i stracone szczęście.

— A to słowo? — warknęła Małgorzata, marszcząc brwi. — Czego chcesz? Co mam ci powiedzieć?

— Gdzie jest Myrtilla? — rzekł Buridan.

Małgorzata wyprostowała się. Twarz jej zbladła, wzrok błysnął wściekłością.

— Buridan — odparła schrypniętym głosem — pytanie twoje wydało wyrok na... — Uniesiona wściekłą zazdrością, chciała już powiedzieć: „na moją córkę!”, lecz zakończyła: — Wyrok śmierci na tę dziewczynę!

— Nie! Wasza królewska mość! — rzekł Buridan, również prostując się dumnie.

— Powiadasz nie?

— Wiem, że nie odważysz się uczynić tego! Wybacz mi, pani! Przed chwilą miażdżyłaś mnie twą łaskawością. Teraz grozisz mi, a więc staję dumnie do walki! Pogróżka za pogróżkę! Ja kocham tę dziewczynę! W niej złożyłem całą nadzieję mego życia! Zanim ją tkniesz bodaj palcem, sama zginiesz!

Małgorzata zgrzytnęła zębami. Jej ponure spojrzenie wybiegło w stronę, dzwonu, którego dźwiękami wzywała przyczajonych w ukryciu zbirów. Być może jednak w strasznej walce, która w niej wrzała w tej chwili, uczucie wzięło górę.

— Buridan — odpowiedziała, a głos jej, usta, zaciśnięte dłonie drżały nerwowo. Buridan, nie zmuszaj mnie do nieodwołalnych czynów. Dziewczyna ta nie może

należę do ciebie. Gdybyś wiedział... Może nawet dowiesz się kiedyś, wtedy ulitujesz się również nad moim cierpieniem... Jeszcze czas...

— Tak, czas się namyślić, abym mógł wyjść stąd z życiem, abym nie był zaszyty w worku i żywcem wrzucony do Sekwany, nieprawdaż, wasza królewska mość?

Słowa te unaocznily jej, że Buridan zna wszystkie tajemnice wieży Nesle. Małgorzata, pieniąc się z gniewu, ryknęła jak drapieżne zwierzę, gotując się do skoku. Przyskoczyła do dzwonu chwyciła młotek i chciała nim uderzyć w brązowy gong, lecz ręka Buridana powstrzymała ją. Mężczyzna bladej jak śmierć rzekł drgającym głosem:

— Pani, wiedz o tym, że za godzinę przyjdzie tu król!

Małgorzata wyprostowała się zdjeta bezgraniczną rozpaczą. Twarz jej, tchnąca jeszcze przed chwilą gwałtowną miłością, nabrała wyrazu strasznej nienawiści.

— Chełpisz się tylko, przeklęty — zacharowała.

— Przysięgam na głowę Myrtili, która jest mi najdroższa na świecie, że jeśli nie wyjdę stąd żywy, wiedząc wszystko, czego chciałem się dowiedzieć, król będzie tu...

— Za kwadrans mogę być w Luwrze! — ryknęła Małgorzata. — A ty! Ty, nędzniku, umrzesz! Do mnie! — wrzasnęła.

Otworzyły się drzwi. W progu stanął Stragildo ze szpadą w ręku, za nim wpadło dwunastu zamaskowanych mężczyzn.

— Małgorzato — zawołał Buridan donośnym głosem — zginiesz również. Nie możesz stąd wyjść. Kazałem zamknąć drzwi wieży od zewnątrz!

Jednocześnie rzucił się na Stragilda i ugryzł go w rękę. Zbir królowej ryknął z bólu i upuścił na ziemię swą szpadę. Buridan porwał ją, jednym susem znalazł się za dużym stołem, raniąc śmiertelnie któregoś z napastników. Wszystko to nie trwało nawet dwóch sekund. Młodzieniec zawołał:

— Małgorzato, jeżeli zginę, nie uda ci się ratować ucieczką! Drzwi bowiem nie otworzą się, przed przybyciem króla!

Drugi zbir, ranny w szyję, cofnął się i legł u stóp królowej, drżący z wściekłości i przerażenia. Podobna była do osaczonej tygrysicy.

— Precz, psy! — ryknęła.

Cofnęli się w nieładzie i zniknęli, unosząc obu rannych, a Buridan opuścił podniesioną groźnie szpadę Stragilda. W chwilę później do pokoju wpadł przerażony Stragildo. Wyjąkał:

— Pani, ten łotr powiedział prawdę! Nie można otworzyć drzwi!

— Kto ci pozwolił mówić, kiedy cię nie pytają? — warknęła królowa. — Precz stąd, psie!

Stragildo, kurcząc się rzeczywiście jak pies, wyśliznął się z pokoju. Uśmiech, który błędził jednak na jego ustach, był jeszcze bardziej szydery niż zazwyczaj.

Małgorzata milczała przez chwilę. Starła się uspokoić.

— Zwyciężyłeś mnie. Strzeż się jednak mego odwetu.

Buridan odrzucił szpadę Stragilda. Podeszedł do królowej i rzekł:

— Wiem, że wystarczy skinienie twego palca, aby wydać mnie na męki.

— Mów — rzekła ostro królowa.

— Przedtem racz, wasza królewska mość, wyjść wraz ze mną na platformę tej wieży. Spójrz w okna. Wszystkie są dobrze zakratowane. Trzeba by co najmniej dwóch godzin pracy bardzo zręcznych ludzi, uzbrojonych w narzędzia, aby otworzyć przejście. Wierz mi, pani, że lepiej będzie wyjść drzwiami... gdy każę je otworzyć.

— Chodź — rzekła Małgorzata.

Poszła na górę schodami, którymi wyniesiono Filipa i Gautiera na platformę, skąd zostali wrzuceni do Sekwany.

Buridan szedł za nią po pustych schodach.

W wieży rozbrzmiewającej przed chwilą okrzykami, był teraz spokój, ponura cisza przed burzą.

Stanąwszy na platformie, Buridan wychylił się, by spojrzeć w dół. Małgorzata mogłaby go wtedy tylko pchnąć, a wszystko byłoby skończone.

Może miała nawet ten zamiar, uczyniła bowiem taki ruch, jakby chciała zbliżyć się do młodzieńca. Wzrok jednak utkwiała w mrocznych konturach Luwru. Trzy frontowe okna błyskały bladym światłem, jak gwiazdy na niebie okrytym chmurami. Były to okna pokoju króla. Królowa zadrżała. Skinęła ręką ruchem bezsilnej wściekłości.

— Bigorne! — zawołał Buridan.

— Jestem, panie — odpowiedział z dołu chropowatym głosem Lancelot.

— Czy dobrze zabarykadowałeś drzwi wieży?

— Czy dobrze? Na wszystkich świętych, przysięgam panu, że gdyby furty piekielne były równie dobrze zamknięte w chwili, kiedy przed nimi stanę, musiano by mnie osadzić w raju.

— Już dobrze. Czy wiesz, co masz uczynić?

— Święty Barnaba przyszedł mi z pomocą, potrzeba by co najmniej trzech godzin, aby otworzyć drzwi od wewnątrz! Co zaś do otwierania z zewnątrz, zrobię to w ciągu dziesięciu minut...

— Dobrze już! Co masz robić teraz?

— Czekać. Uczyniłbym to z radością, gdyby dotrzymał mi towarzystwa dobry dzban wina.

— Jak długo masz czekać?

— Hm! Powiedzmy kwadrans.

— A potem, potem?

— Potem? O ile nie wyjdzie pan na platformę, aby wydać mi rozkaz, pobiegnę do Luwru i...

— Dosyć! — rzekła głucho Małgorzata.

— Dosyć, Bigorne! — powtórzył Buridan.

Lancelot Bigorne zamilkł, a po chwili zaczął pogwizdywać jakiś marsz.

— Kto to jest, ten Lancelot Bigorne? — wyszeptała Małgorzata. — Gdzieś słyszałam już to imię. Kim jest ten człowiek?

— Bigorne to rybak znak Sekwany. Często oprócz ryb wyławia różne dziwne przedmioty. Bywa też, że trupy...

— Trupy! — powtórzyła Małgorzata zaciskając pięści.

— Otóż przed kilkoma dniami, o wschodzie słońca, tam gdzie rośnie duży dąb, wyciągnął na brzeg trupy dwóch moich przyjaciół: Filipa i Gautiera...

Z ust Małgorzaty wyrwał się jęk przerażenia.

— Co się stało, pani? — zapytał Buridan. — Czy ta historią z trupami tak cię wzruszyła? Jeśli tak, to zamilknę. Chciałem tylko wyjaśnić ci, kim jest Bigorne.

— Mów dalej — rzekła Małgorzata chropawym głosem.

— Otóż nieszczęśliwy Filip i jego brat byli zaszyci w worku. Do worka był prawdopodobnie przywiązany kawałek żelaza albo kamień, lecz ciężar ten odwiązał się. Pozostał tylko sznur, który zaczepił się o łańcuch łodzi i dzięki temu Bigorne wydobył wór z wody.

— Co uczynił z trupami?

— Pani, drżysz z zimna? Może będzie lepiej wrócić do pokoju.

— Nie, nie — warknęła Małgorzata. — Mów dalej.

— Dobrze. Jak wiadomo Bigorne nie jest w zbyt dobrej komitywie z prefektem Paryża. Donosząc mu więc o swoim odkryciu, mógłby zostać posądzony o udział w morderstwie. Wrzucił zatem trupy z powrotem do wody. Zachował jednak worek, do którego przypadkiem dostał się pewien przedmiot, po którym łatwo można by

rozpoznać morderców. Czy to już wszystko, co chciałaś pani wiedzieć o Lancelocie Bigornie?

— To wszystko — odpowiedziała królowa.

— A jednak, pozwól pani, że powiem o nim coś jeszcze. Oto ów Lancelot Bigorne mieszkał przed siedemnastu laty w Dijon... — Małgorzata na dźwięk tych słów się zachwiała. — Był wtedy służącym hrabiego de Valois i cieszył się wielkim zaufaniem swego pana.

— Chodźmy już stąd — szepnęła Małgorzata.

— Teraz ja powiem — nie! Przed zejściem chcę porozmawiać z Bigorneem.

Musimy też dokończyć naszą rozmowę,

— Dobrze. Chcesz wiedzieć, gdzie znajduje się dziewczyna porwana z Tempie?

— Tak, pani — odpowiedział poważnie Buridan. — Lecz pomyśl o tym, co się stanie, jeżeli udzielisz mi fałszywej informacji...

— Co takiego!?

— Jutro rano z narażeniem życia wraz z Lancelotem udam się do Luwru i opowiem królowi o pani romansie z Karolem de Valois. Opowiem też o śmierci pani de Dramans, zamordowanej przez ciebie, i o tym, jak mały Janek z pani rozkazu został wrzucony do wody.

Małgorzata drżała, nie tyle z zimna, co ze strachu, na myśl, że Buridan i Bigorne znają wszystkie szczegóły tajemniczych praktyk w wieży Nesle. Po chwili się opanowała, dumnie wyprostowała i rzekła z pogardą:

— Królowa nie kłamie, mój panie. Zapamiętam to, że ośmieliłeś się wątpić w prawdę moich słów. Idź już. Za domem z filarami, w mieszkaniu, które przylega do kwadratowej wieżyczki, znajdziesz osobę, której szukasz.

Buridan, kłaniając się nisko, zawołał:

— Bigorne, schodzę już!

Przedtem jednak raz jeszcze spojrzął na królową, jakby chciał jej coś powiedzieć. Była tak blada, że zatrzęsł się i cofnął, a potem zbiegł kręconymi schodami do Lancelota.

Małgorzata wydając rozpaczliwy jęk, upadła na kamienne płyty platformy. Z rozbitej głowy popłynęła krew.

XVIII

DIABLA WIEŻYCZKA

Buridan, schodząc kręconymi schodami, spodziewał się napaści nasłanych zbirów. Czy Małgorzata istotnie przestraszyła się jego pogroźek i pozwoliła mu bezkarnie odejść, czy też zbyt późno odzyskała przytomność, dosyć że stanął na parterze bez żadnych przeszkód. Słyszał jedynie żalobną skargę wiatru, pogwizdującego w zakamarkach wieży. A stanąwszy w oświetlonej sali, tworzącej jak gdyby przedsionek, uderzył pięściami w drzwi,

— Gotowe! — odezwał się Bigorne.

Buridan odsunął wewnętrzne zasuwę i po chwili znalazł się na dworze. Chwiał się na nogach. Była to reakcja po gwałtownych wzruszeniach, których doznał podczas pobytu w wieży.

Na wezwanie Bigorne'a czterech zamaskowanych mężczyzn, ukrytych nad brzegiem rzeki pomiędzy gęsto rosnącymi wierzbami, nadbiegło i otoczyło Buridana, odzyskującego już swą energię. Ruchem ręki powstrzymał tysiące pytań, cisnących się na usta jego towarzyszom,

— Prędko — zawołał — za kilka minut może już być za późno... Łódź.

— Jest tam, przywiązana do słupa — rzekł jeden z zamaskowanych mężczyzn,

— Wsiadajmy więc.

Pośpieszyli na brzeg i wsiedli do łodzi.

— Bigorne? Gdzie jest Bigorne? — zapytał Buridan, gdy sznur został już odwiązany i pozostawało tylko odepchnąć łódź od brzegu.

Bigorne'a nie było.

— Jedźmy — rzekł jeden z mężczyzn. — Kto wie, czy z wierzchołka wieży nie posypie się na nas grad strzał!

— Bigorne! — zawołał Buridan. — Jeszcze chwilę! Nie opuszczę mego poczciwego sługi. Bigorne!

— Jestem! — odpowiedział ochrypniętym głosem Lancelot, nadbiegając i wskakując do łodzi.

Kolana pod nim ugięły się, padł na ławkę. Tymczasem łódź, poderwana silnymi uderzeniami wiosła, odbiła gwałtownie od brzegu.

— Tam do licha! — mruknął jeden z wiosłarzy. — Lancelotowi niedobrze!

— Jest po czym! — odpowiedział Bigorne, szcękając zębami. — Jest po czym, panie Wilhelmie Wichura.

— Do diabła! — rzekł drugi wiosłarz — może udławiłeś się czym, Lancelocie?

— Nie, panie Gautierze! Widziałem widmo, po prostu widmo... Nie wiedziałem, że widok zjawy z tamtego świata może uczynić na człowieku żyjącym tak silne wrażenie! Jeszcze włosy stoją mi dęba!

W łodzi panowała cisza. Widok przerażonego Lancelota wstrząsnął wszystkimi. Riquet Haudryot — jeden z tych, którzy nie wiosłowali — przeżegnał się. Gautier d'Aulnay zaczął szeptać modlitwę. Filip wypytywał niespokojnie Buridana o to, co się zdarzyło w wieży Nesle...

A co zobaczył Lancelot Bigorne? W chwili gdy kończył rozbierać zaporę z belek, którymi zabarykadował drzwi wieży, gdy już Buridan opuścił jej próg, jakiś cień wynurzył się z ciemności.

Była to kobieta. Spokojnym krokiem weszła do parterowej sali. Czy Bigorne zauważył jej twarz? Czy tylko ciekawość popchnęła go za nią? Dlaczego widok jej

zrobił na nim tak silne wrażenie. Lancelot Bigorne poszedł za nią i dogonił ją, gdy stawiała nogę na pierwszym stopniu schodów. Pochwycił ją gwałtownie za rękę.

Kobieta była w czarnej masce.

— Na szatana! — warknął Lancelot. — Czy dowiem się, kim jesteś!?

— Chcesz wiedzieć, kim jestem? — odpowiedziała kobieta, a dźwięk jej głosu przeraził śmiertelnie Bigorne'a.

Kobieta pewnym krokiem zbliżyła się do zawieszonej na ścianie latarni, która oświetliła jej twarz. Wyrzekła:

— Przeklęty sługo przeklętego pana, chcesz wiedzieć, kim jestem? A więc patrz, Lancelocie Bigorne.

Z tymi słowami zdjęła maskę.

Przez moment Bigorne przyglądał się jej ze zdumieniem. Potem nagle opadły go wspomnienia. Zbladł z przerażenia, zachwiał się na nogach, a potem uciekł, powtarzając do siebie:

— Matka małego Janka! Pani Anna de Dramans... zmarła z Dijon!

Ową kobietą była zaufana Małgorzaty Burgundzkiej, imieniem Mabel.

Łódź przybiła do brzegu w pobliżu wielkiej wieży Luwru. Gautier przywiązał ją do jednego ze słupów, wbitych w piasek. Wszyscy z Buridanem na czele wysiedli z łodzi.

Po kilku minutach byli już na placu Greve, a wkrótce potem okrążając dom z filarami, przeszli pod arkadą, wychodzącą z jednej strony na ulicę Baranią. Nazywano ją arkadą św. Jana. O sto kroków od arkady wznosiła się stara, opuszczona wieża, stanowiąca prawdopodobnie część pierwotnych fortyfikacji Paryża. Wieża była czworokątna, posiadała dwa tylko piętra, mury jej były zrujnowane, platforma rozsypywała się w gruzy, drzwi były wywalone, a okna bez szyb. Wieża ta nosiła nazwę Diablej Wieżyczki, opowiadano bowiem, że jest nawiedzana przez złe duchy. O lewą ścianę tej wieży, nieco w głębi, opierał się domek, który był właściwie jej skrzydłem. Od strony ulicy nie miał okien, a fasadą zwrócony był do podwórza. Mur oddzielał owo podwórko od ulicy.

— To tam! — rzekł Buridan, zatrzymując się u podnóża muru.

— Pytanie tylko, czy ta dziewczka nie skłamała — rzekł Gautier.

Filip stłumił westchnienie, a Buridan zadrżał.

— Bracie — szepnął głucho Filip — nie pozwolę, aby w mej obecności obrażano królową...

Gautier wzruszył ramionami. Tymczasem Buridan wszedł na plecy Lancelota, potem wdrapał się na mur i zeskoczył na podwórze. Król Palestry i cesarz Galilei poszli jego śladem. Dwaj bracia pozostali na czatach od strony ulicy, a Bigorne, siedząc okrakiem na murze, był i gotowy do zeskoczenia albo na podwórko, albo na ulicę, zależnie od okoliczności.

— Kto tam? — zapytał nagle jakiś głos.

Jednocześnie prawe okno otworzyło się gwałtownie. Buridan ujrzał oświetloną pochodniami salę, a w niej kilku zbrojnych ludzi.

— Precz, lotry! — warknął ten sam głos. — Nie ma tu nic dla was.

Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot chcieli wdrzeć się do wnętrza. Buridan powstrzymał ich, podszedł do okna i rzekł:

— W imieniu królowej!

Mężczyzna, który rozmawiał przez okno, odsłonił głowę. Pozostali zasalutowali szpadami.

— Czego chcesz? — zapytał dowódca.

— Zabrać dziewczynę, która wam jest powierzona i zaprowadzić ją do Luwru.

Buridan dygotał, odpowiedź miała go przekonać, czy Myrtilła była w domku. Dowódzca odpowiedział:

— Dobrze. Hasło!.

— Marigny... — zawołał Buridan donośnym głosem bez chwili wahania.

Dlaczego podał takie hasło, a nie inne? Czy rozmyślnie, czy pod wrażeniem chwili? Dowódca uklonił się i dał znak swoim ludziom, aby schowali broń. Hasło istotnie brzmiało: „Marigny!” Czasem przypadek bywa bliższy prawdy niż zawile nawet rozumowanie...

— Zaraz otworzę — rzekł mężczyzna głosem pełnym szacunku. Zechciej pan chwilę zaczekać.

— Dobrze — rzekł Buridan — pośpiesz się i tak już jesteśmy spóźnieni.

W tym momencie, z górnego okna rozległ się okrzyk pełen radości i nadziei:

— Buridan!

— Myrtilła!

— Do diabła! — warknął szef posterunku. — To Jan Buridan! Do broni!

Natychmiast strażnicy wyskoczyli przez okna i stłoczyli się w podwórku słabo oświetlonym blaskiem pochodni.

Myrtilła rozpaczliwie krzyczała.

— Nie obawiaj się niczego, Myrtillo! — zawołał Buridan.

Spostrzegł jednocześnie, że jest przyciśnięty do muru, a Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot walczą każdy przeciw dwóm napastnikom. Buridan nie miał przy sobie broni! Szybko owinał swój płaszcz dookoła lewego ramienia, starając się parować nim ciosy, prawą zaś ręką usiłował pochwycić którąś ze szpad, błyskających o parę zaledwie cali od jego piersi.

— Poddaj się! — zawołał dowódca. — Albo przygwoźdźę cię do muru!

— Żegnaj, Myrtillo! — wykrzyknął Buridan, śląc ukochanej pożegnalny pocałunek.

Dowódca zaatakował go.

Nieco później przerażona Myrtilła ujrzała, że atakujący Buridana mężczyzna leży na ziemi, mamrocząc wściekle przekleństwa. Buridan zaś wpadł do domku z radosnym okrzykiem.

Szpada dowódcy nie zraniła go. W chwili gdy już miała dotknąć jego piersi, Buridan odskoczył na bok, atakujący zachwiał się na nogach i padł ogłuszony olbrzymim ciężarem, który zwałił się na niego. Lancelot Bigorne zeskoczył z muru wprost na ramiona atakującego i potoczył się wraz z nim w bok.

— Weź to! — krzyknął wierny sługa, zrywając się szybko z ziemi i podając szpadę Buridanowi. — Mówiłem, że nie należy wchodzić bez broni.

Jednocześnie wbił sztylet między łopatki dowódcy. A potem otworzył bramę i wpuścił Filipa i Gautiera.

Pozostali przy życiu strażnicy uciekli otwartą bramą, rycząc:

— Mordercy! Łotry! Straż!

Okrzyki ich przyczyniły się jedynie do ucieczki patrolu, który właśnie tamtędy przechodził.

Wilhelm i Riquet nie byli nawet zadraśnięci, Buridan miał jedynie skaleczone dłonie. W chwilę potem Myrtilła padła w ramiona ukochanego. A gdy pierwszy wybuch radości narzeczonych minął, Gautier rzucił rozkaz:

— W drogę! Musimy teraz, po pozbyciu się jej pacholców z Diablej Wieżyczki, ukryć się przed diabolicą z wieży Nesle.

Ruszyli w drogę. Gautier był na przedzie, ze szpadą w ręku. Pochód zamykał Bigorne, trzymając w dłoni obnażony sztylet. W środku szli: Filip, Wilhelm i Riquet,

eskortując Buridana prowadzącego Myrtillę. Cały ten orszak wyglądał tak groźnie, że onieśmieliłby na pewno patrol straży i zmusił do ostrożności nocnych łotrzyków.

Gdy mijali arkadę św. Jana, Buridan ujrzał jakiś cień przy lewej kolumnie. Przypuszczał jednak, że jest to jakiś łotr, i nie zwrócił na niego większej uwagi. Przybyli bez żadnych przeszkód na ulicę Froidmantel. Po drodze Myrtilla ze łzami w oczach opowiedziała narzeczonemu o wielkim nieszczęściu, jakie ich spotkało — ojciec ani myśleć nie chciał o oddaniu jej Buridanowi.

Młodzieniec nie przejął się tą wieścią zbyt, miał bowiem nadzieję, że uda mu się jeszcze przekonać czcigodnego kupca. Dla Myrtilli jednak nienawiść jej ojca do wybranego przez nią człowieka była wielkim nieszczęściem, bodajże większym niż oskarżenie o czary. Buridanowi ledwo udało się przekonać ją, że łatwiej im przyjdzie pozyskać życzliwość ojca niż oficjała, któremu polecono wytoczyć jej proces. „Gdy pan Lescot dowie się, że ja ocaliłem jej córkę — dodał w duchu młodzieniec — musiałby mieć serce z żelaza, aby nie dać mi najwyższej i przy tym zupełnie zasłużonej nagrody”.

Myrtilla w starym domu d’Aulnayów opowiedziała szczegóły swego aresztowania i to, jak została wtrącona do Tempie. Potem opowiedziała również o wizycie nieznanym pięknej pani o bardzo litościwym sercu i o tym, jak po tej wizycie w nocy została przewieziona do domku, w którym odnaleźli ją przyjaciele. Mieszkała tam pod opieką starszej już kobiety, wszelka zaś ucieczka byłaby niemożliwa, w domku bowiem pilnował ją oddział zbrojnej straży.

Wszystko wskazywało, że nocnym gościem w Tempie była królowa. Również nie podlegało wątpliwości, że aresztowanie Myrtilli było dziełem królowej. Musiała potem rozmyśleć się i postanowiła trzymać dziewczynę pod ręką, toteż przeniosła ją do Diablej Wieżyczki. Skąd jednak ta niezrozumiała zupełnie nienawiść Małgorzaty do Myrtilli? Tu zaczynała się tajemnica!

Buridan był bliski prawdy, jakkolwiek niezupełnie. Rozmyślał: „Jeśli to prawda, że »krwawa królowa« raczyła zwrócić na mnie uwagę już dawno, musiała też wiedzieć, że bywałem często w Różanej Zagrodzie. Stąd chęć zgubienia biednej, bezbronnej dziewczyny, stąd oskarżenie jej o czary i cała reszta”.

Teraz powstał nowy problem. Należało znaleźć dla Myrtilli bezpieczne schronienie. Nie wiedziała zupełnie, gdzie może mieszkać pan Klaudiusz Lescot ani Gilonna, która też zniknęła.

— Na pewno wtrącono ją do więzienia — mówiła Myrtilla. Niepodobna było pozostawić dziewczynę w pałacu d’Aulnayów. Wilhelm Wichura był żonaty i chętnie ofiarowałby jej swoje mieszkanie, lecz miał kłótniawą i zazdrosną żonę, która potrafiła go nawet czasem obić.

Riquet Haudryot, był kawalerem, nie miał żadnego stałego mieszkania. Należało jednak coś obmyśleć jeszcze przed nastaniem dnia. Członkowie „rady wojennej” spoglądali po sobie z niepokojem.

Buridan zastanawiał się, czy nie można by powierzyć opieki nad Myrtillą pani Clopinel, jego gospodyni... Nagle Lancelot wsunął głowę do pokoju przez uchylone drzwi:

— Mam mieszkanie dla panienki — rzekł.

— Wejdz! — wykrzyknął uradowany Buridan.

— A nim zaczniesz mówić, wychył sobie kielich wina — dodał Gautier.

Lancelot Bigorne wypił, otarł usta dłonią i powiedział:

— A więc jest to tak: Pewnego wieczoru, a byłem wtedy nicponiem żyjącym na cudzy rachunek, to znaczy na rachunek mieszczan, wałęsałem się wraz z kilkoma towarzyszami w pobliżu placu Greve... Nagle ujrzałem migotliwe światło latarki. Latarkę tę trzymała w ręku kobieta, gruba baba, towarzysząca swemu mężowi.

Naradziliśmy się spojrzeniem. Odmówiłem krótką modlitwę do świętego Barnaby, dziękując mu z góry za dobry łup. Obiecałem, jak zwykle w duchu, oddać połowę łupów do kościoła na rachunek duszyczek czyścowych, jestem bowiem dobrym chrześcijaninem. Bogu dzięki.

— Pij — przerwał mu Gautier — pij albo zginiesz marnie!

— Jakimże świetnym byłby on palestrantem!

— Streszczaj się, pocziwy mój Lancelocie!

— Streszczam się! — ciągnął dalej Bigorne. — Porozumieliśmy się spojrzeniem, moi towarzysze zaatakowali mężczyznę, a ja przypuściłem szturm do baby. Kobieta zemdląła. Mężczyzna padł na kolana. Zaczęliśmy przeszukiwać mu kieszenie... nic! Wściekli towarzysze moi postanowili zabrać babę jako zakładniczkę. Biedny małżonek zaczął lać łzy. Wtedy baba nagle odzyskała przytomność i zaczęła drzeć się wniebogłose. Tak głośno się darła, że ja, który mam czułe serce, zacząłem prosić moich towarzyszy, aby pozostawili babę w spokoju. Zakłęli brzydko. Pogoniłem ich do wszystkich diabłów, potem uspokoilem kobietę i jej męża fujarę i odprowadziłem aż do bramy Fert, aby ich uchronić przed napaścią takich samych nocnych obywateli księżycy, jakim sam wtedy byłem.

— Bigorne, jesteś pocziwym człowiekiem! — rzekł Gautier.

— To właśnie przeszkodziło mi zrobić majątek, mości kawalerze! Gdy już stanęliśmy pod bramą Fert, kobieta zaczęła mnie ścisnąć i całować. Zapewniała, zalewając się łzami, że uratowałem jej cnotę od pohańbienia, co znowu było wierutnym kłamstwem, mogę wam bowiem przysiąc na wszelkie świętości, moi panowie, że do cnoty jej nikt nie miał żadnej pretensji. Tymczasem jej małżonek też zaczął obcałowywać mnie, dziękując za ocalenie życia. Jednym słowem, obcałowywany przez oboje, i zgłupiałem zupełnie i chory ze wzruszenia zacząłem w końcu sam ryczeć jak osioł.

Wszyscy wybuchnęli donośnym śmiechem, który zbudził uśpione w pałacu echa wesela i radości. Jeden tylko Filip był ciągle zamyślony i milczący.

Bigorne przyłożył rękę do serca, wychylił jeszcze jedną szklaneczkę wina i mówił dalej:

— Gdy się już napłakaliśmy do syta, gdy się wyściskaliśmy, mężczyzna rzekł do mnie: „Jestem Marcin, a oto moja żona, Marta. Jestem ogrodnikiem opactwa i Saint-Germain-des-Pres, moja żona pierze bieliznę jego wielbności Klemensowi Mahautowi, opatowi i przeorowi z bożej łaski. Gdy okrążysz opactwo, ujrzysz od strony Pre-aux-Clercs, tuż pod okalającym go murem, mały, skromny domek w pobliżu ogrodowej furtki. To mój dom. Będzie on twoim, ile razy zechcesz z niego skorzystać”.

— Dobry uczynek zawsze bywa nagrodzony — stwierdził sentencjonalnie Riquet Haudryot.

— Oto co mi powiedział zacny ogrodnik Marcin. Moi panowie, dowiedzcie się, że już przynajmniej ze dwadzieścia razy miałem sposobność proszenia o gościnność, pocziwego Marcina i jego żonę, a zawsze byłem przez nich przyjęty z otwartymi rękami. Mieszkanko mają czyste, wesole, widne. Jest tam pokoik z oknami wychodzącymi na ogrody przeora. Może się panience spodobać. Domek jest pod opieką opactwa, bezpośrednio zaś przeora, i nie wiem, czy sam król odważyłby się najść taki zakątek...

— Lancelocie, nie brak ci rozumu! — rzekł Buridan.

— Ba! — odpowiedział Bigorne. — Jestem z okolic Bethunii w Artois. Otóż Artois dorównywał Flandrii pod względem rozumu, Normandii pod względem chytrłości, a Pikardii pod względem sprytu... Wyobraź teraz sobie, że jestem w jednej trzeciej

Flamandczykiem, w drugiej trzeciej Pikardyjczykiem i w ostatniej trzeciej Normandczykiem, a będziesz miał trzech służących w jednej osobie.

— Jak to? Jesteś z Bethunii?

— Jak pan... jest to dla mnie wielkim zaszczytem! Zapewniam pana!

Całe zgromadzenie powinszowało Lancelotowi świetnego pomysłu, po czym po odbyciu drugiej „rady wojennej” postanowiono odprowadzić Myrtilę, jak tylko otworzą bramy miejskie, do poczciwego ogrodnika przy opactwie Saint-Germain-des-Pres.

XIX

ANNA DE DRAMANS

Poznawszy Lancelota przy mdłym świetle latarki, wiszącej na ścianie korytarza w wieży Nesle, Mabel doznała gwałtownego wstrząsu. Lancelot, o którym sądziła, że nie żyje, bo znikł już tak dawno! Lancelot Bigorne, który porwał jej małego synka, Janka, odebrał go jej, aby go potem wrzucić do rzeki! Lancelot był jedną z trzech istot, które nienawidziła z całej duszy. Pozostałe dwie to Małgorzata Burgundzka i Karol de Valois. Tamtych nienawidziła inaczej, ostrzej, Lancelot był jedynie ich służącym narzędziem! O zemście nad Małgorzatą i Karolem de Valois marzyła, szukała jakiegoś wyrafinowanego sposobu. Powoli, lecz wytrwale wiodła ich do przepaści, w której musieli... na pewno musieli zginąć! Zabicie obojga byłoby zbyt małą karą za ich wobec niej winy.

Chciała widzieć ich cierpiących. Chciała, aby jeszcze za życia byli potępieni, nawet gdyby ją samą czekało za to potępienie wieczne, jak się do tego przyznawała przed swoim spowiednikiem, Klemensem Mahautem, opatem klasztoru Saint-Germain-des-Pres, który... lecz o tym potem...

Poznawszy Bigorne'a, zaczęła życzyć mu śmierci!

— Głupia! Jakaż jestem głupia — szeptała, wspinając się po stromych schodach na wyższe piętro. — Przecież to straszna głupota z mej strony, że dałam się poznać temu nędznikowi! Będzie miał się teraz na baczości! Nic nie szkodzi... umrze! Małgorzata zabije go... — dodała z okrutnym uśmiechem. — Sprawiedliwość boska jest nierychliwa i drogi jej są bardzo kręte, lecz kiedy kogoś dosięga, jest jak piorun, który spada z nieba niespodziewanie i nieuchronnie.

Gdy dotarła na piętro, na którym trzy siostry oddawały się zawsze swym orgiom, ujrzała Małgorzatę schodzącą z platformy.

— Ten człowiek? Buridan? — zapytała królowa dziwnie spokojnym głosem jak na to, co przed chwilą zaszło.

— Buridan jest niczym, moja królowo — odparła Mabel, wzruszając ramionami. — Zgaduję, co się stało. Nagłe oddalenie się tego wariata każe mi przypuszczać, że narażona byłaś, pani, na jakieś straszliwe obelgi...

Małgorzata była ciągle spokojna. Ze spokoju tego Mabel mogła wnosić, że cierpiała więcej niżby się do tego przyznać chciała, więcej niż kiedykolwiek. Uśmiechnęła się. Przez kilka chwil przyglądała się tej nagle postarzałej — jak się wydawało — twarzy.

— Gdy tego zechcesz — dodała Mabel — odpłacisz mu cierpieniem za cierpienie. Niegodna ciebie jest zwykła zemsta — powiedziała pochylając się przed królową jak demon zła. — Każ go pochwyć. Każ go wrzucić do celi. W tej właśnie celi radością i zemstą twoją będzie chwila, gdy ujrzysz go, czółgającego się u twych nóg, wyjącego z

miłości i umierającego w cierpieniach jeszcze gorszych niż łamanie kołem. Tak się stanie, zobaczysz, moja królowo, zobaczysz Buridana umierającego z niezaspokojonych żądz, dokonałam bowiem wielkiego dzieła, mam już eliksir miłości! — Królowa zgrzytnęła zębami ze złości. — Nie martw się teraz o Buridana — mówiła dalej Mabel. — Innego należy się obawiać!

— Innego?

— Tego, który zamknął drzwi... To on, królowo moja, jest chodzącą zbrodnią.

— Och! — szepnęła królowa, zatapiając spojrzenie w Mabel. — Ty znasz Lancelota? Kiedy i jak go poznałaś? Mów!

— Tak, znam go! Znałam go na moje nieszczęście! Przez niego o mało nie umarłam z rozpaczy. Kiedy? Przed trzema laty... Widzisz więc, moja królowo, że to już dawno temu... Gdzie go poznałam? Tu, w Paryżu... Małgorzato, oddaj mi tego człowieka, a ja oddam ci Buridana!

— Dobrze, będziesz go miała! Sama wyznaczysz mu karę. Każ oddać go psom na pożarcie, jeśli chcesz. Teraz jednak posłuchaj mnie. Buridan udał się do Diablej Wieżyczki. Tam kazałam odprowadzić pewną młodą dziewczynę, którą on się interesuje — szepnęła Małgorzata z głębokim westchnieniem. — Buridan chce mi ją porwać, rozumiesz — mówiła dalej królowa. — Stragildo musi niezwłocznie...

— Nie, nie — przerwała jej Mabel drżąc na całym ciele. — Nie należy wtajemniczać go w tę sprawę. Nie należy go w to wtajemniczać, powtarzam. Zaufaj mi! Ja sama tam pójdę.

— Będziesz mogła to uczynić?

— Zaufaj mi, powtarzam. Odejdź, moja królowo, wracaj spokojnie do Luwru, reszta należy do mnie!

Pozornie nie spiesząc się, Mabel zaczęła schodzić ze schodów. Dygotała z radości i podniecenia:

— Myrtilla! Jej córka! Ona sama wydaje w me ręce swoją córkę! Czyżby sam Bóg zechciał wreszcie przyłożyć rękę do zemsty, jaka powinna ją dosięgnąć!

— Stragildo! — zawołała królowa.

Dozorca dzikich zwierząt ukazał się w pokoju. Stał pochylony w niskim ukłonie, szeptał:

— To nie moja wina, szlachetna królowo, jeżeli...

— Milcz! I... weź to! — rzekła królowa, wskazując mu na ciśniętą na ziemię sakiewkę.

Stragildo podniósł ją i giął się w ukłonach. Z uśmiechem pełnym szyderstwa na ustach czekał na dalsze rozkazy. Myślał: „Było tuzin podobnych sakiewek, to znaczy tuzin nocy miłości i tuzin trupów! Wkrótce będę mógł oddalić się już do jakiegoś cichego zakątka, aby również pomyśleć o miłości!”

— Stragildo — powiedziała Małgorzata — Będę w Luwrze za pół godziny. Chcę zastać tam wielkiego prefekta Paryża, hrabiego de Valois i pierwszego ministra. Idź!

Małgorzata siadła w fotelu, głowę ukryła w rękach i myślała. O czym? O zemście? Czy o miłości?

Gdy się nareszcie wyprostowała zupełnie uspokojona, oczy jej tylko, błyszczące gorączką, zdradzały dawne wzruszenie. Czyniło ją to jednak jeszcze piękniejszą. Szepnęła jedynie do siebie:

— Elixir miłości!

Potem również opuściła wieżę, minęła most, poprzedzana przez jednego sługę, który podał warcie hasło, i małą furtką wychodzącą na wybrzeże weszła do Luwru. Po powrocie do swoich pokoi usłyszała, że prefekt przybył do Luwru i mimo spóźnionej pory, żąda widzenia się z królową, zapewniając, że był przez nią wezwany.

— Ponieważ mówi, że go wezwałam, widocznie jest to prawda. Niech wejdzie rzekła królowa.

Wzięła ze stołu pergamin, opatrzony królewską pieczęcią, i zaczęła pisać.

Jan de Prócy, prefekt Paryża, który po wstąpieniu na tron Ludwika X objął stanowisko po Mikołaju Barbette, został wprowadzony do królowej i czekał cierpliwie.

Małgorzata przestała pisać, podała pergamin prefektowi, który przyklęknął, aby go przyjąć z jej rąk.

— Przeczytaj, waść! — rozkazała królowa.

Jan de Precy przebiegł oczami dokument, którego treść była następująca:

Niniejszym rozkazujemy Jaśnie Wielmożnemu Janowi de Precy, prefektowi miasta Paryża, pochwyć za wszelką cenę zbrodniarza Lancelota Bigorne'a i osadzić go w naszym więzieniu Chatelet, aż do czasu, kiedy wydamy rozkaz wytoczenia mu procesu o obrazę majestatu.

Roku pańskiego 1314

Małgorzata Burgundzka — królowa Francji

— Ile potrzebujesz czasu na znalezienie tego człowieka? — zapytała Małgorzata.

— Od dziś za trzy dni niecnota będzie już siedział w ucziwym lochu.

— Dobrze—powiedziała królowa, zabierając się ponownie do pisania. — Teraz posłuchaj. Kiedy już będziesz miał tego łotra w ręku, dasz mi o tym znać. Nie będzie procesu. — Prefekt ukłonił się. — Chcę, aby cichutko, bez skandalu człowiek ten był stracony w swej celi, w więzieniu.

— W jaki sposób, najjaśniejsza pani?

— Pewna kobieta, moja zaufana, przyjdzie i powie ci to. Jako znak, że jest przeze mnie upoważniona, odda ten oto papier.

Jan de Precy, nie zdradzając żadnego zdziwienia, przeczytał drugi pergamin. Był to bon na dwieście talarów w złocie, na okaziciela, do podjęcia w skarbcu państwa. To była cena za zamordowanie Bigorne'a. Jan de Precy oddał go królowej, ukłonił się aż do ziemi dziękując, po czym wyszedł pośpiesznie, aby wypuścić swych najlepszych agentów w pogoń za Lancelotem Bigorne'em.

Wtedy dopiero królowa przeszła do kaplicy, dokąd kazała wpuścić Enguerranda de Marigny'ego i hrabiego de Valois, gdy przybędą do Luwru. Obaj panowie czekali już od kilku minut i weszli natychmiast do kaplicy różnymi drzwiami, nie patrząc na siebie. Każdy z nich tchnął nienawiścią. Każdy z nich myślał o swoim rywalu „Zamordować go albo być przez niego zamordowanym! Żadnych półśrodków!”

Małgorzata podeszła do Marigny'ego, ujęła go za rękę, potem zbliżyła się do Valois i uczyniła to samo. Stojąc tak między dwoma nieprzejednanymi wrogami, Małgorzata zaczęła do nich mówić drżącym głosem:

— Nie łączę waszych rąk, bo może dotknięcie to wzbudziłoby w sercach taką nienawiść, która by was zabiła. Lecz w tej chwili jestem waszym łącznikiem...

Obaj potrząsnęli gwałtownie dłońmi, jakby chcąc zaprzeczyć.

— Zaczekajcie!— mówiła dalej. — Możecie się pozabijać za tydzień, kiedy nie będę już was potrzebowała, ale teraz żądam, wymagam, rozkazuję, abyście zawarli sojusz...

Powtórzyli ten sam przeczący ruch.

— Marigny — rzekła Małgorzata — jeśli nie przystaniesz na sojusz, pójdę do króla i niech się dzieje co chce, opowiem mu, że miałam z tobą córkę;

— Idź, pani! — warknął Marigny.— Wolę już szafot niż bodaj minutę przyjaźni z tym człowiekiem.

— Valois mówiła dalej Małgorzata — jeżeli nie przystaniesz na sojusz, pójdę do króla i niech się dzieje co chce, przyznam mu się do tego, że byłeś moim kochankiem, zanim on został moim mężem.

— Wolę — odparł Valois — wolę raczej łamanie kołem i szubienicę niż poniżenie się sojuszem z takim człowiekiem...

Małgorzata była blada jak śmierć. Obaj mężczyźni również. Unikali wzajemnie swojego wzroku. Wtedy królowa rzekła:

— Żądam od was sojuszu, chcę, abyśmy połączyli nasze siły i powiem wam dlaczego. Mamy, począwszy od dzisiejszej nocy, wszyscy troje jednakowego wroga. Wróg ten zabije nas wszystkich, jeśli my go nie zmiażdżymy. Śmierć to niewielka rzecz. On sprawić może, że umrzemy z rozpaczy, potępieni przez wszystkich, dotknie nas bowiem w samo serce.,,

— Niech tam — odparł Marigny. — Nie ma sojuszu!

— Niech mnie zabije—dodał Valois.— Nie ma sojuszu!

— Zaczekajcie! — mówiła dalej Małgorzata. — Nie wymieniłam wam jeszcze imienia tego człowieka.

Wrogowie zwrócili na nią płonące ogniem spojrzenia, a Małgorzata rzekła:

— To Jan Buridan!

Z tymi słowami wypuściła ze swych dłoni ręce przeciwników. Dwaj mężczyźni stanęli na wprost siebie. Zadrżeli. W sercu każdego echem odbiło się imię Buridana. Valois nienawidził go jeszcze bardziej niż Marigny'ego, Marigny wiedział, że chcąc zabić Buridana, poświęci nawet swoją nienawiść do Valois.

Obaj odruchowo, bez namysłu wyciągnęli do siebie ręce. Sojusz był zawarty. To był poważny akt, którego żadna siła nie mogła obalić przed oznaczonym terminem. Marigny i Valois w tym okresie byli dla siebie nawzajem nietykalni i winni byli sobie pomoc i opiekę.

— To dobrze — rzekła Małgorzata. — Sojusz wasz będzie trwać aż do zabicia wroga. Jeśli Buridan zginie jutro, już jutro będziecie wolni od zobowiązania. Stwierdzacie to przysięgą?

— Tak, przysięgamy! — odpowiedzieli obaj mężczyźni.

— Na co przysięgasz, Marigny?

Na głowę naszej córki, Małgorzato.

— A ty, Valois?

— Na moje dziecko, które umarło z twego rozkazu, Małgorzato, na mego syna Jana.

— Doskonale! — rzekła Małgorzata, której wspomnienie zamordowanego dziecka bynajmniej nie wzruszyło. — Naradźmy się!

Usiedli we troje posępni, straszni, podobni do potępieńców...

Mabel po opuszczeniu wieży Nesle szła z biegiem rzeki aż do miejsca, gdzie w małej zatoczce czekała na nią ukryta łódź. Na dnie tej łodzi spał mężczyzna. Mabel potrząsnęła go za ramię. Mężczyzna, nie mówiąc ani słowa, pochwycił za wiosła i łódź zaczęła mknąć po powierzchni wody jak nocny ptak, który spłoszony dotyka nieraz wody skrzydłami.

Gdy dopłynęli do przeciwległego brzegu, Mabel udała się w stronę placu Greve. Obeszła dookoła dom Rady Miejskiej i weszła na ulicę Baranią. Gdy zbliżyła się do arkady św. Jana zauważyła nagle przed sobą oddziałek pieszych zmierzający w jej stronę.

Ukryła się w niszy i czekała, podobna do kamiennych szerniałych ze starości figur z dawnych wieków.

Oddziałek pieszych minął jej kryjówkę. Mabel poznała Buridana. Poznała i Lancelota. Inni byli zamaskowani, lecz to nie miało znaczenia. Jednego była pewna — ramienia Buridana uczepiła się jakaś kobieta.

— To Myrtilła! — warknęła Mabel. — Córka Małgorzaty! Bogu dzięki, przybywam w porę.

Poszła za nimi, nie zwracając uwagi na cienie ludzkie, które poruszały się nieśmiało w głębi jeszcze ciemniejszych uliczek. Raz nawet jeden z tych cieni zbliżył się do niej i warknął:

— Pieniądze albo życie!

Mabel spojrzała na napastnika. Spojrzenie to było tak jasne i błyszczące, a twarz jej tak blada, że włóczęga przeraził się i stanął zdumiony:

— To widmo — wyjąkał żegnając się. — Czy wychodzisz z piekła?

— Nie, idę tam dopiero — odpowiedziała Mabel.

Włóczęga zniknął. Szła dalej, nie tracąc z oczu tylnej straży naszych znajomych, którzy po kilkakrotnej zmianie kierunku, dyktowanej przez ostrożność, weszli na ulicę Froidmantel.

Mabel widziała, jak przekroczyli próg starego, opuszczonego pałacyku. Wybrała sobie jakąś niszę, ukryła się w niej i postanowiła czekać. Zdziwiona i zadumana zadała sobie pytanie: „Dlaczego weszli do pałacu d’Aulnayów?”

Spośród wszystkich przypuszczeń, jakie powstały w jej głowie, ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, że Filip i Gautier mogli wydostać się z wora Stragilda. W końcu doszła do wniosku, że Buridan obrał sobie stary pałac za schronienie. Potem przestała w ogóle interesować się tym szczegółem. Przykucnęła w ciemnościach, wbijając wzrok w drzwi wejściowe pałacu i zaczęła marzyć o dawno minionych dziejach.

„Dawniej — myślała — gdy byłam bogata, szanowana, piękna i młoda, posiadałam wszystko, co może zapewnić szczęście człowiekowi. Nie byłam wtedy jeszcze Mabel, prawie czarownicą, szukającą w soku roślinnym tajemnicy życia i miłości. Nazywałam się Anna, hrabina de Dramans, i mogłam wybierać pomiędzy najszlachetniejszymi i najpiękniejszymi panami ze szlachty burgundzkiej. Przybył Karol... Wtedy, o ja nędznica, oślepił mnie tytuł hrabiego de Valois! Zostać małżonką brata królewskiego, tego, który pewnego dnia mógł sam nawet zostać królem... Wszystko to wydało mi się czymś godnym zazdrości. Pokochałam. Tak, zdawało mi się, że kocham Karola de Valois, a tymczasem kochałam w film jedynie jego tytuł! To było zbrodnią mego życia! Sprzedałam się za tytuł królowej, który majaczył przed moimi zachwyconymi oczami”. Roześmiała się cicho.

„Tytuł... również go nie zdobyłam. Gdy zrozumiałam, że jestem oszukana, zbezczeszczona, zniesławiona, gdy nie śmiałam się już nikomu pokazać na oczy, gdy musiałam kryć moją hańbę w przeklętym domu, umarłabym, gdybym nie miała mego małego Janka...”

Ciężkie westchnienie rozległo się w ciemnej niszy, w której ukryła się Mabel.

„Mój mały Janek, dla niego żyłam... W miarę tego jak rósł, mówiłam do siebie — nie mogę być małżonką, będę matką... Zdawało mi się, że otwiera się przede mną promienna przyszłość. Przeszłość rozwiła się, moja hańba zatarła... Żyłam w moim synku... To jedyny okres mego życia, kiedy żyłam naprawdę”.

Potem znowu wróciła do wspomnień. Widziała go takim, jakim był przed laty: jasnowłosey, główka w lokach, wesole, śmiejące się oczy... Twarz jej zapłonęła zachwytem i miłością macierzyńską. Nagle radosny wyraz twarzy zniknął zupełnie, tak jak promień słońca przysłonięty gradową chmurą.

Pomyślała: „Valois! Małgorzata! Dwa wrzody, które 1 zżerają me serce. Dlaczego mnie nie zabili? Że mnie uderzyła sztyletem — niech tam. Lecz dziecko, ta mała, i niewinna istotka, cóż ona jej zawiniła? Och! To było straszne, kiedy tak leżałam na

ziemi jak martwa, a jednak żyłam. Kiedy chciałam się podnieść, całą siłą woli chciałam się podnieść, a nie mogłam nawet otworzyć oczu. Kiedy słyszałam płacze i krzyki mego Janka, którego ten ohydny Bigorne niósł na śmierć. Jaka matka mogłaby znieść taki ból? Jak mogę teraz wspominać to wszystko i nie paść trupem? Jak mogłam żyć do dziś dnia?” Zgrzytnęła zębami i zdjęta rozpaczą, jęła wyrywać sobie włosy z głowy. „Żyłam, ponieważ Bóg chciał, aby Małgorzata została również matką! Ponieważ miał przyjść dzień, w którym znowu spotkam Małgorzatę Burgundzką!” Wyprostowała się. Usta jej wykrzywił straszliwy uśmiech. „Córka jej umrze! Umrze, jak umarł mój synek Jan. Myrtilła umrze, a jej matka będzie patrzyła na jej śmierć! A on! Ojciec mego syna, Karol de Valois!? Jemu przygotuję szubienicę. No, a ona? Ach! Wystarczy jedno pchnięcie palcem! Przepaść już rozwarta... Upadek będzie taki, że wieść o nim będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie, i nikt nie pojmie, dlaczego królowa taka piękna, taka mądra, taka potężna i taka kochana miała tak żaloszny koniec!

Drgnęła wreszcie, spojrzała dookoła siebie przytomniej. Powoli, powoli mrok nocy rozpraszał się.

Mabel cofnęła się nieco i wybrała sobie inny punkt obserwacyjny. Chciała upewnić się, że Buridan, Myrtilła i Lancelot Bigorne nie opuścili pałacu d'Aulnayów. Właśnie zaczęła układać plany, gdy nagle ujrzała Lancelota wychodzącego z pałacu, za nim szedł Buridan, Myrtilła, I a za nimi dwóch mężczyzn, których nie знаła.

Mabel zadrżała z przerażenia na myśl, że gdyby odeszła, nigdy może nie dowiedziałaby się, co się stało z Myrtilią. Zrozumiała bowiem, iż pałac d'Aulnayów był jedynie chwilowym schronieniem i że w tej chwili Buridan prowadził dziewczynę do wybranego schronienia, w którym miała zamieszkać.

Ulice były jeszcze puste, lecz rozwidniało się coraz szybciej, Mabel szła za nimi w dostatecznie dużej odległości, aby jej nie zauważyli. Wreszcie wszyscy minęli most. Mabel ujrzała, jak grupka pieszych zatrzymała się przy bramie Fert w chwili, gdy się ona otworzyła i gdy spuszczone most zwodzono.

Mabel wyszła również poza bramę miejską. Roztaczały się przed nią szerokie pola, jedne uprawne, inne jeszcze stojące odłogiem, w dali widniały kasztanowe i dębowe laski, a ponad wszystkim górowały wieże kościoła, z których rozlegały się w ciszy poranku dźwięki dzwonów wzywających na modlitwy.

Buridan zbliżał się właśnie do Pre-aux-Clercs. Mabel ujrzała, jak wraz ze swymi towarzyszami wszedł do białego domku, przytulonego do murów klasztornych. Po upływie pół godziny wyszli z domku pośpiesznie i udali się w stronę Paryża. Myrtilli tym razem nie było z nimi.

— Dobrze — szepnęła Mabel. — Wiem już teraz, gdzie jest córka Małgorzaty.

Sama również wróciła do Paryża. Dziwny tumult rozlegał się w dali, zupełnie jakby pomruk nadciągającej burzy.

„Co się dzieje w Paryżu?!” — pomyślała Mabel wzdrygając się.

Potrząsnęła głową, jak gdyby pytanie to było teraz zupełnie zbędne, weszła do Luwru, na którego podwórzu stłoczyły się oddziały łuczników i kuszników.

Po kilku minutach, nie zwracając uwagi na nerwowe podniecenie, weszła do komnat królowej.

XX

PRE-AUX-CLERCS

Mabel nie zwróciła wcale uwagi na gwar i ruch na ulicy. Tłum zbierał się pod gmachem uniwersytetu, ongiś raczej siedliskiem włóczęgów niż przybytkiem nauki... W tej dzielnicy, a raczej w samodzielnym mieście, jakim była Dzielnica Łacińska, zbierała się burza, jak w dniu buntu, kiedy zacy stawiali barykady przeciw wojskom królewskim albo przypuszczali szturm na opactwo Saint-Germain-des-Pres.

Około dziewiątej rano ze wszystkich szynków: „Złotego Kałamarza”, „Dzbaną Piwa”, „Diabiego Szynku”, „Gęsiej Łapy”, „Jucznego Doktora”, „Studni bez Wina”, „Osła Abiturienta”, „Chrzakającej Świni”, słowem ze wszystkich tych sławnych wówczas przybytków hulanek wychodziły bandy żakowskie w kapturach nasuniętych na czoło, ze szpadami w rękach. Bandy te darły się wniebogłose, łączyły się w jeszcze większe grupy jak wezbrane strumienie, które przepelniają brzegi. Z rozwiniętymi sztandarami szli wszyscy, kierując się do bramy Fert albo też do Bramy Powroźników.

Na Starym Mieście wystąpienia takie zapowiadano zazwyczaj publicznie.

Korporacje kancelistów sądowych i prokurentów izby rachunkowej ciągnęły z ulicy Galilejskiej. Poprzedzała je muzyka. Na czele pochodu niesiono sztandar. Tymczasem Żydzi, zamieszkujący tę dzielnicę, byli pewni, że nie obejdzie się bez rabunku i zabarykadowywali się w swych domostwach.

Już poza murami miejskimi Cesarstwo Galilejskie połączyło się z Królestwem Palesty, którego sztandar wznosił się dumnie ku niebu, pyszniąc się swymi emblematami, potwierdzonymi przez samego króla. Była to tarcza szafirowa i trzy złote kałamarze, ponad tym stempel, szyszak i misiurka, podtrzymywane przez dwa anioły.

Cesarz Galilei i król Palesty szli na czele oddziałów w otoczeniu swych kanclerzy, przybocznych, poddanych i straży. Obie kolumny zmierzały w kierunku Pre-aux-Clercs, tworząc dwie grupy, pomiędzy nimi zaś i po obu ich bokach ciągnęły liczne bandy żaków.

Poza murami znajdowały się nędzne chałupki ogrodników, którzy uprawiając swe niewielkie grunty, chcieli pozostać pod bezpośrednią opieką wież miejskich.

Za tymi domostwami widniały laski, a jeszcze dalej olbrzymie opactwo Saint-Germain-des-Pres, za nim zaś piękna zielona dolina, która długo służyła paryżanom za miejsce przechadzek. Dolina ta nosiła nazwę: Pre-aux-Clercs.

Tego dnia trzy oddziały łuczników zajęły tam pozycje. Jeden oddział pod dowództwem hrabiego de Valois występował pod sztandarem z herbami królewskimi. Dowódcą drugiego był pan de Chatillon, ten sam, który przedtem, zanim syn Filipa Pięknego został królem Francji Ludwikiem X, przyczynił się do mianowania go i do namaszczenia na króla Nawarry. Trzecim oddziałem dowodził pan Geoffroy de Malestroit. Był to dzielny kapitan, którego łączyły więzi zażyłej przyjaźni z Enguerrandem de Marignym.

Pierwszy minister znajdował się tam również. Siedział na przepięknym ogierze bojowym, sam jednak nie raczył przywdziać zbroi. Jedyne ciężka szpada wisiła przy jego boku.

Trzy oddziały łuczników rozmieszczono w następujący sposób: pierwszy równolegle do brzegów Sekwany, drugi na wprost fosy okalającej opactwo, trzeci prostopadle do tej fosy, tak że tworzyły prawie kwadrat, którego czwartą stroną była właśnie fosa opactwa.

Jednak kąty tego czworoboku nie stykały się. Duża przestrzeń dzieliła szeregi żołnierzy. Marigny posepny i zamyślony stał nieruchomo w samym środku tego

olbrzymiego czworoboku. Za nim stały oddziały Chatillona, przed sobą miał opactwo, na prawo oddział de Malestroita, a na lewo łuczników hrabiego de Valois.

Marigny chwilami podnosił wzrok na hrabiego i myślał o zawartym z nim sojuszu, którą to ugodę postanowił uszanować. Lecz mimo to nie mógł powstrzymać się od gniewu. Czasem spoglądał w dal ku Paryżowi. Wtedy myślał o córce, myślał o Buridanie, który go publicznie wyzwał, i mówił półgłosem:

— Tak, niech raczej zginie! Gdybym miał nawet umrzeć z bólu, wolę widzieć ją martwą niż w ramionach tego człowieka! A zresztą... jeśli przybędzie...

Uśmiech nienawiści dokończył tę myśl.

— Ciekawe, czy się stawi — zadawał sobie pytanie, rzucając zniecierpliwione spojrzenia w kierunku bram Paryża.

W tym samym czasie rozległy się głośne okrzyki tłumu.

— To on! — rzekł Marigny ze drżeniem.

Nie był to jednak Buridan. To ciągnęły tłumy żaków, śpiewając, klnąc, wydziwając, gwizdząc, rycząc i dmąc w swe długie trąby.

Wrzawa ta z czasem zamieniła się we wrzask. Głosy udające ryki zwierząt, miauczenie, gwizdanie ptaków, wybuchy śmiechu, przekleństwa napęły piekielnym zgiełkiem całą dolinę Pre-aux-Clercs. Królestwo Palesty i Cesarstwo Galilei, jako bardziej zdyscyplinowane, szły dwoma szeregami.

Marigny dał znak i prefekt Paryża, stojący za nim, zbliżył się do korporacji kancelistów. Zaległa względna cisza.

— Po co tu przybyliście? — zapytał groźnym głosem.

— Przybyliśmy na doroczną paradę! — odpowiedział Wilhelm Wichura.

— Będziecie mieli państwo dużo przyjemności za małe pieniądze, a właściwie za żadne! — dodał Riquet Haudryot.

— Dziś nie jest dzień parady! — wykrzyknął prefekt. — Panowie kanceliści, rozejdźcie się natychmiast albo będę zmuszony przepędzić was!

Słyszając te słowa, żacy wybuchnęli niesamowitymi wrzaskami.

— Godzi w nasze przywileje! — ryknęła Palestra.

— Do wody z prefektem! — krzyknęła Galilea.

Prefekt próbował zapanować nad sytuacją.

— W imieniu króla! W imieniu króla! — powtarzał prefekt.

— Niech go diabli!

— Na szubienicę z nicponiem!

— Wiedźmy go na Nowy Rynek!

— Janie de Precy, chcemy tam wyparzyć cię, kochasiu, w największym kotle do parzenia świń!

— Na rany Chrystusa! Szubienica na Montfaucon tęskni za tobą!

— Hurra! Hurra! Hurra!

Chór przekleństw i wyzwisk zamienił się w grzmot. Gniew żaków zaczynał przybierać niebezpieczne formy.

Już oddziały łuczników gotowały się wystąpić przeciw nim i rozpocząć szarżę, gdy nagle Wilhelm Wichura gwizdnął trzy razy przeciągle, a gwizd ten zagórował nad tumultem. Na dźwięk tego sygnału cisza zaległa dolinę. Wszystko znieruchomiało. Nawet łucznicy, powstrzymani rozkazem swych dowódców, stanęli w miejscu.

Wtedy każdy mógł zobaczyć, co Wilhelm Wichura zauważył wcześniej od innych: trzech kawalerowie objechali opactwo i zbliżali się do grupy centralnej, gdzie znajdował się Marigny. Zatrzymali się o dziesięć kroków od pierwszego ministra, a jeden z nich trzykrotnie zatrąbił w róg.

Dwaj spośród nich byli tak starannie zamaskowani, że trudno było zobaczyć ich twarze. Trzeci, ten właśnie, który zagrał na rogu, wystąpił nieco do przodu. Twarz miał odsłoniętą. To był Buridan.

Prefekt dał znak. Sierzanci i łucznicy rzucili się, aby pochwycić młodzieńca. Marigny jednak podniósł rękę. Prefekt cofnął się warcząc jak pies, kiedy mu się zabiera jego ukochaną kość. Łucznicy i sierzanci zatrzymali się.

— Przede wszystkim — rzekł Marigny z pewną wyniosłością — zobaczymy, jak on się będzie tłumaczył i przeproszał mnie. Jeżeli przeprosiny te będą uczynione w odpowiedniej formie, może zadowolimy się jedynie powieszeniem go.

Buridan na te słowa zmarszczył brwi i przygryzł wargi. Rzucił krótką odpowiedź:

— Panie de Marigny, przybywam istotnie przeprosić pana!

Pomruk niezadowolenia przeleciał po szeregach palestrantów, żaków i galilejczyków, tymczasem Marigny wzruszył ramionami z politowaniem.

— Ach! To mi dopiero śmiałek! — zawołał Valois podjeżdżając bliżej.

— No — rzekł Marigny — przeproś mnie bardzo grzecznymi słowami, a ja z kolei zobowiązuję się solennie, że nie będziesz poddawany żadnym torturom, a tylko najzwyczajniej pod słońcem zostaniesz powieszony.

— Panie — rzekł Buridan, kłaniając się tak nisko, że nieledwie dotykając głowy swego wierzchowca — kiedy przed chwilą opuszczałem Paryż, dowiedziałem się, że jesteś pan już na Pre-aux-Clercs, wtedy przez moment myślałem, że przyjąłeś pan moje wyzwanie. Przepraszam pana za takie posądzenie.

— Po co te wszystkie ceregiele z aresztowaniem tego szubrawca! — wykrzyknął prefekt.

— Panie — mówił dalej Buridan — gdy wjeżdżając już na Pre-aux-Clercs, zobaczyłem pana, istotnie powiedziałem do siebie, a jednak Marigny jest większym tchórzem niż go o to posądzałem! Za to fałszywe posądzenie bardzo pana przepraszam.

W szeregach żaków rozległy się burzliwe oklaski.

— Śmiało, Buridan!

Marigny był niewzruszenie spokojny... Jedyne oczami miotał błyskawice gniewu i znakiem rozkazał prefektowi, aby miał się na baczności.

Buridan mówił jeszcze głośniejszym głosem:

— Przychodzę w imieniu moich przyjaciół: Filipa d'Aulnaya i Gautiera d'Aulnaya... niecnie zamordowanych...

— Zamordowanych!? — prychnął Marigny, podczas gdy burza złorzeczeń podniosła się w szeregach żaków. — Znaleziono ich zwłoki w Sekwanie...

— Potwierdzam! — rozległ się donośny głos.

Lancelot Bigorne, wychodząc z szeregów palestrantów, zbliżył się do Buridana i rzekł:

— I ja sam wyciągnąłem tych panów z wody! Jak i przez kogo zostali zamordowani? Sam diabeł tylko chyba może o tym wiedzieć! Prawdą jest to, że byli zaszyty w worku...

— Lancelot Bigorne — szepnął Valois, blednąc i cofając się w stronę łuczników.

Bigorne, udając, że zauważył go dopiero teraz, odwrócił się w jego stronę, uklonił mu się i zaczął wołać bardzo poufałym tonem:

— Jak się masz, jaśnie wielmożny panie! Rozmowa o topielcach, to bardzo ciekawa rzecz, nieprawdaż?

— Zaczekaj chwilę, nicponiu! — warknął Valois przez zęby — nigdy już więcej nie będziesz mógł mówić ani o topielcach, ani o tych, którzy przyczynili się do tego, że nimi zostali!

— Przybywam w imieniu tych dwóch dzielnych młodzieńców — mówił dalej Buridan — przychodzę również w imieniu uciśnionego ludu miasta Paryża, uciśnionego przez ciebie. Panie, przybywam również we własnym imieniu. Pytam pana, panie Marigny, czy jesteś tu po to, aby przyjąć moje wyzwanie. Jeżeli tak, proponuję panu walkę na śmierć i życie na sztylety, na lance i na miecze. Jeśli wierzysz w swoją sprawę, wybierz pole.

— A ty, nędzny włóczęgo, wybierz sobie mocny stryczek! — krzyknął Marigny. — Hola, straż! Hola, łucznicy! Pochwycić mi tu zaraz tego rzezimieszka!

— Naprzód! — ryknął Jan de Precy.

— Naprzód! — powtórzyli Chatillon i Malestroit.

— Naprzód! — wrzasnął Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot.

Nastąpiło krwawe starcie. Palestra zmierzyła się z kompanią Gautiera de Chatillon. Galilejczycy zrobili gwałtowny zwrot i stawili czoło łucznikom Malestroita. Bandy żaków, łącząc się w zwartą grupę rozpoczęły utarczkę z oddziałem Valois.

Trzy bitwy. Trzy spotkania. Z tłumu walczących dobiegały wycia, obelgi i wyzwiska, jęki rannych. W parę minut Pre-aux-Clercs zamieniło się w pole bitwy. Walczono zaciekle, fruwały strzały, błyskały i szczękały miecze.

— W imieniu króla! — powtarzali łucznicy.

— W imieniu diabła! — wyli żacy.

— Na pomoc! Huzia na włóczęgów! — darli się królewscy ludzie.

— Galilea! Galilea!

— Palestra królująca i triumfująca!

W centrum tej straszliwej zawieruchy, której los przeznaczył, że była ostatnim poważnym buntem uniwersytetu, w samym centrum tego zamieszania Buridan i Marigny znaleźli się przed sobą twarz w twarz.

Na okrzyk, jaki wydał Marigny, na dany przez niego znak, prefekt i jego sierżanci rzucili się na Buridana. Dwaj zamaskowani towarzysze młodzieńca dobyli swych ciężkich szpad i zaczęli walczyć. Jednocześnie Lancelot Bigorne natarł na strażników na czele bandy, która nie składała się ani z galilejczyków, ani z palestrantów, ani z żaków, lecz z tłumu włóczęgów. W ciągu kilku minut sierżanci zostali ściągnięci z siodeł i ratowali się ucieczką, przyłączając się do łuczników Valois. Odgłosy bitwy dotarły aż do Paryża. Zaczęły bić dzwony.

Marigny zeskoczył z konia, Buridan również. Obok niego znaleźli się jego dwaj towarzysze. Za nimi stał Lancelot Bigorne. Dalej tłum żaków. Wszyscy wołali:

— Na stryczek Marigny'ego! Na Montfaucon!

— Do wody z tym, co głodzi biedny lud!

— Jaśnie wielmożny panie — zapytał Buridan bladego jak śmierć Marigny'ego — czy przyjmujesz wyzwanie?

Marigny dobył szpady. Naraz Buridan rzucił się na niego, a otaczający ich żacy wydali głośny okrzyk triumfu. We wszystkich zakątkach Pre-aux-Clercs odbił się on echem, a hen, w dali ciągle jeszcze dzwony biły na alarm.

Dwaj towarzysze Buridana schowali dobyte przed chwilą szpady. Lancelot Bigorne i jego kompani powstrzymywali co gwałtowniejszych studentów, którzy chcieli rzucić się na Marigny'ego.

W tej samej chwili nadciągnęli zwycięscy Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot, podczas gdy część łuczników starała się doprowadzić swe szeregi do porządku, a część uciekła w stronę Paryża. Malestroit był ciężko ranny, Chatillon walczył prawie sam. Valois zniknął z pola bitwy. Prefekt schronił się w opactwie.

Marigny poczuł, że jest zgubiony. Zaczął cofać się parując rozpaczliwie pchnięcia Buridana. Zauważył tuż pod murami opactwa mały domek, jakby wrosnięty w mury klasztorne. Postanowił schronić się właśnie tam.

Na domek ten Buridan spoglądał z niepokojem. Marigny oparł się o furtkę domku, który, jak przypuszczał, był własnością jakiegoś bogatego włościanina, o ile nie należał do opactwa. Buridan, nie mówiąc ani słowa, napierał na przeciwnika.

Dwaj jego tajemniczy towarzysze śledzili bacznie każde posunięcie walczących. Wilhelm Wichura, Riquet Haudryot, Lancelot Bigorne przyglądali się również pojedynkowi, a tymczasem w całej dolinie Pre-aux-Clercs bandy studentów i żaków atakowały łuczników.

Gdy Marigny oparł się plecami o drzwi wejściowe małego domku, wiadomo było, że to już koniec. Okrzykami zaczęto witać zbliżającą się godzinę śmierci znieawidzonego ministra.

— Za Filipa, za Gautiera i za mnie! — zatriumfował Buridan, zadając dwa piorunująco szybkie cięcia swemu przeciwnikowi.

Nagle straszliwy okrzyk wściekłości wydarł się z piersi widzów, Buridan przez chwilę zupełnie oniemiał. Żadne z jego cięć nie dotknęło nawet przeciwnika.

W decydującej chwili, zanim nastąpił ostatni atak, drzwi domku otworzyły się i Marigny wdarł się do wnętrza, znajdując tam nieoczekiwane schronienie. Żacy rzucili się na domek wyjąc wściekle:

— Rabuj! Bij! Zabij!

— Dawać tu faszyny! Puścimy ich z dymem!

— Hurra! Hurra!

— On należy do mnie! — krzyknął głośniejsz od wszystkich Buridan. — Towarzysze, usuńcie się i pozwólcie mi dokończyć dzieła!

— A któż będzie świadkiem sądu bożego?

— Bóg! — odpowiedział Buridan, wpadając do wnętrza domku.

Z szybkością błyskawicy banda rozwścieczonych żaków, zalanych krwią i poturbowanych, rozsypała się po dolinie Pre-aux-Clercs. Gonili za uciekającymi łucznikami królewskimi i za oddziałami straży królewskiej.

Dwaj zamaskowani mężczyźni, a także cesarz Galilei, król Palestyny i Lancelot Bigorne weszli do wnętrza domu, chcąc dopomóc Buridanowi i uchronić domek przed rabunkiem powracających z pogoni za nieprzyjacielem żaków. Wszyscy spotkali się w przestronnej sali, bardzo czysto utrzymanej. Mężczyzna z beretem w ręku zbliżył się do Buridana.

— Domek ten należy do opactwa. Toteż popełni pan zbrodnię w stosunku do jego wielmożności opata, napadając na wielmożnego pana.

Młodzieniec wskazał na Marigny'ego, który z ręką na rękojeści szpady stał oparty o kufer.

— Oddał się, mój przyjacielu — rzekł Buridan ochrypłym głosem. — Zabicie tutaj tego nicponia byłoby istotnie czynem uwłaczającym ojcu opatowi, lecz oszczędzenie takiego jegomościa byłoby obrazą Boga, który jest ważniejszy niż Klemens Mahaut.

— Marcinie, daj nam dobrego piwa albo białego wina! — zawołał Lancelot. — Dawaj! Dawaj! Bo naprawdę człowiekowi już wyszło w gardle.

Marcin, ogrodnik opactwa, przeżegnał się i wyszedł, i Buridan podszedł do Marigny'ego.

— Panie ministrze — rzekł — pozostaje panu ostatnia deska ratunku, zabiję pana, jeżeli nie przyjmie pan moich warunków. Czy jest pan zdecydowany przywrócić i rodzinie d'Aulnayów wszystkie zrabowane jej dobra?

— Umarli nie potrzebują niczego — odparł zimno Marigny. — Powiedziałeś waść, że Filip i Gautier d'Aulnayowie zostali zamordowani i utopieni w rzece!

— Dobrze! A czy jesteś zdecydowany zwrócić ludowi Paryża majątek, jaki mu zagabiłeś, przywłaszczając sobie grosz po groszu?

Marigny wzruszył ramionami i wycedził przez zęby:

— Mój majątek należy do mnie, ty zaś, włóczęgo, nie troszcz się o lud! Jeśli pozwolisz mi odejść, zapłacę ci okup.

— W takim razie broń się! — wykrzyknął Buridan. — Nic już bowiem nie przeszkodzi mi teraz zabić pana! I wiedz, że jeżeli mnie się to nie uda, będziesz miał sprawę z tymi dwoma...

— Z tymi dwoma?! — zapytał Marigny, rzucając przerażone spojrzenie na dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy w milczeniu, z założonymi na piersi rękami przyglądali się tej scenie.

— Któż są ci dwaj mężczyźni?

— Ostatni przedstawiciele rodu d'Aulnayów — odpowiedział Buridan.

W tej samej chwili stanęli do walki, szcęknęła broń.

Nagle w powietrzu zabrzmiał rozzwierający okrzyk. To jakaś biała postać zbiegła pośpiesznie ze schodów i rzuciła się między walczących.

— Myrtilla! — krzyknął Buridan. — Tego się obawiałem! Droga Myrtillo — musisz wrócić do swego pokoju i...

Nie miał czasu dokończyć. Słowa zamarły mu na ustach. Serce zlodowaciało. Bezgraniczne osłupienie sparaliżowało jego myśli. Czuł, że przerażenie wbija mu swe straszliwe szpony w kark. Myrtilla, ta którą kochał, jego naręczona... Myrtilla rzuciła się w objęcia Enguerranda de Marigny'ego, wołając:

— Mój ojcie! Mój kochany ojcie!

Marigny stał oniemiały, lodowaty, wzrok błyszczał mu gniewem.

— Mój ojcie! — mówiła przerażona Myrtilla. — Co ci jest? Dlaczego w chwili kiedy cię odnajduję, czoło twoje okrywa chmura gniewu? Wzrok twój przeraża mnie! Buridan? Co się dzieje? Podnosisz szpadę przeciw memu ojcu? Och, zabijacie mnie obaj!

— Twój ojciec? — warknął Buridan. — Powtarzasz, że to jest twój ojciec?!

— Kochany Klaudiusz Lescot! Mój ojczulek! Tak, najdroższy! Nie wiedziałeś o tym, nieprawdaż!? Och! To byłoby zbyt okropne! Ojcie, oto Buridan! Pokochasz go tak, jak mnie? Twoje niesłuszne uprzedzenia rozwieją się jak dym! Janie, drogi Janie, oto Klaudiusz Lescot, którego musisz szanować...

— Klaudiusz Lescot! — wykrzyknął Buridan ochrypłym, głosem. — Patrz, Myrtillo, patrz na jego płaszcz podbity gronostajami, na rękojeść jego szpady wysadzaną drogimi kamieniami... Spójrz na ten strój możnego pana!

— Można pan? — wyjąkała dziewczyna, zdjęta przerażeniem.

— Spójrz na jego pełne wyniosłości zachowanie i dowiedz się, że nie jest to bynajmniej kupiec Klaudiusz Lescot, lecz wszechwładny minister, którego imię jest znienawidzone przez cały naród. To pierwszy minister królewski, budowniczy Montfaucon, to Enguerrand de Marigny!

Buridan przystąpił do Marigny'ego, oparł swą szpadę o kolano i złamał jej ostrze, a odłamki broni rzucił mu pod nogi:

— Możesz mnie zabić — rzekł Buridan — nie mogę walczyć z ojcem Myrtilli.

— Enguerrand de Marigny! — powtórzyła dziewczyna, rzucając na ojca spojrzenie pełne grozy.

Enguerrand de Marigny bardzo spokojnie włożył swoją szpadę do pochwy. Potem wziął Myrtillę za rękę.

W pokoju zapanowała grobowa cisza, a za oknami słychać było jeszcze okrzyki studentów, palestrantów i galilejczyków... Rozlegały się zwycięskie wiwaty.

Gdyby jednak ci wszyscy, którzy znajdowali się w tej chwili w domku, zechcieli przyjrzeć się temu, co się na dworze dzieje, przeraziłiby się zapewne.

— Myrtillo — powiedział ostro Marigny. — Na skutek tragicznego zbiegu okoliczności dowiedziałas się o tym, o czym nie powinnaś była dowiedzieć się nigdy!

Nie jestem Klaudiuszem Lescoteml. — Z dumą dodał: — To prawda, że nazywam się Enguerrand de Marigny! Imię to, moje dziecko, imię to, znienawidzone przez lud, będzie poważane przez wszystkich największych monarchów, gdy świat zrozumie jego znaczenie. Imię to noszę z dumą. Posłuchajcie, wy wszyscy! Gdybym mógł zniżyć się do was i wytłumaczyć wam, co myślę, powiedziałbym, że cała nienawiść, jaka skupia się dookoła mojej osoby, jest wywołana przeze mnie zupełnie świadomie. Wiedziałem, na co się wazę, gdy się podjąłem uczynić z państwa potęgę, a z króla symbol! Nie tylko chłopów i mieszczan podeptałem. Uczyniłem to samo ze szlachtą, z panami. Pragnąłem zniszczyć wszystko! Chciałem uczynić z Francji równą, olbrzymią dolinę, na której... w samym środku znajduje się niewzruszona skała — tron! To prawda! Nieraz drżałem przed okrutnym czynem, powszechnie zwanym zbrodnią, jednak nie cofnąłem się z mej drogi. Nie uznaję nad sobą sędziów, sumienie rozgrzesza mnie z moich win. A jeśli nawet przychodziły chwile grozy, jeśli czasem w ciemną, posępną noc zdawało mi się, że słyszę echa przekleństw, złorzeczeń i pogróżek, myśl moja szukała ucieczki i pociechy. Pociechą, tą była... moja córka! Myrtilła to wszystko, co zrodziło me serce! Zaś ucieleśnieniem mej myśli — była potęga państwa.

— Och! Mój ojcze! — zawołała Myrtilła, kryjąc twarz w dłoniach.

— Myrtillo, oto człowiek, który zgromadził wszystkie zwrócone w moją stronę złorzeczenia, całą nienawiść ludu i cisnął mi je w twarz! Oto człowiek, który spoliczkował mnie, ciskając mi w twarz wszystkie obelgi ludzi! Oto Jan Buridan, którego nazywasz swym narzeczonym. A oto ja, twój ojciec Enguerrand de Marigny. A ty jesteś tą, której daję miano mej pociechy... — Głuchym głosem dokończył: — Wybieraj pomiędzy nim a mną!

— Wybierać! — krzyknęła Myrtilła, rozzwierając głosem. — Mam wybierać między ojcem a narzeczonym!?

U schodów i spadł jak piorun w grobową ciszę sali:

— Dziewczyna ta nie może wybierać między Marignym a Buridanem. Zdaje mi się, że nie jestem w tym towarzystwie intruzem. Wiesz dobrze, Marigny, że i ja mam tu coś do powiedzenia!

Wszyscy podnieśli głowy. Ujrzeni kobietę schodzącą schodami. Była to Małgorzata Burgundzka.

Podeszła do Myrtilli. Marigny pozdrowił ją ukłonem. Oczy błysnęły mu radością. Na widok królowej dwaj zamaskowani mężczyźni zatrzęśli się gwałtownie, a jeden z nich uczynił taki ruch, jakby chciał sięgnąć po broń. W tej samej chwili Małgorzata Burgundzka dobyte z gorsu srebrny gwizdek i dała krótki sygnał. Drzwi otworzyły się gwałtownie i tłum łuczników wdarł się na salę.

— Baczość! — zawołał Lancelot Bigorne.

Buridan, pijany wściekłością i rozpaczą, usiłował przedrzeć się do Myrtilli, którą królowa poprowadziła w stronę schodów. Wpadł w wir krzyżujących się szpad, ludzi walczących pierś w pierś... Wir ten pociągnął go, oszołomił, obezwładnił i odrzucił od Myrtilli. Ujrzał Marigny'ego i królową wchodzących na schody. Myrtilła szła między nimi. Buridan znalazł się w przeciwległym rogu pokoju, przyciśnięty do ściany.

— Janie! — wołała dziewczyna.

Buridan odpowiedział głuchym rykiem. Chciał przynajmniej zginąć, jeśli już nie mógł zwyciężyć.

Dwadzieścia rąk spadło na jego ramiona. W parę minut później był już skępowany. Dwaj zamaskowani mężczyźni zostali podobnie jak on wzięci w niewolę.

Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot zniknęli. Zniknął również Lancelot Bigorne.

XXI

MABEL

Mabel, po upewnieniu się, że Myrtilła została powierzona opiece ogrodnika opactwa, udała się do Luwru do królowej.

Małgorzata czekała na nią w swej sypialni. Nie było tu żadnych obrazów ani posągów z wyjątkiem wyobrażenia Najświętszej Marii Panny i wszystkich świętych w złożonych ramach. W pokojach królowej tchnęło uczciwością i cnotą. Nad wejściem do nich powinien widnieć napis: „Tu mieszka najcnotliwsza spośród królowych!” Małgorzata w murach Luwru zupełnie szczerze chciała być tylko królową Francji — królową nie tylko potężną i piękną, lecz również cnotliwą.

Po rozmowie z Marigny'm i Valois schroniła się tutaj, jakby kryjąc się przed uczuciem, które całkowicie zawładnęło jej sercem. Była to miłość do Buridana. Namietność ta dziwiła ją i przerażała. Jak inni walczą z rodzącą się w ich duszy myślą o zbrodni, aż wreszcie myśl ta dojrzeje i zdusi wszelki odruch woli, tak Małgorzata z nie mniejszym lękiem stwierdziła w swym sercu istnienie szczerogo, kobiecego uczucia.

Chodziła po pokoju, rozważając w myśli wszystkie szczegóły burzliwej sceny z wieży Nesle. Zmuszała się do nienawiści, powtarzała sobie, że została sponiewierana, poniżona. W sercu jednak znajdowała jedynie miłość, która wskutek odniesionej porażki tylko się wzmogła. Chwilami myśl jej biegła do Myrtilli. Jej córka! Jejrywalka!

Wtedy dopiero, rzecz dziwna, potrafiła się opanować, wtedy zaczynała naprawdę nienawidzić Buridana i rozmyślać nad ukaraniem go. Gdy już zaczęło świtać, przywołała służącą, która przez całą noc czekała w sąsiednim pokoju na jej rozkazy. Kazała wezwać kapitana straży.

Po paru minutach Hugo de Trencavel wszedł do kaplicy, z którego Małgorzata chętnie czyniła salę audiencyjną. Kapitan nie zmrużył przez całą noc oka, zajęty był bowiem wydawaniem zarządzeń na następny dzień.

— Kapitanie, słyszałam, że podobno w gronie żaków tli się zarzewie buntu. Co się dzieje? — zapytała Małgorzata.

— Tłumy żaków, członkowie Palestry i Galilei postanowili towarzyszyć Buridanowi, który ważył się rzucić wyzwanie pierwszemu ministrowi.

— Co takiego? Czyżby Buridan był na tyle zuchwały, żeby przybyć na Pre-aux-Clercs?

— Tak powiadają, najjaśniejsza pani!

— Czy nie lepiej by było aresztować go od razu i w ten sposób uniknąć skandalu?

— Chcieliśmy to uczynić, lecz próba przyłapania go zawiodła. Straż moja przeszukała wszystkie zakamarki Paryża i go nie znalazła. Lecz właśnie, szukając go, agenci prefektury wywąchali to, na co się dzisiaj zanosi. Pod pretekstem dorocznych juwenaliów palestranci i żacy chcą wszcząć dziś na Pre-aux-Clercs rebelię.

Królowa pogrążyła się w zadumie. Kapitan nieruchomy, podobny do olbrzyma w swej staroświeckiej zbroi, czekał na rozkazy. Nagle Małgorzata rzekła:

— Trencavel, musisz pochwytać tego człowieka.

— Kogo, Buridana? Uczynię to. Król wydał już rozkazy. Za kilka godzin ten łotr rozstanie się z życiem. Wasza królewska mość może być pewna.

— Trencavel, nie każę ci zabijać Buridana, lecz pochwytać go. Pragnę mieć go w ręku żywego. Ale to jeszcze nie wszystko. Chcę przyjrzeć się na własne oczy buntowi ludu.

— Nic łatwiejszego. Trzy oddziały łuczników udają się na Pre-aux-Clercs. Z czwartym najsilniejszym z nich zamknę się w murach opactwa. Jeśli wasza królewska

mość zechce przyjąć moją opiekę, podejmę się zaprowadzić cię, najjaśniejsza pani, do gmachu opactwa, skąd będzie można wszystko widzieć, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

— Gdzie chcesz mnie ukryć?

— W domku ogrodnika. Czy wasza królewska mość zechce udać się tam w otoczeniu eskorty łuczników?

— Nie, nie. Nie chcę, by wiadano, że królowa była tam obecna. Niech pan odejdzie. Spotkamy się w opactwie, tam wydam dalsze rozkazy.

Trencavel wyszedł. A Małgorzata wróciła do siebie, zadając sobie ustawicznie pytanie:

— Czy Buridan będzie tak zuchwały, aby stawić się na Pre-aux-Clercs?

Wstał dzień. O zwykłej porze weszła do pokoju służąca.

— Prześciel łóżko — rozkazała królowa.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado i zaczęła improwizować nocny nieład w pokoju, aby król, który czasem zaglądał do Małgorzaty o tej godzinie, nie mógł się domyślić, że królowa czuwała całą noc.

Do pokoju weszła Mabel.

— A więc? — zapytała królowa.

— Za późno — odpowiedziała zimno Mabel — przybyłam za późno. Diabła Wieżyczka była już pusta.

— Przekleństwo! A ludzie, którym kazałam jej pilnować?

— Wszyscy pozabijani, ranni albo rozproszeni. Spędziłam resztę nocy na próbach odnalezienia śladów przekłętego Buridana, lecz wszystkie moje poszukiwania były bezowocne. Nic nie wiem, co się stało z Buridanem i Myrtillą.

Wymawiając imię dziewczyny, Mabel spoglądała badawczo na królową, twarz Małgorzaty była jednak zupełnie spokojna; po wieczornym wzburzeniu nie zostało ani śladu.

— Czy masz napój, o którym mi mówiłaś? — zapytała M Małgorzata.

— Już gotów, moja królowo!

— I powiadasz, że ten, który się go napije, przeżyje wszystkie tortury miłości?

— Piekielne męczarnie. Kto napije się mego napoju, i przeżyje cierpienia serca, męki duszy udreżonej nieutulonym niepokojem ciała płonącego w ogniu zmysłów, którego nic nie uspokoi.

Królowa chciwie słuchała jej słów, a Mabel była zdziwioną, że nie wspomina o Myrtilli;

— Dobrze — rzekła wreszcie Małgorzata. — Za kilka godzin Buridan będzie w mojej mocy.

— A Myrtilla? — zapytała Mabel.

— Gdy on zostanie ujęty, będzie musiał powiedzieć, gdzie ją ukrył.

Mabel kiwnęła głową potakująco. Wiedziała, że jej króli plan zemsty znowu rozpada się w gruzy.

— Jakże jednak wasza królewska mość może pochwycić Buridana?

— Czyż nie wyznaczył spotkania Marigny'emu dzisiaj na Pre-aux-Clercs? Marigny stawi się na pojedynek. Będzie tam również wojsko, cztery oddziały łuczników.

Ułożyliśmy z Trancavelem plan bitwy. Sidła są świetnie zastawione.

— Wasza królewska mość uda się na Pre-aux-Clercs?

— Nie, lecz będę w opactwie.

— W opactwie! — szepnęła głucho Mabel.

Z zimną wściekłością pomyślała o tym, że dom, w którym Buridan ukrył Myrtillę, należy do opactwa.

— Pójdiesz ze mną — mówiła dalej królowa. — Zatrzymamy się w chatce, należącej do opactwa, a zamieszkałej przez ogrodnika.

Mabel zbladła, stłumiła w ustach przekleństwo. „Czy Bóg nie chce, abym się zemściła?” — pomyślała. „Czy też chce pokazać mi, że godzina jeszcze nie wybiła? A przecież bardzo cierpiałam. I czekałam bardzo długo. Czekałam cierpliwie. Całe lata jestem przy tej kobiecie, a żadne słowo, najmniejszy ruch, jedno spojrzenie nie zdradziło nienawiści, jaką do niej żywię. Widziała ona jedynie moje uśmiechy, żadnej łzy. Panie Jezu Chryste, dlaczego mam czekać jeszcze? Dlaczego skazujesz mnie na dalsze cierpienia? Boże! Błagam Cię o koniec! Już się buntuję! Już się buntuję przeciw temu, by Małgorzata mogła spokojnie połączyć się ze swą córką! Błagam Cię, a jeśli błagania moje będą bezskuteczne, żądam w imieniu Twoich praw sprawiedliwości, żądam, abyś zostawił w mych rękach narzędzie mej zemsty — córkę morderczyni mego synka!”

Zdołała się wreszcie opanować. Była przekonana, że Bóg wysłuchał jej błagań, że doszły one do stóp Jego tronu.

Dalsze losy bohaterów w książce pt. „Eliksir miłości”.